



*Propozycja
szefa*

I.M. DARKSS

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Spis treści](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[Wydawca](#)

I.M. DARKSS

*Propozycja
szefa*



Projekt okładki: *Justyna Knapik*
Redaktor prowadzący: *Grażyna Muszyńska*
Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Katarzyna Szajowska*
Zdjęcia na okładce:
© Unsplash
© Pixabay
© Pexels
Ilustracje wewnątrz:
© Majivecka/Dreamstime.com
© rraya/Shutterstock
© I.M. Darkss
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2024
ISBN 978-83-287-3040-3
Wydawnictwo Akurat
Wydanie I
Warszawa 2024

Spis treści

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 1



JACOB

Milioner porzucony przed ołtarzem?

Patrzę nienawistnym wzrokiem na pierwszą stronę jednej z gazet, którą przed momentem zostawił tu jakiś starszy mężczyzna. Część mnie chce się roześmiać. Śmiać i śmiać.

A druga ma ochotę rzucić to piśmidło na pożarcie rekinom.

Zaciskam powieki, a mój umysł zalewa fala gorzkich wspomnień...

– Wiesz, że on nie da ci tego, co ja. – Dobiega mnie nieznajomy męski głos. – Powiedz to.

Co jest, do cholery?

Wspinam się po schodach i kieruję w stronę sypialni, a przytłumione dotąd głosy teraz przybierają na sile.

– Przecież wiesz, dlaczego z nim jestem – odpowiada Jasmine. – I dlaczego to ciebie zwabiam do łóżka podczas jego wyjazdów. – Zamieram w bezruchu, kiedy za drzwiami rozlega się jej śmiech. – Bo uwielbiam jego pieniądze i twojego fiuta.

Moje pieniądze i jego fiuta?

Czuję się mniej więcej tak, jak gdyby w moją pierś rąbnął piorun. Jednak ból szybko zmienia się w gniew. Czystą, niczym niezmaconą wściekłość.

Robię kolejny bezszelestny krok i uchylam drzwi, żeby zajrzeć do pokoju.

– Taka z ciebie zepsuta dziewczynka – mruczy ten sukinsyn, przesuwał palcem po nagim ciele mojej narzeczonej.

Byłej narzeczonej.

Widzę to wszystko. Ich porzucane w sypialni ubrania. Seksowną bieliznę, którą kupiła podobno dla mnie. Zakłada ją, gdy czeka na mnie z utęsknieniem tak kurewsko wielkim, że aż musi rozłożyć nogi przed kimś innym.

Widzę ją w zmiętej pościeli, roześmianą i tak samo kokieterijną, jak wtedy, kiedy dotyka mnie.

Kiedy powtarza, że mnie kocha.

Jasmine pochyla się nad tym dupkiem i całuje go w usta, a później przytula twarz do poduszki.

– I wystarczająco mądra, żeby bawić się z Jacobem od miesięcy – dodaje, przetaczając się na swojego kochanka. Dosiada go i odrzuca blond włosy na obnażone plecy. – Czasami zastanawiam się, co by było, gdyby kiedyś nas nakrył. Jestem pewna, że zdołałabym przekonać go, że to był tylko bardzo głupi błąd, a on jest miłością mojego życia.

Obraz przed moimi oczami zalewa czerwienią. Na języku mam posmak furii.

Nie jestem pewien, czy bardziej chcę wpaść tam i ich zabić, czy porzygać się na ich widok.

– W takim razie spróbuj mnie o tym przekonać właśnie teraz...

Ty pieprzona, zdradziecka suko.

– Za rok powtórzymy tę sesję. A później za dwa, trzy i cztery lata. Zrobimy z tego tradycję. – Czyjś głos sprowadza mnie na ziemię. Świeżo upieczona panna młoda lawiruje po pokładzie, a masa z jej nadgryzionego eklerka skapuje na marynarkę jej męża. Dziewczyna z aparatem pstryka im zdjęcie w idealnym momencie.

Nieźła fotografia, ciekawe, czy rozbawi ich, kiedy już będą po rozwodzie.

Pan młody zanosi się śmiechem na widok swojego ubrudzonego garnituru i cmoka żonę w nos.

– Brawo, kochanie – mruczy. – Tę plamę też będziemy odtwarzać co roku?

Fotografka wiruje wokół zakochanej pary co najmniej tak nabuzowana pozytywną energią, że można by pomyśleć, że to ona wzięła ten ślub.

Uśmiecham się bez krztyny wesołości.

Jasne. Na początku wszystko jawi się w kolorowych barwach. Plany na przyszłość, radość z każdego spotkania, cały świat usłany pierdolonym konfetti z serduszek, aż do momentu, w którym zastajesz swoją dziewczynę z innym.

Bum i witamy brutalną rzeczywistość.

– Jesteście piękną parą – świergocze kobieta z aparatem.

Fakt, są. Na razie, ale nie dają im więcej niż pięć lat.

– Jeśli jakimś cudem nie odnosi się wrażenia, że moja żona w tej sukni wygląda jak biała rozdymka tygrysa – żartuje sobie mąż, pociągając za falbanę przy sukni ślubnej swojej ukochanej.

Ukochanej?

Śmiech łaskocze mnie w gardło, kiedy odrywam od nich wzrok i przenoszę go na fale morskie.

Z jakiegoś absurdalnego powodu nie mogę na nich patrzeć. Napawa mnie to... wstrętem.

Mam ochotę podejść do tego biednego, niewiedzącego, co go czeka, gościa i dać mu w mordę. Tak po prostu, dla jego dobra. Żeby ocknął się już teraz.

Bo im dłużej będzie trwał w tej iluzji, tym boleśniej się to dla niego skończy.

– Jesteś okropny. – Żona odpycha męża, ale ten zaraz przyciąga ją do siebie i całuje tak namiętnie, że aż wywołuje wiwaty zebranych na pokładzie pasażerów.

Wszyscy wydają się zachwyceni.

A mnie wydaje się, że utknąłem w piekle, ku uciechu diabła, który robi sobie ze mnie jaja. Po co w ogóle włąziłem na ten durny jacht? Klient, z którym miałem omawiać szczegóły przyszłego kontraktu, i tak się spóźnił, a ja sterczę tu jak kretyn, gapiąc się na zakochaną parę.

– Odrobinę bliżej – poleca fotografka. – Wspaniale. Widać, że bardzo się kochacie. Wróżę wam szczęśliwą przyszłość.

– A jaki procent twoich wróżb jest trafiony? – odzywam się, nie mogąc dłużej znieść tej farsy.

Kobieta z aparatem odwraca się ku mnie.

– Słucham? – Marszczy brwi.

Krzyżuję ramiona na piersi i robię krok w jej stronę.

– Skoro reklamujesz się jako wyrocznia, powinnaś zdradzić, jak celne są twoje przepowiednie – mówię. – Bo moim zdaniem, za którym stoją realia i doświadczenie, a nie jakiś szósty zmysł, oni rozwiodą się za jakieś pięć lat, bo on przeleci sąsiadkę, a ona wda się w romans z kolegą z pracy. Chcesz obstawiać, kto zdradzi pierwszy?

Dziewczyna z aparatem zakłada za ucho kosmyk swoich włosów w kolorze ognia.

– O co ci chodzi? – pyta.

Po prostu lubię być kutasem.

– O nic, życzę wam szczęścia, poważnie. – Zerkam na przytulone małżeństwo. – Tylko że szczęście nie trwa długo.

Kobieta w sukni ślubnej, w której naprawdę wygląda jak ta nadęta ryba z kolcami, szepcze coś mężowi na ucho, a ten kiwa głową.

– Dziękujemy za zdjęcia – odzywa się do fotografki. – Pójdziemy już.

– Nie ma za co. – Rudzielec zbliża się do panny młodej i oddaje jej aparat, a także coś jeszcze. – Proszę wrzucić monetę do wody na szczęście. Coś pożyczonego. Oddacie mi w szóstą rocznicę ślubu, kiedy ponownie spotkamy się na tym jachcie – akcentuje swoje słowa złośliwie, czym mnie rozbawia.

Młoda para znika, a ja ignoruję potępiające spojrzenia kilku pasażerów będących świadkami sceny, którą urządziłem. Odwracam się w stronę morza i zaciskam dłonie na barierce.

– No dalej, widzę, że aż cię skręca, żeby sobie na mnie pokrzyczeć za to, że śmiałem być bezwzględny realistą i wbiłem pierwszą szpilę w ich bańkę mydlaną – odzywam się do rudowłosej kobiety, która dzielnie milczy. Jednak jej nadąsana mina zdradza więcej niż słowa.

W sekundę wwierca we mnie parę zielonych oczu zmrużonych jak u żmii, która zamierza zatopić w tobie swoje kły jadowe. I niech mnie cholera, jeśli nie wygląda podniecająco.

Jak na jadowitego węża oczywiście.

– Nie byłeś bezwzględny realistą, tylko bezczelnym dupkiem. Twoja wróżba rozpadu ich związku nie jest bardziej wiarygodna niż moje przekonanie, że się razem zestarzeją – ripostuje.

Parskam śmiechem.

– Zestarzeją się razem? Wiesz, ile małżeństw dziś kończy się rozwodem? Jedna trzecia – zaczynam. – A czy wiesz, w ilu związkach jeden z partnerów dopuścił się zdrady i nigdy nie wyjawiał tego swojej drugiej połówce? W ponad połowie.

Rudzielec podchodzi do stolika z przekąskami i sięga po nadziane na wykałaczkę kawałki owoców.

– Twoje statystyki są bardzo rozczarowujące i jak rozumiem, mają mnie zniechęcić do związków i wiary w miłość, ale tak się nie stanie. – Wrzuca do ust cząstkę truskawki. – Bo prawdziwa miłość to wyjątkowe uczucie, a więc nie jest łatwo je znaleźć. Porażki po drodze są nieuniknione.

Ona tak na serio?

Sunę wzrokiem po jej sylwetce. Ma na sobie letnią sukienkę dopasowaną barwą do jej tęczy, a na nadgarstkach chyba ze dwadzieścia bransoletek. Wygląda piekielnie pociągająco, zwłaszcza w zestawieniu z tymi wielkimi ślepiami i piegami rozsianymi na bladej cerze.

Dopóki nie zauważam napisu wyszytego na dekolcie jej sukienki.

Jezu, totalnie nawiedzona świruska.

– Bo przeznaczenie nigdy się nie myli, co? – odczytuję frazę, nie szczędząc kpiny.

Kobieta połyka kolejny kawałek owocu ze swojego szaszłyka i celuje we mnie ostrym krańcem wykałaczki.

– Nie wierzysz w to?

– Zgaduj. – Rozkładam zapraszająco ramiona.

Rudzielec przygląda mi się, jak gdyby naprawdę mogła wniknąć w najciemniejsze zakamarki moich myśli.

– Zgaduję, że nie wierzysz – szepcze. – Ale chciałbyś.

Na miłość boską. Znakomita z niej wróżka.

– Kolejna wróżba, którą wypatrzyłaś w falach morskich?

– W twoim zgorzkniałym zachowaniu i podłych słowach – odparowuje.

Kręcę głową, kradnąc z jej wykałaczki winogrono.

– Jesteś...

– Głupia? – wtrąca. – Naiwna?

– Cała.

– Cała? Nie rozumiem.

– Nieuszkodzona. – Zapatruję się na tafle błękitnej wody. – Jeszcze. Ale to w końcu się zmieni. I nie wiem, czy powinienem ci współczuć, czy zazdrościć.

Wróżka milczy długą chwilę i wiem, co sobie teraz myśli. Zastanawia się, co uszkodziło mnie, a za minutę, zamiast się wyzłośliwiać i rzucać te swoje roziskrzona spojrzenia, będzie mi współczuć.

Gardzę współczuciem. Współczuje się trzylatkom ze skaleczonym kolanem, a nie facetowi po trzydziestce, który był na tyle głupi, by...

– I myślisz, że wtedy też zacznę widzieć wszystko w tak smutnych i ponurych barwach? – mamrocze.

– Raczej prawdziwie. Bez ślepego, romantycznego uporu.

Z jej ust wymyka się przeciągły syk.

– Chryste, zepsułeś mi dzień, a był taki świetny – marudzi. – Chciałam zobaczyć delfiny, a trafił mi się tylko gburowaty waleń w garniturze za kilka tysięcy dolców.

Znowu koncentruję na niej spojrzenie.

– Waleń? Kojarzę ci się z waleniem? – Czuję, jak kącik moich warg mimowolnie unosi się w uśmiechu.

Rudowłosa wróżka macha dłonią w moją stronę.

– Jesteś wielki jak wieloryb, ciągle coś mruczysz pod nosem i gapisz się na mnie, jakbym była planktonem.

Pochylam się odrobinę.

– Pokazać ci moje płetwy? – szepczę jej do ucha.

Kobieta zanosi się śmiechem, a jej oczy lśnią w promieniach słońca.

– Fatalny dowcip.

– Są niewielkie szanse, że zobaczysz dziś delfiny.

Obserwuję, jak przesuwam kciukiem po rzędzie bransoletek. O ile się nie mylę, ma pod nimi jakiś tatuaż.

– Skąd wiesz? – pyta.

– Bo władam biegle nie tylko walenim, ale też delfinim – ironizuję. – A przede wszystkim dlatego, że mam własny jacht i często wypływam w morze, wiem, gdzie i w jakich porach najłatwiej zobaczyć delfiny.

Rudzielec się krzywi.

– Masz jacht? Własny?

Nie takiej reakcji się spodziewałem. Zwykle kiedy oznajmiam kobiecie, że jestem właścicielem cholernie drogiego jachtu, zamiast tego zagadkowego grymasu dostaję rozmarzone spojrzenia.

– Jak każda gruba ryba. – Wzruszam ramionami.

– I widziałeś delfiny?

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Wiele razy.

Teraz to ona bucha entuzjazmem. Kręci się w kółko, rozradowana, i sięga po słomiany kapelusz, który wcześniej zostawiła na jednym ze stolików.

– Ja też w końcu zobaczę – odpowiada z zapałem. – Jak nie dziś, to następnym razem.

– Następnym? Ile razy już próbowałaś?

– Trzy. – Pokazuje mi to na palcach jak mała dziewczynka. – Wykupuję rejs jachtem raz w miesiącu. W końcu nie każdy jest milionerem, żeby pływać nim codziennie. – Wkłada kapelusz, usiłując okiełznać swoje ogniste włosy.

– A ile razy udało ci się zobaczyć delfiny?

– Jeszcze ani razu – mówi. – I jeśli dziś mi się nie uda, spróbuję znowu za miesiąc. – Po raz kolejny się uśmiecha.

Co jest z tą dziewczyną?

– Po co? Czy to takie ważne?

– Zawsze chciałam zobaczyć delfiny w ich naturalnym środowisku i wierzę, że kiedy mi się to uda, będzie to znak od losu. Moje jedno małe marzenie się spełni, abym w tym właśnie dniu odważyła się spełnić kolejne, większe.

No tak, jasne.

– Jesteś dziwna, wróżko zębuszko. – Daję pstryczka w rondo jej kapelusza. – Bardzo, bardzo dziwna.

I jednocześnie fascynująca na tyle, że przez ułamek sekundy mam ochotę zaproponować, że pokażę jej te przekłete delfiny. Podczas rejsu. Na moim jachcie.

A to wystarczająca oznaka, że powinienem już się stąd wynosić. Jak najdalej od niej.

ROZDZIAŁ 2



HOPE

Miesiąc później

Przygryzam opuszkę kciuka i przewracam stronę.

Historia ubogiej dziewczyny zakochanej w nieosiągalnym mężczyźnie z wyższych sfer wciąga mnie bez reszty. Oczami wyobraźni widzę, jak biedna kobieta stoi sama w ulewnym deszczu, w ciemności, przekonana, że jej ukochany odpłynął statkiem do innego kraju. Z inną kobietą.

Łzy zbierają mi się pod powiekami.

Wróci. Musi wrócić. Nie mógł wyjechać!

Ktoś ujmuje ją za rękę, wręcza jej chusteczkę, by otarła zapłakaną twarz, i...

– Nie musisz czytać dalej, bez trudu powiem ci, jak potoczyły się ich losy – przemawia męski zachrypnięty głos gdzieś za moimi plecami. – Ckliwe, romantyczne zakończenie rodem z bajek dla dzieci.

Aha, rozpoznaję, z kim mam do czynienia, zanim jeszcze stanie naprzeciw mnie.

Nadęty elegancik w kolejnym horrendalnie drogim garniturze, zagorzały wielbiciel miłości.

– Znowu ty? – pytam, nie odrywając oczu od książki.

Wątpię, żeby ten facet pozwolił mi się teraz skoncentrować na lekturze, ale czerpię przyjemność z ostentacyjnego ignorowania go.

Mężczyzna odsuwa sobie krzesło przy moim stoliku i opada na nie z gracją leniwego lwa.

Prawda jest taka, że cały jest jak lew. Taki królewski, drapieżny, otoczony dziwną aurą niebezpieczeństwa, która wydaje mi się bardziej pociągająca, niż powinna.

– Witaj ponownie, ognistowłosa wróżko – mruczy. – Więc mam rację? Żyli długo i szczęśliwie?

Zatrząskuję książkę i odkładam ją na stolik.

– Przecież dla ciebie to i tak bez znaczenia.

Garniturek uśmiecha się i zerka na okładkę. Jego oczy błyszczą psotnie, kiedy zauważa tytuł.

– A dla ciebie? Czy płaczesz i snujesz się po kątach, kiedy całkowicie fikcyjne postacie rozstają się, kończąc swój całkowicie fikcyjny związek? – drwi.

Odchylam się na oparcie krzesła i krzyżuję ramiona na piersi.

– Dlaczego znowu jesteś na tym statku?

– Sam nie wiem, gdybym był bohaterem tej twojej książki, powiedziałbym teraz... – Wwierca we mnie spojrzenie. – Dla ciebie. Bo z jakiegoś powodu nie potrafiłem o tobie zapomnieć i coś kazało mi tutaj przyjść, żeby cię spotkać.

Rety, ale mam ochotę go rąbnąć. Choćby tym skorupiakiem z jego talerza.

– Trudno cię lubić. Gdybyś był bohaterem tej powieści, nie chciałabym pójść z tobą na randkę – burczę. – Wolałabym już pogłaskać tamtego rekina. – Wskazuję na wzburzone fale morskie, w których krąży niewielki rekin.

Uśmiech elegancika się poszerza.

– Mogę to załatwić, za odpowiednią kwotę pewnie spuszczą cię do niego w klatce – proponuje. – Czy ty nie wiesz, jak je jeść? – dodaje, obserwując, jak przełykam kawałek kraba.

– Czy trzeba się szkolić w tej dziedzinie?

Na twarzy mężczyzny pojawia się konsternacja.

– Kiedy na ciebie patrzę, wydaje mi się, że warto by zorganizować takie zajęcia – odpowiada. – Te szczypce obok talerza nie są tam dla ozdoby. Podobnie jak widelec.

No nie wierzę, co za wredny typ. Co on sobie wyobraża?

Celowo oblizuję opuszki palców i odgryzam kolejny kawałek kraba.

– Elegancik gorszy się, kiedy widzi, jak ktoś je coś palcami?

– Jesz jak czterolatka, może chcesz, żebym cię nakarmił?

No proszę, jakim się okazał wesołym dowcipnisiem.

– A może ja nakarmię ciebie? – I nim zdąży jakkolwiek zareagować, chwytam odnóże kraba i zaczepiam kleszcze na nosie tego dupka.

– Co ty wyprawiasz? – Odskakuje ode mnie, jak gdybym nagle zmieniła się w meduzę i dotknęła go swoimi parzydełkami.

Szybko sięgam po telefon.

– Nie ruszaj się – nakazuję. – Czekaj, czekaj. – Cyk i na moim ekranie widnieje piękne pamiątkowe zdjęcie.

Mężczyzna budzi się z transu, dopiero kiedy oślepia go błysk flesza, podrywa się z miejsca i zdejmuje krabowe szczypce ze swojego nosa.

Wielka szkoda, naprawdę dodawały mu uroku.

– Zwariowałaś? – syczy, wycierając się chusteczką.

Śmiech łaskocze mnie w gardło, ale unoszę szklankę z sokiem, żeby go ukryć.

– A co, boisz się, że wyślę to zdjęcie do jakiegoś popularnego czasopisma, gdzie ukaże się wraz z nagłówkiem: „Znany milioner z nietypowym kolczykiem w nosie”? – Przesuwam telefon po stoliku, żeby mógł podziwiać moje dzieło.

Jaśnie królewicz gapi się w wyświetlacz.

– Jezu Chryste... – I nagle jego pochmurne oblicze się rozpogadza.

Zabieram komórkę i chowam ją do kieszeni.

– Czy to był uśmiech?

Kręci głową, jak gdyby z rezygnacją.

– Bliżej mu do grymasu przedśmiertnego.

I umie się droczyć. Nie spodziewałam się tego po nim.

– Byłby z tego świetny portret. Mogłbyś zapłacić jakiemuś malarzowi, żeby namalował obraz na podstawie mojego zdjęcia – rozważam. – Albo wrzucić na portal randkowy.

Garniturek rozluźnia swój srebrzący się krawat i wzdycha. Wznosi wzrok na poszarzałe niebo.

Kto wie, może modli się w duchu, żeby z nadejściem burzy, na którą dziś zanosi się od rana, trzasnął mnie piorun.

Wykorzystuję okazję, żeby mu się przyjrzeć. Wytworny strój w kolorze najciemniejszej nocy, bez najmniejszego zagniecenia. Pod marynarką biała koszula. Na nadgarstku jeden z najdroższych zegarków świata. Mogłabym na to postawić tysiąc dolców.

Czarne włosy przystrzyżone tak, żeby zawsze były smakowicie potargane.

Atrakcyjny skurczybyk. Nawet w tym wdzianku widać, że pod nim ma ciało wyrzeźbione przez samego diabła. Mogłabym skłamać, ale dupek niestety wygląda na gorętszego niż piekło. Jednak sądząc po jego charakterze, raczej powinien uchodzić za kostkę lodu.

– Napisałabyś do faceta ze szczypcami kraba na nosie? – odzywa się, nie kryjąc zadowolenia z tego, że właśnie przyłapał mnie na pożeraniu go wzrokiem.

Kiwam głową.

– Przede wszystkim do takiego, bo pokazywałoby to, że ma poczucie humoru i dystans do siebie.

– Albo że ma urojenia i dziwne fantazje o byciu skorupiakiem. – Nabija na widelec kawałek mojego dania i wsuwa sobie do ust. – Zdradzisz mi swoje imię, wróżko?

– Hope.

Jego czoło przecina zmarszczka.

– Oczywiście, że tak. – Wyciąga do mnie rękę. – Jestem Jacob.

Podaję mu swoją dłoń z wahaniem, a on ściska ją delikatnie.

– Jeśli imiona faktycznie coś o nas mówią, to już rozumiem, czemu jesteś taki ponury – odparowuję. – Twoje imię znaczy mniej więcej zesłany, by karać nas za nasze grzechy. Uroczo.

Prycha i przywołuje spacerującego po pokładzie kelnera. Chwilę później już sący jakieś wino z kieliszka. Starsze niż niejeden antyk i droższe niż pół sztabki złota.

– Twoją ulubioną książką jest encyklopedia czy co?

– Interesuje mnie znaczenie imion.

– I co jeszcze?

A co to za różnica?

Nie rozumiem tego faceta. Wcześniej szydził sobie z tego, że przyszedł tu, żeby mnie spotkać, ale... Co w takim razie znowu tu robił? Akurat dzisiaj? Jasne, to mógł być zbieg okoliczności tak jak wcześniej, mógł tu być z miliona powodów, ale naprawdę sędzę, że przyszedł tu, bo był... mnie ciekawy?

Boże, co ja bredzę? Był mnie ciekawy? Niektórych ciekawią rozmaite gatunki płazów, inni uznają za ciekawe nocowanie w nawiedzonych zamczyskach. Tak, rzeczywiście niezwykle, że uznał mnie za kogoś ciekawego.

Kiedy miałam sześć lat, byłam zauroczona synem naszych sąsiadów. To on skradł mi pierwszego buziaka, a ja – jak przystało na zauroczoną sześciolatkę – porwałam z szafy mojej mamy jedną z sukienek i chwaliłam się koleżankom, że to w niej wystąpię na swoim ślubie. Szybko okazało się, że mój pan młody nie przyjdzie na nasz ślub, bo woli walczyć z kolegami mieczami wystruganymi z drewna, a jeśli o mnie chodzi... był jedynie ciekawy, jak to będzie pocałować dziewczynę.

Biorąc pod uwagę, jak szybko zwiął, chyba nie był usatysfakcjonowany.

– Wróżby, talizmany, magia – mamrocze, odpędzając te absurdalne rozmyślania.

Brew Jacoba podskakuje.

– Magia? Wierzysz w jednorożce i zaklęcia?

– Oczywiście, że nie. Nie w jednorożce. – Łapię rozczochrane włosy i kładę sobie na ramieniu. – Co do zaklęć, jeszcze nie zdecydowałam. – Miło byłoby wierzyć, że w tym świecie została jeszcze odrobina magii. – Zaczynam zaplatać kosmyki w luźny warkocz.

Jacob znów zapatruje się w odległy horyzont, a jego rozbawienie ustępuje melancholii.

– Nigdy jej tutaj nie było – oznajmia.

– To, że nie umiesz jej zauważyć, nie oznacza, że jej nie ma. – Związuję frotkę, którą miałam na nadgarstku, mój warkocz i odrzucam go na plecy.

– Jasne.

Mężczyzna, który nie wierzy w magię ani w miłość. Co ci się przydarzyło, Panie Ponuraku?

– Jesteś rozwodnikiem?

– Gdybym tylko miał okazję wziąć ślub, dziś na pewno bym nim był. – Upija kolejny łyk wina. – Dlaczego pytasz?

– Przypomniałam sobie twoją awersję do tamtej zakochanej pary i to pierwszy wniosek, jaki mi się nasuwa.

Jacob pochyla się nad blatem w moim kierunku.

– Błędny. A pozostałe?

Opieram brodę na dłoni.

– Czy kochałeś ją bez wzajemności?

Kieliszek z alkoholem zaczyna lekko podrygiwać w jego dłoni, kiedy zaciska mocniej palce.

– Uważam miłość za rodzaj krótkotrwałych halucynacji – szepcze wreszcie.

– Halucynacji?

Pochyla się jeszcze bardziej ku mnie. Jego twarz jest tak blisko, że wyczuwam rozproszoną przez wiatr nutkę jego perfum. To intensywny tajemniczy zapach. Nie mam pojęcia, co to takiego, ale mam dziwne wrażenie, że go zapamiętam.

Prześmiać tego faceta, Hope. Nie jesteś psem gończym.

Odsuwam się pod pretekstem wzięcia kolejnej porcji jedzenia, ale tylko grzebię w talerzu.

– A jak nazwiesz ten stan, kiedy przez chwilę widzisz coś, czego nie ma? Emocje działają jak bodźce prowokujące twój umysł i serce do stworzenia fałszywej wizji drugiej osoby. Wydaje ci się, że jest inna, wyjątkowa, warta skoku z pierdolonego wieżowca – przemawia. – A potem łykasz tabletkę realiów i dostrzegasz, że prawie się zabiłeś dla czegoś, czego nigdy tam nie było.

A więc jednak kochał bez wzajemności.

Nie znam tego faceta, wiem tyle, że potrafi być potwornie wkurzający, a jednak świadomość, że ktoś złamał mu serce, wprawia mnie w przygnębienie. Ten cały pancerz, skorupa, za którą się kryje, to coś w rodzaju samoobrony.

– Jak miała na imię?

– Kto?

– Twoja halucynacja.

Jacob uśmiecha się, ale tym razem jest to uśmiech pełen chłodu i cynizmu.

– Ty nie oddałaś nikomu serca, co, wróżko zębuzsko?

Zaczynam obracać w palcach perłę zawieszoną na mojej szyi.

– Jeszcze nie, ale nie mam nic przeciwko temu – wyznaję cicho.

Wzrok Jacoba wędruje do książki, na której czytaniu mnie przyłapał. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale wtedy ktoś podchodzi do naszego... do mojego stolika.

– Proszę, to od kapitana na pamiątkę. – Kobieta w białym uniformie wręcza nam breloczek w kształcie...

– Żłote rybki. – Dotykam mieniącej się brokatowej płetwy. – Migoczą.

Jacob nie zwraca uwagi na swój breloczek.

– W trzy życzenia też wierzysz?

Uśmiecham się i potakuję.

– A ty nie?

Nic nie mówi, nie musi.

Czy on wierzy w cokolwiek?

– Weź. – Mężczyzna łapie mnie za rękę, a później wręcza mi swój breloczek i chowa mi go w garści. – Teraz masz sześć życzeń zamiast trzech – dorzuca, a następnie wstaje i odchodzi.

Spoglądam na rybki w moich dłoniach i na oddalającą się sylwetkę Jacoba.

I jakimś cudem wiem, że nie wróci tu za miesiąc. Już nie.
Znowu nie byłam wystarczająco ciekawa...

ROZDZIAŁ 3



JACOB

Kilka tygodni później.

No proszę, proszę. Jest i ona. Rudzielec znowu na pokładzie. Tyle że tym razem nasza wycieczka potrwa o wiele dłużej. Choć ona jeszcze o tym nie wie.

Przyglądam się jej ukradkiem ze swojego podwórka, które dzieli od jej posesji niewysoki płotek. Ognistowłosa dziewczyna mamrocze coś pod nosem i rozstawia wokół siebie kartony, co chwilę coś z nich wyrzucając na trawnik. W jednym ma chyba...

Czy to są pluszowe maskotki?

Powstrzymuję śmiech i postanawiam się przywitać.

– Dobry wieczór, moja nowa sąsiadko – odzywam się, przystając za jej plecami, dokładnie w momencie, kiedy ona pochyła się nad kolejnym pudłem i usiłuje wyciągnąć je z samochodu.

Cholera, nigdy bym nie przypuszczał, że wierząca w magię ognistowłosa wróżka przypominająca słodziutką postać z bajki jeździ takim autem. Bo oto przede mną stoi zajebisty ciemnoszary jeep cały ochlapany błotem.

Moja nowa sąsiadka to chodzący paradoks.

I gdzie ona nim jeździła do tej pory? Po bagnach wśród aligatorów i krokodyli, które hipnotyzowała swoimi szmaragdowymi oczami?

Hope podskakuje przestraszona i prawie upuszcza pudło, ale udaje mi się je w porę przechwycić.

– Chyba żartujesz. – Gromi mnie wzrokiem. – Proszę, powiedz, że żartujesz. To musi być jakaś pomyłka.

Obdarzam ją uśmiechem, kiedy wyprzedza mnie na schodach prowadzących do jej nowego domu.

– Obawiam się, że nie. Zamieszkasz zaraz obok mnie. – Śmieję się. – Pozwól, że zacytuję pamiętny napis z twojej seksownej sukienki: „Przeznaczenie nigdy się nie myli”.

Hope prawie taranuje drzwi, wpadając do środka, a później łapie się pod boki.

Odstawiam karton obok kilku innych i rozglądam się po opustoszałym, ale przytulnym wnętrzu.

Intuicja podpowiada mi, że niedługo to piękne lakierowane drewno będzie ociekać wszystkimi kolorami tęczy.

– Faktycznie, los sprowadził mnie tu, bo najwyraźniej twoje dni są już policzone – odparowuje i już maszeruje z powrotem na podwórze.

– Jeśli mi grozisz, rób to ciszej. Pani Mendes to osiemdziesięciolatka o słuchu godnym nietoperza i lubi wzywać policję z powodów błahszych niż twoja chęć mordu na niewinnym człowieku. – Wskazuję na przyglądającą nam się kobietę stojącą po drugiej stronie ulicy.

– Musi pan przemalować płot, żółty kolor zwabia owady i wszelkie inne robactwo – woła do mnie tonem jeszcze waleczniejszym niż Hope.

– Zapewniam panią, że...

– I niech mi pan nie radzi, żebyśmy kupiła pająka i żywiła go pańskimi robakami... – wchodzi mi w słowo.

Fakt, mogłem jej raz czy dwa podsunąć ten pomysł, ale ta kobieta jest gorsza niż kataklizm.

– Moimi robakami? – powtarzam, usiłując nie wybuchnąć śmiechem.

Kąciki ust Hope drgają, kiedy udaje, że skupia się na wyciąganiu kolejnego pudła z wozu.

– Wszędzie są komary. – Pani Mendes wymachuje swoją laską. – A komary to nosiciele malarii, żółtej febry, dengi i wielu innych chorób. Stwarza pan zagrożenie dla otoczenia, jeśli zapadnę na jakąś tropikalną chorobę, zamkną pana na potrójne dożywocie. – Poprawia chustę na siwych lokach i znika w swoim ogrodzie.

Dzięki Bogu.

– Oczywiście, pani Mendes. Życzę miłego wieczora – krzyczę za nią.

Hope zaczyna chichotać.

– O kurczę, jest fantastyczna – zachwyca się, wrzucając mi w ręce kolejne kłamoty.

Szybko się oswoiła z zatrudnieniem mnie jako darmowego pomocnika przy przeprowadzce. Pewnie z łatwością mianowałaby mnie swoim osobistym niewolnikiem, sądząc po tym, jak rzuca polecenie za poleceniem i porusza się z gracją godną księżniczki.

– Raczej fantastycznie szajbnięta – warczę i prawie przewracam się o puchatą biegnącą kulkę. – Co to takiego?

– Co? – Rudzielec robi przerażoną minę, kiedy dostrzega kota śmigającego po podwórku. – O nie, nie, nie. Kiciu, wracaj tutaj. Łatka.

– To twój kot?

Oczywiście, że jej, głąbie, ale to nieważne. Istotne jest natomiast to, że ona ma kota, a ja mam psa. Psa, który zauważa nowego towarzysza zabaw z prędkością światła i już gna w jego stronę. Kot niestety odbiera to jako atak, cały się stroszy i spierdala na drzewo.

A Hope zaczyna piszczeć.

– Dlaczego ten nawiedzony pies wielkości żyrafy pogonił Łatkę na drzewo? – panikuje.
– Czy nikt nie tresuje tego potwora?

Podniesiony głos Hope zwabia wścibską panią Mendes, która znowu celuje we mnie laską.

– To jego potwór – oskarża.

Hope najeża się jeszcze bardziej niż ten jej nieszczęsny kociak.

– Twój?

Wzruszam ramionami, patrząc na szczekającego i biegającego wokół drzewa czworonoga.

– Nie jest groźny – uspokajam.

– Kłamstwo. Bez przerwy próbuje zrobić sobie kolacje z moich kotków – nie daje za wygraną pani Mendes.

Kiedyś ukatrupię to upierdliwe babsko, a sąd, zamiast mnie skazać, wręczy mi order za zasługi.

Ignoruję staruszkę i podchodzę do Hope, która chyba rozważa wspięcie się na to samo drzewo, na które wskoczył jej zwierzak.

– Tylko chce się pobawić, to szczeniak – mówię.

Hope marszczy nos.

– Szczeniak? On waży więcej ode mnie!

O to akurat nietrudno, bo Hope jest naprawdę filigranową istotką.

Przykucam i wyciągam rękę do psa, który podbiega do mnie, merdając ogonem, ale szybko kieruje swoje zainteresowanie z powrotem na nową kumpelkę zwiniętą w kulkę na drzewie.

– To dog niemiecki. Jest jak bardzo duża maskotka. Lubi przytulanie i...

Hope zadziera głowę i zaczyna okrążyć drzewo niczym mój pies.

– Łatka wygląda, jakby dostała ataku hysterii. Cała się nastroszyła. – Jej palce wbijają się w korę, kiedy tupie nogą.

– Nie tylko ona.

Rudzielec mruży ślepią i wygląda, jak gdyby to ona miała ochotę mnie ukąsić. Zaraz to ja będę wiał na to drzewo.

– Teraz nigdy nie zejdziesz na dół – narzeka, targając się za włosy.

– Uspokój się, zaraz...

Wzdryga się, kiedy dog przystaje obok niej, opierając dwie przednie łapy o pień dębu.

– Masz mięsożerną żyrafę w ogrodzie, a ja mam małego, wystraszonego kotka. – Zgrzyta zębami. – Żądam, żebyś zaopatrzył go w kaganiec.

– Kogo? Twojego kota?

– Zabawne. Ma kły jak aligator. Co, jeśli nabierze ochoty na gryzienie?

No to świetnie się wpakowałem. Wygląda na to, że teraz zamiast jednej sąsiadki wariatki będę miał dwie.

Gwiżdżę na rozbrykanego czworonoga.

– T-Rex, do nogi – nakazuję, poklepując udo.

Hope aż się zapowietrza, kiedy T-Rex stawia uszy i zaczyna pędzić w moją stronę.

– Ma na imię T-Rex? Jak ten dinozaur? Bardzo trafnie, skoro najwyraźniej jest z nim blisko spokrewniony. – Zaczyna niezdarnie gramolić się na najniższą gałąź drzewa.

Mrugam zdumiony.

– Co ty robisz?

Dog przysiada obok mnie, wywala jęzor i też uważnie obserwuje poczynania Rudzielca.

Jakim cudem ta kobieta, która zaparkowała na sąsiednim podjeździe zaledwie kwadrans temu, teraz wchodzi na drzewo, buchając złością?

I gdzie się podział typowy dla niej optymizm, którym aż tryskała, kiedy dwa razy spotkałem ją na jachcie?

– Jak ci się zdaje? Szukam lian, żeby się pobujać na drzewie, czy może wspinać się po mojego kota?

Akurat w jej przypadku ta pierwsza opcja wcale nie wydaje się nierealna. Bez trudu mogę sobie wyobrazić tę ognistowłosą ślicznotkę huśtającą się na lianach.

Chociaż akurat teraz moja wyobraźnia skręca w inną, nieco bardziej zbereźną drogę. Kiedy Hope wdrapuje się dzielnie na drzewo, jej długa do ziemi suknia jakimś cudem podwija się, zawadzając o konary, i odsłania jej nogi aż do ud.

Cholera. Ma wspaniałe nogi, stworzone do owijania się wokół pasa mężczyzny, doprowadzającego ją do rozkoszy, którą z przyjemnością mógłbym jej ofiarować.

T-Rex trąca mnie nosem i szczeka, gotowy też podjąć próbę wspięcia się na ten dąb. I sądząc po tym, jak idzie mojej nowej sąsiadce, T-Rex poradziłby sobie lepiej.

– Spokojnie, mały. Kiciuś nie chce się z tobą bawić. – Klepię go po pysku.

Rudzielec w końcu owija się wokół kolejnego konara i wyciąga rękę do spłoszonego kociaka.

– Już dobrze. Nie rób tego... nie... – Zwierzę wskakuje na kolejną, wyższą gałąź i miauczy. – Cholera.

Podchodzę nieco bliżej.

– Chcesz, żebym...

– Ani słowa. – Hope odpędza mnie machnięciem dłoni.

Nie zrażam się.

– Skoczył po jakąś mysz? – kończę żartobliwym tonem.

Hope gapi się na mnie z góry jak na totalnego pojeba.

– Co?

– No żeby odwrócić uwagę kota, kiedy będziesz próbować go złapać – tłumaczę, a wtedy na moją głowę spada kawałek zeschniętej gałęzi. – Aua, kurwa, co jest?

– Wybacz, to niechcący.

Akurat.

– Kłamczucha.

Hope wyszczerza zęby w uśmiechu i w końcu udaje jej się pochwycić puchatą uciekinierkę.

– Mam cię. – Wznosi kota nad głowę na znak triumfu i zaczyna schodzić. – Trzymaj to bydlę z dala od mojej łatki.

T-Rex siedzi grzecznie przy mnie, ale wciąż wodzi za kotem wzrokiem pełnym tęsknoty.

Rozumiem go lepiej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

– Zauważyłaś, jak ciekawie układają się konary tego drzewa? Wychodzą dokładnie na twoją sypialnię.

Hope staje na trawie i przytula swoją pupilkę do piersi. Spogląda najpierw na dąb, a później na mnie.

– No i co z tego? – docieka.

Wyciągam dłoń, żeby podrapać kotkę za uchem, ale ta syczy na mnie i wyciąga ostrzegawczo pazury.

Milutka jak jej właścicielka.

– Mogę cię z niego podglądać, kiedy będziesz paradować nocą w skąpej piżamce – sugeruję, mrugając zaczepnie. – A może śpisz nago?

Taka wizja natychmiast nawiedza mój umysł i sprawia, że muszę poprawić spodnie.

Hope przechodzi obok mnie i wpuszcza swojego zwierzaka z powrotem do domu.

– Że też z prawie ośmiu miliardów ludzi na świecie musiałam trafić akurat na ciebie – mamrocze.

Sama mówiłaś, Rudzielcu, że los wie, co robi.

Zagarniam ostatnie pudło z jej bagażnika i wnoszę tam, gdzie pozostałe.

– Będziemy sąsiadami, wpadniesz na kolację...

– Nie.

– Ze śniadaniem? – dodaję.

Na jej ustach pojawia się nikły uśmiešek, ale zagryza wargę i wypycha mnie za drzwi.

– Dobranoc, T-Rex – żegna się z moim psem, czekającym na mnie na trawniku.

– Wiesz, nie tylko T-Rex lubi zabawy i przytulanie po zmroku.

Jej małe piąstki zaciskają się na futrynie.

– Nienawidzę cię.

Chyba mi odbija, bo jej wybuchy złości trochę mnie kręcą. Tym bardziej że sam dobrze wiem, jak bardzo moja nowa sąsiadka różni się od kobiet, które zwykle mi się podobają.

Te kobiety za małe marzenie uznałyby jednokaratowy brylant, a nie oglądanie delfinów. Na pewno wiedzą, jak należy jeść owoce morza, i nie wpatrują się we mnie tak, jak gdyby chciałyby zadźgać mnie we śnie.

Unoszę rękę i macham na pożegnanie.

– Do jutra, wróżko zębuszko. – Obracam się i wracam na swoje podwórko.

Coś mi mówi, że od tej pory mogę zapomnieć o nudzie i rutynie.

ROZDZIAŁ 4



HOPE

Zapowiedziana przez blondynkę w białej jak śnieg garsonce wchodzę do gabinetu, w którym mam odbyć rozmowę o pracę.

Dam radę. Na pewno. Zresztą to tylko jedno miejsc na mojej liście, w których mogłabym się zatrudnić. To znaczy ta agencja reklamowa jest bez wątpienia największa w mieście, a być może i najbardziej znana w całym stanie, więc gdyby udało mi się zacząć właśnie tutaj, miałabym fantastyczny wpis w CV.

Rozglądam się płochliwie dookoła i pozwalam sobie podziwiać wystrój pomieszczenia. Panorama miasta rozpościerająca się za szklaną ścianą dosłownie zapiera dech w piersiach, a stojący w kącie pokoju posąg jakiegoś mitycznego stworzenia...

– Hope Vitteli. – Rozbrzmiewa dobrze już mi znany zachrypnięty tembr. – A więc masz włoskie korzenie, piękna? – Mężczyzna, który do tej pory skrył się za oparciem obrotowego fotela, odkręconego w stronę wielkiego okna, teraz obraca się ku mnie z zadziornym uśmiechem.

Niemożliwe.

To musi być jakaś halucynacja, ostatnio wszędzie widzę tego faceta.

– P-pracujesz t-tu? – jąkam się.

Jacob wygładza węzeł granatowego krawata i rozgląda się po ogromnym biurze.

– Rządę tu. To moja firma – oznajmia nader radośnie. – I wiesz co? – Przesuwa kciukiem po dolnej wardze.

Przełykam głośno ślinę. Nagle zrobiło się tu duszno i jakoś klaustrofobicznie.

– Co?

– Kiedy przeglądałem teczki kandydatów na stanowisko mojego asystenta i trafiłem na twoje zdjęcie, postanowiłem, że zrobię dla ciebie wyjątek i sam przeprowadzę z tobą rozmowę o pracę.

O cholera. Czyli jednak ten szatan odziany w kolejny ciemny garnitur jest prawdziwy. Zasiada na swoim krześle za mahoniowym lakierowanym biurkiem niczym król świata na swoim tronie. Emanuje władzą i czymś o wiele, wiele dzikszy.

Facet, który ciągle nosi garnitury, powinien wydawać się banalny, bezbarwny... pospolity, ale on... w tym garniturze wygląda niczym bestia skryta pod maską. Chwilowo będąca na uwięzi, ale mimo wszystko wciąż przepełniona nieposkromioną energią.

Dość tego, Hope. Co cię napadło?

– Nie możesz być moim szefem. Nie ty – szepczę.

Jacob zerka na ekran laptopa, a później znów skupia się na mnie.

– A więc nie wiedziałaś, że mnie tu spotkasz?

Nigdy bym tu nie przyszła, gdybym wiedziała, że się tu na niego natknę. Że to on miałby zostać moim przełożonym.

– Rozesłałam CV do większości firm w mieście.

– Masz jeszcze jakieś rozmowy o pracę na podobnym stanowisku?

A jakie to ma znaczenie?

I dlaczego tak nagle mam ochotę przed nim uciekać? Nie rozumiem przeszywającego mnie niepokoju, ale Jacob tutaj... w tym pokoju jest zupełnie inny. I nie wątpię, że potrafi wyegzekwować posłuszeństwo od każdego...

– Dwie.

Jego usta rozszerzają się w uśmiechu.

– Odpuść je sobie. I tak będziesz pracowała tutaj.

Słucham?

Zaciskam dłonie na krawędziach drewnianego blatu i wreszcie odzyskuję rezon. Nie będę kulić się przed nim jak zajaczek przed głodnym wilkiem. To nie ja.

– Nawet mnie o nic nie zapytałeś, dupku.

W jego oczach zapala się mroczny błysk, kiedy wstaje i okrąża biurko, żeby do mnie podejść.

– Dlaczego chciałaby pani zostać moją asystentką? – zaczyna.

Kręcę głową i rozglądam się po pomieszczeniu, byle tylko nie patrzeć na niego. W końcu opadam na fotel.

Gabinet też robi wrażenie. Chociaż jest trochę jak jaskinia. Ozdobiona raczej w ciemnych barwach. Z tyłu stoi brązowy drewniany segment, a kanapa i fotele są do

niego dopasowane kolorystycznie. W rogu pyszni się antyczny zegar, a naprzeciwko niego znajdują się trzy kwiaty, które wyglądają mi na wyrwane prosto z amazońskiej dżungli.

– Wcale nie chcę nią zostać. Już nie – odpowiadam wreszcie.

Jacob przystaje za moimi plecami.

– Obawiasz się czegoś? – pyta prosto w moje ucho.

– Niby czego?

– Romansu z szefem?

Mam ochotę go znokautować. Choćby rzucając w niego tą dziwną bezkształtną figurką ozdabiającą biurko. Ktoś, kto ją wyrzeźbił, musiał się wzorować chyba na guanie pterodaktyla czy innej prehistorycznej skamieliny.

– Nie bądź bezczelny. Nie zamierzam mieć z tobą żadnego romansu – odwarkuję.

– Czy naprawdę chcesz, żebym wyrzucił twoje papiery do kosza?

– Tak.

Drań, zamiast się odsunąć, jeszcze bardziej zabiera mi przestrzeń. Jego nos prawie muska mój policzek, kiedy się odzywa.

– Masz piękny nowy dom, który musisz utrzymać, a ja zapłacę ci więcej niż inni. – Przesuwa ręce na moje ramiona. – O ile będą inni, bo przecież nie możesz być pewna, czy dostaniesz pracę gdzie indziej.

Ma rację. I nienawidzę tego. Potrzebuję tej pracy i pieniędzy, a przecież... tak naprawdę nie mam żadnego powodu, żeby odrzucać tę posadę. Na korytarzu roi się od kandydatów na to stanowisko i to nie Jacob ma tu coś do stracenia.

Poza tym faktycznie jedyny argument, jaki mam przeciwko zostaniu jego asystentką, jest mój strach przed... wylądowaniem razem z nim w łóżku.

A to się nie stanie. Nigdy. Bo nie ma między nami seksualnego przyciągania.

Jego opuszki gładzą mój kark tuż pod włosami, a mnie przeszywa dreszcz.

No dobra, może jest trochę tego seksualnego przyciągania, ale niewiele.

– Dlaczego to robisz? Przecież to ja powinnam przekonywać ciebie, że byłabym świetną kandydatką na to stanowisko, a nie odwrotnie – marudzę. – Może się nie nadaję.

A najbardziej pokręcone w tym wszystkim jest to, że w tej chwili jedna część mnie chce coś specjalnie zawalić, a inna udowodnić mu, że faktycznie jestem najlepsza.

– Nadajesz się. Już mówiłem, kiedy znalazłem cię w stercie tych teczek, zorganizowałem małe śledztwo.

Zorganizowałem małe śledztwo.

Nie podobają mi się te słowa, natychmiast zastanawiam się, co mógł wygrzebać na mój temat jego detektyw. Rozmiar mojego stanika? Informację o tym, że kiedyś startowałam w zawodach na miss mokrego podkoszulka? I przegrałam z laską, która miała wytatuowane na dekolcie dwie muffinki z wisienkami i napis: „Skosztuj sam”.

– Co to znaczy?

I dlaczego brzmi jak erotyczne zaproszenie?

– Wiem, że jesteś zdolna, kreatywna i zawzięta. To trzy cechy, które bardzo cenię.

Idiotka ze mnie, bo kiedy Jacob świdruje mnie czarnymi oczami i rzuca wyświechtane pochwały, mój żołądek wywija salto.

Odsuwam się, by znaleźć się poza zasięgiem jego palców.

– A ty jakim jesteś przełożonym? – Poprawiam upięcie włosów, które zdążył mi zniszczyć.

– Sprawdź sama. – Okręca mnie na krześle obrotowym w swoją stronę. – Jeśli wystarczy ci odwagi.

Dupek. Nie jestem tchórzem.

– Rozmowa o pracę nie powinna tak wyglądać – wytykam, coraz bardziej wkurzona. Ten mężczyzna wyzwała we mnie taką agresję, o którą nigdy bym się nie podejrzewała.

Jacob opiera się o kant biurka i krzyżuje ramiona.

– Czy jeśli cię zatrudnię, wykonasz każde moje polecenie?

– W sensie zawodowym?

Jego wargi drgają leciutko, a w oczach czai się coś prowokującego.

– Oczywiście.

Oszukuje, a mnie znowu oblewa fala gorąca.

Odchrząkuję i zakładam nogę na nogę.

– Nie.

Mój ruch oczywiście przyciąga jego uwagę. Przechyliła głowę i przygląda się zbyt długo krawędzi mojej ołówkowej spódnicy, którą włożyłam specjalnie na tę rozmowę.

– Bardzo dobra odpowiedź – mruczy cicho.

Parskam śmiechem.

– Zauważyłeś już, że masz nierówno pod sufitem?

A ja nie jestem lepsza, skoro tak na niego reaguję. Niech go szlag.

Wczoraj na przykład specjalnie paradował po swoim ogrodzie prawie nagi. I pływał w basenie. Który bardzo dobrze widziałam ze swojego okna.

A więc teraz doskonale wiem, jak wygląda pod tym drogim garniturem. I że ma na plecach tatuaż jakiejś skrzydlatej istoty przypominającej smoka z piekła rodem. Piękny.

Jacob trąca wahadło Newtona stojące na blacie i obserwuje obijające się o siebie kulki.

– Z jakiegoś powodu odbija mi tylko przy tobie.

Na to akurat nie dam się nabrać. Pewnie ma dziewczynę w każdym mieście, do którego jeździ sobie niby w interesach. A jednak nie pasuje mi to do faceta, którego poznałam na jachcie i który nazywał miłość halucynacją.

– To nie jest ani trochę profesjonalne.

Jacob kiwa głową, poprawia marynarkę i wraca na swój fotel.

– W takim razie... – Zasiada na nim. – Co motywuje panią do pracy? Nagrody czy kary?
– rzuca niby od niechcenia.

Pociągam nerwowo za rękaw swojej koszuli.

– Na... nagrody – odpowiadam, czując rumieniec na policzkach.

Czy wszystkie jego pytania będą miały zabarwienie erotyczne?

Jacob wręcza mi butelkę z wodą, a ja łapię ją zbyt zachłannie. Odkręcam korek i upijam łyk.

– A jak układały się pani stosunki z poprzednim przełożonym? – Przygląda mi się, nie kryjąc rozbawienia.

Posyłam mu gniewne spojrzenie.

– Mam wrażenie, że lepiej niż z przyszłym.

Jacob pochyla się nieco.

– Czy kiedykolwiek fantazjowała pani o swoim szefie? – zniża głos.

Zaciskam palce na butelce.

To jakaś farsa. I zaczynam rozważać wypchnięcie go przez okno z tego cholernego wieżowca.

– Pytasz o to wszystkie kandydatki?

– Dobrze wiesz, że nie.

Może mówić prawdę, bo gdyby tak było, przynajmniej jedna na sto musiałaby chcieć podbić mu oko.

No dobra. Spróbujmy.

– A czy pan fantazjował kiedykolwiek o swojej pracownicy? – Trzepoczę flirciarsko rzęsami.

Kolejny niegrzeczny uśmieszek i...

– Robię to od trzydziestu minut, odkąd usiadła za biurkiem w tej czarnej spódnicy.

Wiercę się na fotelu, niepewna, czy powinnam posunąć się dalej w tej zabawie. Niewinne kokietowanie to jedno, ale on otwarcie przyznał, że mnie pragnie.

I jak widać, nie czuje się z tym ani trochę niezręcznie w przeciwieństwie do mnie. A ja naprawdę nie zamierzam... tego z nim robić. Już podczas naszego pierwszego spotkania wiedziałam, że nie jest facetem, z którym powinno mnie coś połączyć.

– Tak nie wolno.

– Wiesz, że według niektórych statystyk prawie czterdzieści procent osób poznało swojego partnera w pracy?

Odwzajemniam jego uśmiech wbrew sobie.

– Zdumiewające, nie tak dawno cytowałeś mi odsetek rozwodów i zdrad wśród takich par – wypominam.

Jacob wzrusza ramionami.

– To było później, dużo później. Na początku wszyscy świetnie się razem bawili.

No właśnie. Bawili... I to wszystko.

– Ale ja chcę czegoś trwałego – zaczynam. – I lubię kogoś innego.

Jacob krzywi się z niedowierzaniem.

– Kłamiesz.

Nie kłamię. Naprawdę od pewnego czasu interesuje mnie pewien mężczyzna, ale niestety na razie jesteśmy tylko przyjaciółmi i nie zanosi się, żeby miało się to zmienić.

– Nie, jest ktoś taki.

Jacob prostuje się na fotelu, a jego twarz nabiera nieprzeniknionego wyrazu.

– Kto?

Nieważne, nie zamierzam mu teraz opowiadać o swoich sercowych porażkach.

– Powinnam już iść. To fatalny pomysł. – Wstaję z fotela i zapinam guzik żakietu.

Jacob także się podnosi, a do jego czarnych tęczywek wraca ten żar... Idzie za mną, kiedy maszeruję do drzwi, i otwiera je dla mnie.

– Masz rację, ale i tak to zrobimy, prawda? – szepcze, a jego oddech smaga moją szyję, kiedy wreszcie wymykam się z jego gabinetu.

To będzie katastrofa.

A ponieważ jestem porąbana, już nie mogę się jej doczekać. W co ja się właściwie pakuję, do diabła?

ROZDZIAŁ 5



JACOB

Kolejny dzień zapowiadał się naprawdę świetnie. Najpierw przy śniadaniu dostałem maila z agencji, że udało nam się pozyskać nowego klienta. Ponadto zatrudniłem nową osobistą asystentkę, która miała zacząć dopiero od jutra. Już nie mogłem doczekać się tej współpracy i złośliwych spojrzeń, jakie będzie mi posyłać na powitanie, oraz codziennego widoku jej długich kolorowych sukni zamiatających podłogę mojego biura.

Po południu zalogowałem się do portalu Idealni nieznajomi, którego celem było znalezienie każdemu użytkownikowi idealnego kompana do rozmowy. To raczej portal koleżeński niż randkowy, a ja założyłem tam konto... cóż, zaraz po zdradzie Jasmine. Wtedy też algorytm wybrał mi przyjaciela. Jakiś czas później okazało się, że to kobieta, ale wciąż nie wiem, jak wygląda, i nie znam jej tożsamości, bo na tym polega cała zabawa w stuprocentową szczerłość. Najlepiej otworzyć się przed nieznajomym.

Zamieniłem z Panią L kilka wiadomości.

Pani L: Jakie plany na dziś w twoim wielkim świecie?

Ja: Właśnie szykuję się na odwiedzinę znajomych. A ty?

Pani L: Jestem padnięta. Właśnie kończę oglądać *Narzeczonego mimo woli*. Widziałeś?

Ja: Brzmi jak coś, na co mam śmiertelną alergię.

Pani L: Ciekawa jestem, jaki jest najromantyczniejszy film, jaki ty kiedykolwiek oglądałeś?

Ja: To zdecydowanie: *Teksańska masakra piłą mechaniczną*.

Pani L: FUJ!!!!

Rozmawiałem z nią prawie godzinę, odpowiadając też w tym czasie na maile od pracowników, aż w końcu nadeszła pora odwiedzin znajomych.

No dobra.

Zatrząskuję laptopa i wychodzę przygotowywać to durne ognisko. W tym upale. Kaprys dziewczyn moich kumpli.

A trzydzieści morderczych minut później myślę sobie, że chyba wolałbym towarzystwo stada kobr królewskich niż tych szalonych, niezdecydowanych kobiet.

– Koncert? – proponuje Michael, sącząc piwo prosto z butelki.

Sky, jego dziewczyna, która aktualnie rozłożyła się na hamaku zawieszonym w moim ogrodzie, a swojego faceta zatrudniła do podpiekania jej pianek na ognisku, robi niezadowoloną minę.

No to się zaczyna.

– Nie, to żaden relaks. Hałas, tłumy i hektolitry alkoholu – narzeka.

Moja młodsza siostra oczywiście zgadza się z nią, kiwając głową.

Wgryzam się w kawałek steku, który przed momentem ściągnąłem z grilla, i posyłam moim dwóm kumplom porozumiewawcze spojrzenia.

– To dokąd wy chciałybyście jechać? – pytam.

Sky wyciąga rękę i gładzi liście rozpostarte nad jej głową.

– Nad wodę – odpowiada.

– Na jakieś piękne pustkowie – dodaje Summer, rozwalona na leżaku niczym wyczerpany leniwiec.

Interesujące jest to, że w ogóle się nie namyślały, co oznacza, że musiały uknuć to razem wcześniej. Dwie małe podstępne...

– I co będziemy tam robić? – dopytuje David, który do tej pory rozważnie wybierał milczenie i obserwowanie chmur.

Więcej sensu ma zaprzęgnięcie orki jako wodnego rumaka niż wyklócanie się z tymi dwiema wariatkami.

– Pływać nago przy świetle księżyca – mówi Sky i uśmiecha się do Michaela.

Naiwniak upija kolejny łyk napoju i skupia na niej całą uwagę.

– Ten argument do mnie przemawia, podaj następny.

Sky zrywa jeden z kwiatów i zakłada go sobie za ucho.

– Gdybyśmy bardzo się nudzili, moglibyśmy uprawiać dziki seks gdzieś w polach lawendy – dodaje.

Michael odchrząkuje, prawie krztusi się piwem, a później zaczyna głośno rzeć.

– Doskonale, jestem za planem pań, jedźmy nad wodę, gdzieś na kompletne odludzie – zgadza się.

Mięczak.

Zanurzam kraniec steku w pikantnym sosie i wkładam do ust.

– Zmienisz zdanie, gdy natkniesz się w lesie na jakiegoś wygłodniałego kojota – zauważam zgryźliwie.

David wzdycha i pociera twarz dłońmi.

– Zostańmy w mieście – prosi.

Summer spogląda na swojego narzeczonego znad okularów przeciwsłonecznych.

– Nic z tego, czuję, że wzywa nas zew natury. – Splata palce z palcami Davida, ale on nie robi wniebowziętej miny tak jak Michael zapatrzonej w Sky. Przeciwnie, uwalnia rękę i przewraca oczami, już przyzwyczajony do wybryków mojej siostry, które znosi od trzech lat.

– Nie spodoba ci się to, zaraz pokąsają cię czerwone mrówki, znajdziesz jaszczurkę na poduszce, a później obrazisz się na mnie, przekonując wszystkich wokół, że to ja miałem beznadziejny pomysł na wakacje – oznajmia.

I ma, kurna, rację, bo Summer dokładnie tak by zrobiła. Mimo że jesteśmy spokrewnieni, jej przypadł jakiś szajbnięty, felerny gen i teraz ciągle wpada na pomysły godne pięciolatki. Ostatnim razem zapisała się na zapasy w błocie. Dla faceta to genialna atrakcja. Dopóki sam nie zostaje obrzucony tym błotem za to, że głośno docenił cycki rywalki Summer.

Moja siostra nadyma policzki i opada z powrotem na leżak.

– Idiota.

Otwieram butelkę piwa i upijam łyk, marząc o zanurzeniu się w wiaderku z lodem, w którym trzymamy napoje. Jest kurewsko gorąco mimo zbliżającego się wieczora, ale oczywiście panie zażyczyły sobie jedzenia z ogniska.

– Skoro tak bardzo chcecie zaprzyjaźnić się ze zwierzętami, opłacę wam prywatną klatkę w zoo – oferuję.

David wyszczerza zęby w uśmiechu.

– Gdzieś pomiędzy lwem a gorylem. – Pociąga Summer za kucyk, za co zostaje zdzielony po łapach.

– Przyznaj, że przeraża cię radzenie sobie w warunkach godnych tylko prawdziwych mężczyzn. – Dobiega mnie nowy głos.

Obracam się na siedzeniu i dostrzegam Hope opierającą się o płot dzielący nasze ogrody.

– Do mnie mówisz, czarownico?

Rudzielec zawiesza wzrok na moim nagim torsie, a później odnajduje moje oczy i robi niewinną minę.

– Tylko głośno myślę.

Wygląda dzisiaj wyjątkowo uroczo, bo ma na sobie krótkie dżinsowe ogrodniczki, a jej ogniste włosy są zwinięte w dwa śmieszne koczki po bokach głowy.

– Nie mówiłeś, że masz nową sąsiadkę – odzywa się moja siostra. – Cześć, jestem Summer, siostra tego głupka, a to Sky. – Macha do wróżki zębuszki, a ta uśmiecha się przyjaźnie.

– Hope – przedstawia się.

Wykorzystuję nieuwagę Summer i spycham ją z leżaka na trawę, za co zostaję obrzucony kilkoma wulgarnymi określeniami i pozdrowiony środkowym palcem.

Wyszczerczam się i zwracam do mojej sąsiadki.

– Przyłącz się do nas i powiedz mi coś więcej o prawdziwych mężczyznach, których zapewne znasz z kolekcji swoich romantycznych powieści – zachęcam.

Hope wykrzywia swoje piękne usta w złośliwym grymasie. Dotyka kieszonki ogrodniczek, z których wystaje właśnie jedna z jej książek i przybiera bojową pozę.

– Bezpieczniej będzie dla ciebie, jeśli zostanę po tej stronie płotu – odpowiada hardo. – Mogłabym jeszcze przypadkiem ciebie nadziać na ten kij i wsadzić w ognisko.

Odstawiam piwo i zamieniam je na butelkę z wodą. Wrzucam do niej kilka kostek lodu i potrząsam.

– Nic dziwnego, niejedna miała już apetyt na moją kiełbasę. – Puszczam jej oko. – Chodź tu i ładnie mnie poproś, to cię poczęstuję.

Summer wydaje z siebie dziwaczny skowyt.

– Zaraz się porzygam – sapie.

Rzucam w nią kostką lodu.

– Zamknij się, dzieciaku – nakazuję. – No dalej, jeśli nie chcesz kiełbaski, mam też pyszne chrupiące pianki. Podzielę się z tobą. – Poklepuję leżak obok mojego, a Hope wciąż jest niezdecydowana. W końcu jednak uchyla furtkę i podchodzi do mnie. Przysiada na samym krańcu leżaka i przygląda mi się podejrzliwie, kiedy podaję jej jedną z upieczonych pianek.

– Dziękuję. – Skubie kawałeczek deseru, dmucha i wsuwa do ust. Przymyka powieki i mruczy zachwycona.

A ja nabieram apetytu na coś zupełnie innego niż te pieprzone pianki.

– Dobrze? – pytam, nie odrywając spojrzenia od jej warg. I wtedy właśnie dostrzegam coś, czego wcześniej nie widziałem. Kolczyk w jej języku!

Ten Rudzielec ma kolczyk w języku. Mały, lśniący diamencik, który nagle wabi mnie ku niej bardziej niż jakikolwiek komplet zmysłowej bielizny.

Jak mogłem to przeoczyć?

Hope rozchyła powoli oczy.

– Przecież masz własne.

– Te w twoich ustach wydają mi się o wiele smaczniejsze – szepczę.

Hope zjada resztę pianki, a później oblizuje dolną wargę. Powoli, kusząco.

Celowo... Wredna wiedźma, chce mnie zabić.

– Jezu, człowieku, odrobinę subtelności. – Czar pryska, jak zwykle, kiedy wtrąca się moja siostra. – Kobiety nie lubią takich ordynarnych flirtów.

Co za bachor.

– Niech ktoś ją zaknebluje – błagam.

Hope chichocze rozradowana naszą sprzeczką.

– Świetną masz siostrę – oznajmia.

Ta, fantastyczną niczym wycieczka w odbył hipopotama.

Wbijam w nią karcące spojrzenie.

– Nie wątpię, że zostaniecie najlepszymi przyjaciółkami. Obie macie ten sam charakterek godny harpii.

Rudzielec zabiera mi kolejną piankę z kija.

– Zdecyduj się: albo mnie podrywasz, albo mnie obrażasz – drażni się.

Zanim zdąży wziąć deser do ust, unieruchamiam jej nadgarstek i zamykam na nim wargi. Na nim i na jej opuszkach.

– Jakoś ciężko mi się zdecydować, czarownico. – Obluzuję jej palec z resztek słodczy i uwalniam.

Hope odsuwa się zażenowana, ale i tak udaje mi się wychwycić jej przyspieszony oddech.

Nie jestem jej tak obojętny, jak próbuje udawać. Nawet jeśli wmówiła sobie, że pragnie jakiegoś dupka.

Którego już chcę wykastrować, a nawet nie wiem, jak wygląda.

– Więc wybieracie się na wspólny wyjazd? – zmienia temat.

Sky przeciąga się na hamaku i sięga do stolika po swojego drinka z parasolką.

– Tak, namawiamy ich na kilkudniowy wypad za miasto – odpowiada.
– Wspaniały pomysł – świergocze moja sąsiadka. – Założę się, że nigdy nie nocowałeś pod namiotem. – Zerka na mnie.

– I nie mam tego w planach. Jeśli już gdzieś wyjedziemy, wynajmiemy domek – wtrącam bezkompromisowo.

Hope patrzy na mnie z politowaniem.

– Domek? Taki godny pięciogwiazdkowego hotelu, co?

Pociągam za różową frotkę z kokardką, podtrzymującą jej dziecinny koczek.

– Mam zamiar odpocząć, a nie organizować obóz przetrwania.

Na jej usta wkrada się uśmiech. Bardzo, bardzo złowieszczy.

– Cykor – woła tak głośno, że pewnie słyszy ją nawet ta nawiedzona staruszka pani Mendes.

No nie. Jeśli ta mała złośnica myśli, że może sobie bezkarnie ze mną igrać i uniknie konsekwencji, to najwyraźniej jeszcze się nie zorientowała się, z kim ma do czynienia.

Bo ja zawsze podejmuję wyzwania.

– Jak mnie nazwałaś? – warczę.

Hope poklepuje mnie po kolanie, ale nie jest to żaden uwodzicielski ruch. Tak samo klepie się psa, któremu współczuje się posiadania pcheł.

– Co cię tak przeraża? Narąbanie drwa na opał? Złowienie kilku rybek na kolację? Starcie z krwiozerczymi wiewiórkami, które zakradną ci się do namiotu w poszukiwaniu jedzenia? – wylicza, udając załęknioną.

Jędza.

– Nie jestem pieprzonym Tarzanem.

Cofa dłoń i rozpiiera się wygodniej na leżaku. Wymienia uśmieшки z pozostałymi dwiema uczestniczkami ze zlotu czarownic.

– Nie, z całą pewnością nie – rzuca.

– Coś mi sugerujesz?

Rudzielec zagarnia butelkę, do której niedawno wrzucałem kostki lodu, i upija odrobinę wody. Pojedyncza kropla wymyka się, spływa z kącika jej ust na brodę. Wyciera ją i dźga mnie wymalowanym na pomarańczowo paznokciem w tors.

– Nie odważyłabym się, cykorze.

No dobra, skoro tak bardzo chce, ja też mogę zastawić na nią pułapkę.

– Pojedziemy pod namioty – przystaję.

Sky ożywia się tak bardzo, że prawie wywija fikołka na tym hamaku.

– Naprawdę? – Klaszcze w dłonie, a później przybija piątkę z moją równie usatysfakcjonowaną siostrą.

Kiwam potakująco głową, lekceważąc Davida, który robi z palców spluwę i przykłada ją sobie do skroni.

– O ile Hope pojedzie z nami – dodaję.

Moja nowa asystentka wciąga ze świstem powietrze, a uśmiech na jej twarzy zamienia się w przerażoną minę.

– Co? Nie mogę, to miał być wasz wypad... – broni się.

– W przyszłym miesiącu – ciągnę. – Nie martw się, pogadam z twoim szefem i na pewno dostaniesz wolne w pracy. – Tym razem to ja triumfuję.

Szach-mat, ognistowłosa ślicznotko.

Odbieram jej moją butelkę z wodą i wylewam ją sobie na tors, żeby się ochłodzić.

Szach-mat po raz drugi.

Muskam palcem szczyt nosa zapatrzonej we mnie Hope i uśmiecham się jeszcze szerzej, kiedy mruży się wściekle.

– Kutas – syczy i odwraca się obrażona.

Bez wątpienia za mną szaleje.

ROZDZIAŁ 6



HOPE

Ustawiam figurkę szczęśliwego słonia na blacie swojego biurka i odrzucam włosy na plecy.

Głęboki wdech. Jestem gotowa.

Mój telefon wibruje, a gdy zerkam na wyświetlacz, zauważam nowego esemesa.

Quinn: Powodzenia w pracy.

Wielkie, kurna, dzięki.

Gdybym była rozsądniejsza, dziś nie siedziałabym tutaj, tylko zgodziła się na propozycję mojej przyjaciółki, która zapewniała, że może załatwić mi pracę w firmie Dextera Sinnera, innego wielkiego bogacza.

A jednak jestem tutaj. Wizyta w piekle, dzień pierwszy.

Uwaga, król odmętów piekielnych właśnie zmierza w twoją stronę.

– Dzień dobry, pani asystentko. Gotowa do pracy? – Jacob przystaje naprzeciwko mojego biurka, a ja prawie spadam z krzesła na jego widok.

Niebywałe, dziś nie ma krawata. Tylko błękitna koszula z rozpiętymi górnymi guzikami i wygładzonym kołnierzykiem.

Kto by się spodziewał, że elegancik pominie tak istotny akcent swojego stroju. Myślałam, że nawet sypia pod krawatem.

Przywołuję sztuczny uśmiech.

– Mam wrażenie, że zanim się skończy, będę wolała pocałować ziejącego ogniem smoka niż tu wrócić – mamroczę.

Pilnie potrzebuję drugiej kawy. Przeprowadzka mnie wyczerpuje. Na dodatek jestem dziwnie zestresowana pracą z tym... facetem.

Jacob opiera dłonie na moim biurku i pochyla się ku mnie.

– Bez obaw, sprawię, że pokochasz tę robotę. – Czarne ślepie świdrują mnie niemal na wskroś.

Te wszystkie podteksty seksualne muszą się skończyć. Nie jestem zainteresowana.

Prawie wcale.

– Szczerze wątpię. Jakieś polecenia, szefie? – odpowiadam tonem perfekcyjnej profesjonalistki.

Jacob przekrzywia głowę niczym szczeniak łaknący pieszczot.

– Mów do mnie „proszę pana” – szepcze, zbliżając się jeszcze bardziej.

Coś w moim podbrzuszu związuje się w mały supełek, a ja rozglądam się wokół. Na tym piętrze są tylko cztery stanowiska pracy. Moje, Jacoba, dziewczyny od finansów i jakiegoś faceta, który tylko zapycha się chrupkami kukurydzianymi i ogląda filmy na telefonie. Najwyraźniej też jest jakąś szycią, bo godzinę temu Jacob siedział z nim w gabinecie i też rżał z tych filmików, nie naganiając swojego leniwego podwładnego do wykonywania obowiązków.

– Odmawiam.

– Dlaczego?

Spoglądam na niego spod rzęs.

– Bo to nie biznesowe polecenie, tylko perwersyjne życzenie – warczę.

Jacob się uśmiecha.

– Będziesz utrudniać. – Kiwa głową. – To dziwne, ale nie mogę się tego doczekać. – Wyjmuje mi z rąk plik dokumentów, pilnując, żeby przy tym musnąć moje palce swoimi.

I znowu mruga. A ja mam ochotę dziobnąć go w to wiecznie mrugające oko pineską.

– Proszę pana? – Za plecami Jacoba niespodziewanie pojawia się Ciara. Ładna blondynka o dziecięcej urodzie. To ona pracuje dla tego leniwego kolegi mojego szefa.

I mówi do Jacoba per pan.

Przyglądam im się ostrożnie, ale nie zauważam między tą dwójką niczego niestosownego.

Żadnych przeskakujących iskier i wyuzdanych uśmieszków.

Nie żeby mnie to obchodziło. Jak dla mnie Jacob może sobie tutaj urządzać orgię ze swoimi pracownikami wołającymi do niego: „proszę pana”, kiedy z nimi kopuluje.

– Tak? – Jacob zerka na Ciarę.

– Dokumenty, o które pan prosił. – Wręcza mu jakąś teczkę. – Spotkanie w sali konferencyjnej przesunięte o pół godziny. Pani Devito stoi w korku.

Prostuję się na krześle.

To mój pierwszy dzień i totalnie się gubię w tym, co tu się dzieje. Klikam więc dyskretnie w kalendarz dzisiejszych spotkań i czytam.

– Wątpię, pewnie nie wie, jakie buty wybrać – dowcipkuje sobie. – Dziękuję, możesz odejść.

Przesuwam kolczykiem w języku po podniebieniu.

– Nasza klientka? – pytam.

– Laura Devito jest szczególnie uciążliwa. Sama się przekonasz – mówi mój nowy szef, spoglądając na złoty zegarek na nadgarstku. – Za godzinę. Na spotkaniu.

– Mam tam być?

– Oczywiście. Od teraz do godziny piątej nie odstępujesz mnie na krok. – Pochyla się i odbiera mi myszkę, a później wystukuje coś na klawiaturze. – To polecenie bardzo służbowe.

W kalendarzu widnieje pogrubiony zapis „Spełniać wszelkie kaprysy pana Parkera”.

Jasne.

– W kibelku też sobie sam nie poradzisz? – zagajam przesłodzonym głosem.

– Skup się, złościco. – Jacob pociąga zaczepnie mój warkocz. – To jest teczka. Biała. W niej są wszelkie propozycje haseł reklamowych, które zostały opracowane w ostatnim miesiącu przez mój zespół. – Wpycha mi przed nos to, co przyniosła mu Ciara.

– Nadażam.

– Świetnie. Przejrzyj je i wybierz te, które do czegoś się nadają, a potem włóż je do tej drugiej teczki. Czarnej. I przynieś na moje biurko.

I przynieś na moje biurko.

Polecenie bardzo służbowe.

Mów do mnie „proszę pana”.

Jezu, skup się, Hope. Ale to piekielnie trudne, kiedy wszystko, co mówi ten mężczyzna, kojarzy mi się z seksem.

– A jak wszystkie będą do dupy? – ciągnę rozmowę, udając, że jakaś część mnie wcale nie wyobrażała sobie właśnie, że rozpinam kolejny guzik jego koszuli.

Jacob robi złośliwą minę.

– To masz pecha.

– Dlaczego?

– Bo to tobie przypadnie zaszczyt ich poprawienia.

Wszystkich?

Kiedy zaglądam do teczki, z jej środka wysypuje się cała sterta kartek i nagle blat mojego biurka wygląda, jak gdyby przeszło po nim małe tornado.

– A ja nie wzięłam sobie niczego słodkiego do pracy – burczę pod nosem, kiedy Jacob znika w swoim gabinecie. – Katastrofa.

– Na rynku krąży wiele podobnych produktów, więc bez wątpienia przydałby się jakiś akcent wyróżniający najnowszy kosmetyk stworzony przez panią Devito – odzywa się facet z działu kreatywnego.

Christian Jonson z okularami na nosie, ubrany w biały garnitur. Gada od pół godziny, a ja notuję, chociaż osiemdziesiąt procent z tego, co słyszę, nadaje się do kosza.

– Jakie macie propozycje? – docieka ze swojego miejsca pana i władcy Jacob. Siedzi oczywiście u szczytu długiego prostokątnego stołu, a ja zaraz obok niego. I niejaka pani Devito po jego drugiej stronie. Reszta zgromadzenia oblega stół konferencyjny jak mrówki. Razem kilkanaście osób.

– Oto kilka haseł, które zasługują na wyróżnienie – dorzuca Christian i przewija swoją prezentację.

– „Pozwól sobie na odrobinę fantazji z kremem przeciwzmarszczkowym Heveno”. Ten mi się podoba. – Pani Devito chichocze i zerka na Jacoba. – Seks zaczyna się w tym pudełku – dodaje aż nazbyt zalotnie, wodząc długim zakrzywionym czerwonym pazurem po wieczku swojego kosmetyku.

Seks zaczyna się w tym pudełku?

Laska przypomina mi hienę. Jest koło czterdziestki, a jej pragnienie zaciągnięcia Jacoba do łóżka jest wręcz namacalne. Namolna, wstrętna baba-jaga. Nie zależy jej na tym kremie, bo już obraca milionami. To pretekst, żeby sobie poflirtować z moim szefem.

Teraz już rozumiem, co znaczyły słowa Jacoba, że Laura Devito jest specyficzną klientką.

Czy on z nią sypia? Albo sypiał?

– Ale to nie reklama kremu na erekcję – oznajmiam, zanim zdążę ugryźć się w język.

Laura zaszczycza mnie pobłażliwym spojrzeniem.

– Moja droga, wierz mi, że wiele kobiet skusi się na takie niegrzeczne smaczki. – Obraca wielki srebrny pierścień na swoim palcu. – Bywamy naprawdę nienasycone, kiedy mamy odpowiednio motywującego mężczyznę u boku. Co myślisz, Jacob?

O ja pierniczę. Serio?

Jacob nie patrzy ani na Laure, ani na mnie. Skupia się na jakiś papierach i marszczy brwi.

– Podoba mi się wzmianka o seksie w pudełku, ale faktycznie nie nadaje się do reklamy kremu przeciwzmarszczkowego.

Przygryzam wargę.

– To kolejny błąd – burczę.

Jacob w końcu odwraca się ku mnie.

– Wyjaśnij.

Nie powinnam się wtrącać, ale to moja wada. Nie umiem milczeć.

– Nie musicie w każdym haśle reklamowym podkreślać, że to krem przeciwzmarszczkowy. – Wyrywam Jacobowi długopis z dłoni i wykreślam to słowo z haseł. – To wyrażenie przypomina kobietom, że się starzeją. Marszczą jak przesuszone rodzyнки.

W oczach Jacoba pojawia się rozbawienie.

– Rodzyнки? – powtarza.

– Warto by podkreślić, że zmarszczki nie umniejszają kobiecego piękna.

Ignorowana pani Devito stuka swoim szponem o blat.

– To po co im w takim razie mój krem, skoro i bez niego są doskonałościami? – ironizuje.

Nie przypadłam jej do gustu. I nie podoba jej się, że Jacob teraz skupia się na mnie, a nie na niej. Jak mi przykro.

– Żeby to piękno podkreślić, a nie sugerować, że potrzebuje naprawy – odrzekam. – Jak... – Urywam.

Mój szef wpatruje się we mnie z zaciekawieniem.

– Jak co?

– Jak idealny kobiecy zestaw. – Przesuwam końcówką długopisu po ustach. – Twój uśmiech i krem Heveno, bo nie potrzebujesz żadnych innych ozdób, by lśnić. Albo coś takiego – wymyślam.

Gość z działu kreatywnego podrywa się z fotela.

– Genialne – krzyczy.

– Wspaniałe, zapisz to – dodaje ktoś inny.

Wzruszam ramionami. Wszyscy wlepiają we mnie wzrok, a ja tego nie znoszę. Nie lubię znajdować się w centrum uwagi. To krępujące i wywiera na mnie niezrozumiałą

presję.

Jacob się nie odzywa. Z jego twarzy też nie da się nic wyczytać.

Nie podoba mu się? Może i te pochwały były przesadzone, ale wymyśliłam to w trzy sekundy i na pewno jest lepsze niż porównanie kremu przeciwzmarszczkowego do seksu w pudełku, na miłość boską.

– Lauro, twoje zdanie? – zwraca się do swojej klientki.

Laura stroszy się, obrażona.

– Nie jestem przekonana, zdam się na twoją decyzję – odpowiada i przesuwa dłonią po ramieniu Jacoba.

Zaciskam szczękę i skupiam się na tym, co zapisałam w swoim notatniku.

O Jezu...

W samym rogu kartki widnieje podobizna pani Devito. Z rogami i ogonem.

Nie rysowałam tego. Czy rysowałam tak bardzo instynktownie, że nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy?

Jacob kieruje wzrok na mnie.

– Moim zdaniem to wspaniałe hasło reklamowe, Hope – oznajmia. – Brawo. – Nutka podziwu dźwięcząca w jego głosie sprawia, że się roztapiam. Odrobinę.

Dlatego że każdy lubi być doceniany.

– Dziękuję – odpowiadam, niby niewzruszona.

– Jakież pytania, uwagi? – Szef zwraca się do reszty ekipy.

Wszyscy zgodnie zaprzeczają.

Jacob zatrząskuje swój laptop i odsuwa krzesło od stołu.

– W takim razie dziękuję za dzisiaj. – Wstaje jako pierwszy, a pracownicy podnoszą się zaraz po nim.

Laura oczywiście nie odstępować go na krok.

– Już kończysz pracę? – docieka, zakładając na ramię swoją torebkę Prady.

Jacob zagarnia dokumenty i laptop.

– Niedługo – potwierdza.

– Może zjemy razem kolację?

Zatrząskuję swój notes trochę za głośno.

Dorysowałam jej zdecydowanie za małe rogi i ogon. I zapomniałam o diabelskich kopytach do kompletu.

Serio, umawiają się przy mnie na schadzki?

Jacob zerka na mnie. Czarne tęczówki połyskują, jak gdyby zdradzały mi jakąś tajemnicę. A potem uśmiecha się, gdy zerka na mój notes.

Niech to szlag. Widział mój artystyczny popis. I jest rozbawiony. Unosi brwi, jakby na coś czekał.

– Nie mogę. Przykro mi – odpowiada Laurze. – Obiecałem już Hope, że uczczę z nią jej pierwszy dzień w pracy.

Że co?

Zabiję go...

ROZDZIAŁ 7



JACOB

Jako że moja propozycja randki została stanowczo odrzucona przez Rudzielca, ukośnik moją nową sąsiadkę, ukośnik moją nową asystentkę, postanawiam zasiąść na werandzie i skupić się na moim nowym projekcie reklamowym.

Klikam w folder o nazwie DE ROE i wczytuję się w podesłane przez dział handlowy informacje. Jednocześnie kątem oka zauważam, że Hope wynurza się na zewnątrz. Najpierw czyta, pewnie powieść o wielkiej jak Himalaje miłości, i coś zajada. W końcu wyciąga jakąś skrzynkę pełną sadzonek i pada na kolana.

Skup się na pracy, durniu, a nie na swojej sąsiadce klęczącej przy rozkopanej grządce.

Wracam do czytania, sprawdzam harmonogramy działań promocyjnych i ich kosztorysy. Nie wiem, jak długo to robię, ale prawie kończę, kiedy dobiega mnie przeciągły pisk.

– William. – Głos Hope kłuje mnie w uszy.

Co to było? Dlaczego nagle brzmiała jak skrzeczący płaz w okresie godowym?

Unoszę wzrok znad laptopa i przenoszę go na moją sąsiadkę pracującą kawałek dalej.

Kłęczy przy płocie w kolejnych seksownych ogrodniczkach i wciąż grzebie w ziemi. Wcześniej dekoncentrowała mnie co kilka minut, nucąc wesołe melodie, a teraz zrywa się nagle i staje wyprostowana jak struna, gapiąc się na stojącego obok niej mężczyznę.

– Jak idzie przeprowadzka? – zagaja William, jeden z naszych sąsiadów. Ten sam, którego toleruję mniej więcej tak dobrze, jak niewolnik chłostę.

Dupek podchodzi do Hope, a ona podryguje z każdym jego krokiem jak marionetka podczas elektrowstrząsów.

– Jestem teraz królową kartonowych pudeł – oznajmia, wycierając swoje brudne łapki o ogrodniczki. Opamiętuje się, dopiero kiedy zauważa ciemne plamy na ubraniu.

Królowa kartonów?

Chyba czeka mnie świetne przedstawienie.

– Dlaczego? – William ukośnik dupek marszczy się, nie rozumiejąc.

– Bo... zapakowałam w nie całe swoje życie – świergocze. – Bez kwiatków. Bo kupiłam je dzisiaj, żeby posadzić w ogródku.

Przykładam pięść do ust, żeby się nie roześmiać.

Co ona bredzi?

Mój ulubiony sąsiad, który – sądząc po wymiętym ubraniu – wrócił właśnie z kolejnej całonocnej imprezy, gdzie złapał następną chorobę weneryczną, kuca przy świeżo skopanej grządce.

– Wyglądają... dziwnie.

– Bo jeszcze nie kwitną – zapewnia z uśmiechem Rudzielec.

Przyglądam się nowym sadzonkom i zaczynam kaszleć, żeby zatuszować napad śmiechu.

Ja tam dostrzegam inny powód ich nietypowego wyglądu.

– Albo dlatego, że wsadziłaś ich kwiatostan w ziemię zamiast korzenia – odzywam się, upijając łyk kawy.

Hope przenosi na mnie spojrzenie.

– Co takiego?

Szczerzę zęby, bo już nie mogę się powstrzymać.

– Posadziłaś kwiaty do góry nogami – powtarzam.

Moja sąsiadka dotyka jednej z sadzonek, a potem przykładą brudną rękawiczkę do czoła i przeciąga ją aż do policzka, tworząc smugę, z której najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy.

– O rany – piszczy.

William podchodzi do stolika, na którym Hope wcześniej ustawiła sobie talerz z babeczkami.

– Za to one wyglądają świetnie. Sama piekłaś?

Hope ściąga rękawiczkę i potakuje skinieniem głowy. Podchodzi do niego i nalewa sobie lemoniady do szklanki.

– Tak. – Przesuwa talerz z wypiekami w jego kierunku. – Proszę, poczęstuj się.

William wyciąga dłoń po jedną z babeczek.

– Dzię... – Urywa, kiedy Hope gwałtownie wycofuje naczynie ze smakołykami poza zasięg jego palców.

– Albo nie, lepiej nie. Nie rób tego. – Uśmiecha się, ale tym razem przypomina mi trochę obłąkanego rekina zamiast seksownej pani ogrodnik. – Nie piekę najlepiej – dodaje.

William drapie się w skroń.

– Ale ty je jesz – zauważa.

Hope przeżuwa kęs babeczki i przestępuje z nogi na nogę.

– Ja przywykłam do swojej koszmarnej kuchni.

Walę głową o zimny blat swojego stołu, coraz bardziej zagubiony.

Nie rozumiem, czemu nagle Hope zachowuje się jak cyrkowa wiewiórka, ale wtedy zauważam coś zupełnie innego.

O ja pieprzę.

– À propos jedzenia, twój kot właśnie wszedł przez otwarte okno do domu Williama – wtrącam, rozpierając się wygodnie na kanapie ogrodowej.

Zielone oczy Hope robią się trochę wyłupiaste.

– Ojej, przepraszam za nią. Zaraz ją zabiorę. – Wpycha Williamowi w ręce nadgryzioną babeczkę.

Coraz lepiej, Rudzielcu.

– Lepiej się pospiesz – polecam.

Hope odwraca się do mnie ze zniecierpliwioną miną.

– Bo co, dupku? – Łapie się bojowo pod boki.

Wydaje się naprawdę słodziutka, kiedy się tak nakręca, ale za sekundę odbije jej jeszcze bardziej.

Uśmiecham się i niespiesznie upijam kolejny łyk mrożonej kawy.

– Bo tak się składa, że William jest wielbicielem gryzoni. Ma pod swoim dachem trzy chomiki i dwie świnki morskie – tłumaczę. – Jakie są szanse, że Łatka nie uzna ich za swoją kolację?

Hope mruga i zamiera w miejscu. Nagle odwraca się do Williama i w stronę uchylonego okna domu naprzeciwko.

– Nie.

I wystrzela przed siebie ze zdumiewającą prędkością.

Nie mogę powstrzymać śmiechu, kiedy William biegnie za nią. Biedak nie ma szans jej dogonić.

– Zaczekaj – woła.

Nic z tego. Hope już wpełza do domu Williama przez to samo okno co jej kot.

– Nie, nie, nie – wrzeszczy. – Łatko, stój. To nie jedzenie.

Żałuję, że nie widzę, co dzieje się w środku, ale intuicja podpowiada mi, że armagedon przy tym to pikuś. Mijają dwie długie minuty, a wtedy ruda głowa Hope ponownie wydostaje się na zewnątrz przez okno. A potem reszta jej ciała.

No proszę, zwinność rasowego rabusia.

– Wszystko w porządku? – pyta z wahaniem William.

Hope potakuje. Włosy wysypują jej się z upięcia i opadają na twarz.

– Tak, jasne. – Unosi biedną Łatkę wysoko niczym chwalebne zwycięskie trofeum. – Mam ją. Żadnych szkód.

Jestem zawiedziony.

– Mogłaś wejść ze mną drzwiami – zauważa William.

– Wybrałam szybszą alternatywę. – Przytula kota do piersi. – Pójdę już. Przepraszam za kotkę. – I maszeruje w moją stronę, zostawiając Williama za sobą.

Podnoszę się i podchodzę do dzielącego nasze ogrody płotu.

– Co ty wyprawisz, Hope?

Rudzielec uwalnia kotkę z objęć i zagarnia rozczochrane włosy z czoła. Krzywi się i wygląda na kompletnie zdruzgotaną.

– Żadnych wrednych, drwiących komentarzy – ostrzega.

Obserwuję, jak przykłęka przy swoich zniszczonych sadzonkach i zaczyna walić pięściami w ziemię.

– Dlaczego... – Milknę, gdy nagle całe podwórko Hope zostaje ochlapane wodą. Włącznie z nią.

– Cholera, spryskiwacze! – Podrywa się i majstruje coś przy urządzeniu, żeby je wyłączyć. W końcu woda przestaje lecieć, a moja sąsiadka wzdycha głośno.

– Coś ty znowu z nimi narobiła?

Milczy i tylko obrzuca je wściekłym spojrzeniem.

Opieram łokcie na dzielącej nas furtce, a Hope odwraca się i podchodzi do mnie.

Wygląda, jakby uciekła z wanny z błotem w spa, ale zdaje się autentycznie przygnębiona, więc powstrzymuję swój uśmiech.

– Musiałam się rozkojarzyć i coś zepsuć. Chciałam tylko podlać kwiaty.

Rozkojarzyć się?

Opuszczam wzrok na rząd zabawnych sadzonek.

– Te zasadzone do góry nogami?

Hope drapie się w policzek.

– Idź stąd – nakazuje.

Zamiast jej posłuchać, wyciągam rękę i wyjmuję liść zaplątany w jej piękne ogniste loki. Przyglądam się jej i w końcu coś do mnie dociera.

Ale ze mnie głupi sukinsyn. Jak mogłem się nie zorientować, co jest prawdziwym powodem dziwnego zachowania Hope?

– To on ci się podoba. William Miller. Poważnie? – Moje gardło opuszcza kolejna salwa śmiechu, ale tym razem nie jest on oznaką dobrego humoru.

Pieprzony William Miller, oczywiście, że tak. Facet, o którym mi wspominała. W końcu znam jego tożsamość.

No proszę, co za niespodzianka. Napaliłem się na kobietę, która pragnie Williama Millera.

Hope cała się chmurzy.

– Powiedziałam, żebyś stąd poszedł.

Zaciskam dłonie na ostrych krańcach płotu tak mocno, że aż czuję, jak drzazgi wrzynają mi się w skórę.

Powinienem iść. Mądry facet by sobie poszedł.

– Dlaczego zachowywałaś się przy nim jak...

– Jak idiotka? – wtrąca.

Ma tak smutną twarz, jakby chciała się rozpłakać, a ja, zamiast jej współczuć, jestem wkurwiony. I mam ochotę nią potrząsnąć.

– Nie rozumiem tego – zaczynam. – Jesteś piękna, zabawna i masz w sobie ogień, pokazywałaś mi go nie raz.

Hope podnosi zdjętą wcześniej rękawiczkę i ciska nią na schody.

– Bo cię nie lubię, wkurzasz mnie i nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz, a on mi się podoba – wyrzuca. – Za bardzo się staram i zanim się obejrzę, wychodzę na laskę, którą trzeba pilnie egzorcyzmować.

Czuję, jak mięśnie napinają mi się pod skórą od wzbierającej we mnie złości.

Nie lubi mnie. I ma fisia na punkcie Millera. Jaśniej nie można dać mężczyźnie kosza, Parker. Spadaj stąd. Ona cię nie chce, a ty z całą pewnością nie potrzebujesz ładowania się w takie gównno.

Odejdź.

– Chodź ze mną na randkę – proponuję.

Bo jestem głupkiem i masochistą.

I bo słucham fiuta zamiast rozumu.

Hope kręci głową.

– Przecież nie...

– Udawaną – dodaję, zanim zdąży się wykręcić. – Poćwiczysz flirt, pokażę ci, co lubią faceci. Jak zdobyć jednego z nich.

Rudzielec aż zachłystuje się z wrażenia. Pewnie ma mnie za wariata. I się nie myli, wcale.

– Chyba nie mówisz serio.

Tak, ta propozycja zasługuje na to, żeby okrzyknąć ją kawałem stulecia, biorąc pod uwagę sympatię, jaką pałam do Millera.

Mam zamiar uczyć kobietę, której pragnę, jak uwieść gościa, którym gardzę.

Rozluźniam uchwyt na płocie i zmuszam się do uśmiechu.

– Poza tym nasz sąsiad z naprzeciwka widzi, że ciągle siedzisz na tarasie i czytasz romantyczne powieści. – Wskazuję na leżącą na stole obok talerza z babeczkami książkę, którą wcześniej pochłaniała Hope. – To odstrasza.

Bojowa poza wraca. Dłonie zaciśnięte na biodrach i groźne tupanie nogą.

– Czemu?

Bo większość facetów to kutasy, które bez oporów wykorzystają jej niewinność i wiarę w uczucia, żeby wziąć to, czego chcą, i się zwinąć.

A czy ty zrobiłbyś coś innego, stary?

Chcę, żeby poszła ze mną na randkę. Prawdziwą. Tylko co potem? Przecież nie mam jej do zaoferowania nic poza seksem bez zobowiązań. Może to dobrze, że jest nieosiągalna. Chociaż szczerze wątpię, żeby ktoś taki jak William potrafił ją docenić.

– Bo krzyczy, że masz obsesję na punkcie miłości i ślubu – mówię.

– To coś złego, że chcę jednej miłości na całe życie?

Ani trochę, piękny Rudzielcu. Ale to raczej mrzonka.

– Chodź ze mną na randkę, to pomogę ci umówić się z nim – powtarzam swoją porąbaną ofertę. – Mam czas dziś wieczorem.

Hope podchodzi do mnie i wpatruje się w moje oczy.

– To najdziwniejsza propozycja, jaką mi złożono.

Wzruszam ramionami, udając, że mam to w dupie.

– Możesz też nadal gapić się na niego i sadzić kwiatki do góry nogami albo włamywać się do jego domu przez okno razem ze swoim kotem – mruczę.

Jeśli nauczyłem się do tej pory czegoś o Hope Vitteli to tego, że ona też nie rezygnuje się z wyzwania. Jest dumna i harda.

– Nie włamałam się – zaprzecza bez przekonania. – Dobra, niech ci będzie. Będę gotowa o ósmej.

No to zaczynamy rozgrywkę.

Nie jestem tylko do końca pewien, o co chcę grać. I czy w ogóle mogę zwyciężyć.

ROZDZIAŁ 8



HOPE

Chyba oszalałam. Jak inaczej wytłumaczyć to, że dałam się namówić na tę udawaną randkę z Jacobem Parkerem?

Randka. Randka. Randka.

Na dodatek z jakiegoś na pewno nieracjonalnego powodu moje serce wywija w piersi fikołka, kiedy przez moje myśli przebiegnie to słowo.

Może spróbuj: UDAWANA randka, Vitteli? Zresztą przecież nawet tego nie chcesz. Nie z nim.

– Co to za restauracja? – pytam, rozglądając się po strojnym wnętrzu.

Zwykle nie chodzę do takich miejsc, bo żeby cokolwiek tu zjeść, musiałabym zaciągnąć kredyt, który spłacałabym do emerytury, więc to kiepsko opłacalna inwestycja, ale muszę przyznać, że lokal robi wrażenie.

Wystrój kojarzy się trochę z epoką baroku. Złoto, brązy i inne rozmaite mieszanki tych kolorów sprawiają wrażenie, jak gdyby weszło się do jakiegoś zamczyska. Trochę nawiedzonego, trochę bajkowego. Obramowania ogromnych okien zostały ozdobione złotymi zygzakami i przysłonięte piaskowymi kotarami. Stoliki i krzesła z lakierowanego drewna oraz kryształowe lampy nadają pomieszczeniom delikatność i elegancję.

– Najlepsza w mieście – odpowiada Jacob, przeglądając menu.

Niczego innego się po nim nie spodziewałam.

– Oczywiście, że tak. Obstawiam, że nie zjemy tu pizzy?

Łudziłam się, że właśnie tak będzie wyglądała ta nasza niby-randka. Niezobowiązująca pogawędka i szybkie żarcie, a nie podróż do baśniowej krainy wyjętej żywcem z moich marzeń.

Gdyby to była prawdziwa randka, topniałabym teraz jak kostka lodu wrzucona na rozżarzone węgle.

Jacob uśmiecha się dziwnie przebiegle.

– Zjemy, co tylko zechcesz. Bo to moja restauracja. Kucharz spełni twoje najbardziej perwersyjne zachcianki kulinarne – oznajmia i odkłada kartę dań.

To jest jego knajpa?

– Masz własną restaurację? – sapię.

W czarnych oczach pojawia się psotny błysk.

– Tylko jedną.

– Biedaku.

Jacob sięga po jedną z czerwonych róż obsypanych brokatem i muska kwiatem końcówkę mojego nosa.

– A więc życzy sobie pani pizzę? Jakieś specjalne dodatki?

Zaciskam palce na łodydze, próbując ignorować ucisk w piersi.

Uspokój się, on się tylko z tobą drażni.

– Zaskocz mnie – odpowiadam aż nazbyt kokieteryjnym tonem.

Tak, grunt to opanowanie i nieuleganie emocjom.

Jacob nikogo nie przywołuje. Po prostu wyciąga telefon i dzwoni.

– Pizzę do sali królewskiej – zamawia. – Dodatki mają zadowolić bardzo wymagające kobiece podniebienie. – I rozłącza się.

Sala królewska.

Wybucham śmiechem.

– Oszukujesz.

Dupek pochyla się nieco i odsuwa na bok dzielący nas świecznik.

– Granie fair jest nudne. – Małe, jaskrawe płomienie odbijają się w jego źrenicach, sprawiając, że wygląda jeszcze mroczniej i bardziej pociągająco niż zwykle.

Trochę jak upiór, bestia uwolniona z czeluści piekielnych, ale taka, za którą chcesz podążyć nawet na samo dno przepaści.

Co ty gadasz, Hope? Weź się w garść.

– Skoro ta udawana randka ma być dla mnie lekcją uwodzenia – zmieniam temat. – Zaczynaj mnie uczyć.

Jacob odsuwa się i zabiera ze sobą tę zniewalającą elektryczność i świeży zapach.

– Co ci się w nim podoba?

Pociągam za troczki mojej białej sukienki do kostek, trochę zbita z tropu.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? Czy to ma jakieś znaczenie?

Jacob poprawia spinkę na mankiecie swojej czarnej koszuli.

– Jestem ciekaw. Wcześniej powiedziałaś, że mnie nie lubisz, że cię wkurzam. – Układa dłonie na stole tak, że nasze palce dzielą jedynie milimetry. – Przegrałem z tym facetem, chcę wiedzieć, co zadecydowało o twoim wyborze.

Przegrał?

Kręcę głową, bo coraz mniej podobają mi się jego żarty. I wprawiają mnie w zakłopotanie. Dobrze wiem, że tak naprawdę widzi we mnie romantyczną wariatkę, przed którą najchętniej uciekłby na inny kontynent, nawet gdyby miał odmrozić sobie jaja i żyć między reniferami.

– Niczego nie przegrałeś. Nawet nie grałeś. My nie...

– Jest między nami przyciąganie. Być może czysto seksualne, ale jest – podkreśla. – Pragniesz mnie.

Krzywię się bezradnie.

– Tak, jesteś gorący, mogłabym cię całego oblizać, bo wyglądasz jak facet, którego wyobrażają sobie kobiety, kiedy pod osłoną nocy chcą się nakręcić i mieć megaorgazm ze swoim wibratorem – zgadzam się. – Ale gdyby liczył się wyłącznie pociąg seksualny, to Jason Momoa już dawno byłby moim mężem.

Jacob rozgląda się po sali.

– Kto?

Wymyka mi się cichy śmiech.

– Taki aktor. Najpewniej wystrugany przez samego szatana, żeby znęcać się nad kobiecym libido. Nieważne. Rzecz w tym, że nie liczy się tylko to, że pociągasz mnie fizycznie – ciągnę. – Chcę czegoś więcej.

Mężczyzna wzdycha i wraca do mnie spojrzeniem.

– Wiem, chcesz swojej bajki, moja mała wróżko. – Jego kciuk gładzi opuszki moich palców tak delikatnie, że nie udaje mi się nie wzdrygnąć.

Tak, to przyciąganie seksualne z pewnością tu jest. Powietrze między nami aż od niego wibruje.

– A ty w nie nie wierzysz, więc jak mógłbyś dać mi jedną? – pytam jak głupia i mam ochotę palnąć się za to w łeb.

A jednak Jacob tylko się uśmiecha i znów zapatruje się na jeden ze stolików w rogu sali.

– Masz rację. William wygląda jak perfekcyjny baśniowy książę. Taki rycerski, przesadnie grzeczny i uczesany – rzuca.

Zanim zdążę coś odpowiedzieć, przy naszym stoliku pojawia się sam szef kuchni i serwuje nam nasze zamówienie, a później rzuca do Jacoba coś po włosku.

A Jacob mu odpowiada. I ma najgorętszy akcent, jaki w życiu słyszałam.

Boże, nienawidzę tego faceta.

– Uczesany? Założę się, że jego loki są naturalne – rzucam pierwszą brednię, jaka przyjdzie mi do głowy.

Czy ja twierdziłam, że przy Jacobie nie zmieniam się w idiotkę, bo mam gdzieś, co sobie o mnie myśli? Bzdura.

Jacob sięga po butelkę wina, którą podano nam razem z pizzą, i rozlewa trunek do kieliszków. Rok wygrawerowany na etykietce i zagadkowa nazwa podpowiadają mi, że cena tego cuda powaliłaby mnie na kolana.

– Zasada pierwsza jest wszystkim znana. – Wręcza mi kieliszek z alkoholem. – Mężczyźni lubią kobiety niedostępne.

– Jestem za bardzo dostępna?

Jacob wyszczerza się znad lampki z winem.

– Prawie się śliniłaś, kiedy do ciebie zagadał. Ślepy zauważyłby, że na niego lecis. I on też na pewno już to wie.

Upijam łyk, bo nagle zasycha mi w gardle.

– To źle?

– Źle, bo od zarania dziejów mężczyźni byli myśliwymi. Bliżej nam do drapieżników, bo uwielbiamy łowy – przemawia. – Pogoń jest ekscytująca.

Przygryzam kolczyk w języku i przechylam głowę.

– Mam uciekać?

Jacob bębni palcami o blat stolika.

– Masz wabić. Nawoływać i odpychać.

Może powinnam robić notatki? Przydałby mi się plik tych małych żółtych samoprzylepnych karteczek. Zawsze miałam genialną pamięć wzrokową.

– Jak można to zrobić jednocześnie? To się wyklucza.

– Ani trochę. Traktujesz go zupełnie obojętnie, żadnych niejadalnych ciasteczek i żartów o byciu królową kartonowych pudeł.

Z moich ust wymyka się jęk.

– Nie przypominaj mi. – Zastaniam oczy palcami. Na nowo wzbiera we mnie poczucie żenady.

Jacob śmieje się głośno, zwabiając tym uwagę kilku gości przy sąsiednich stolikach.

– Ale masz być w tej obojętności kokieteryjna, intrygująca i tajemnicza – wylicza. – Masz sprawić, że nocami będzie się zastanawiał, czy go pożądasz, czy traktujesz jak kolejną zabawkę.

– Dlaczego zabawkę? To przecież nic fajnego być dla kogoś tylko przedmiotem.

Mój szef ukośnik instruktor uwodzenia kręci kieliszkiem, wprawiając wino w ruch, a następnie znów upija łyk.

– To go zmotywuje do dowiedzenia ci, że jest idealnym kandydatem na bycie kimś znacznie więcej. – Podsuwa mi pizzę i sam odgryza kawałek. – A przecież tego właśnie chcesz, czegoś znacznie więcej. Z nim, księciem z idealnymi lokami.

Piorunuję go wzrokiem.

– Nie możesz powstrzymać się od tych złośliwości?

– Taki już jestem. Podły, zepsuty, gburowaty, zarozumiały, sama wiesz.

Rzecz w tym, że ja wcale tak o nim nie myślę. Na jachcie tak było, ale nasze kolejne spotkania dowiodły, że Jacob potrafi być dowcipny, wyluzowany i...

Czy może mi się podobać dwóch mężczyzn jednocześnie?

– A jeśli go odstraszę tymi gierkami? – Skubię pizzę i wsuwam małe kawałki do ust, chociaż całkiem straciłam apetyt.

– Odstraszysz go tym jawnym wzdychaniem do niego – mamrocze. – Łatwo przyszło, łatwo pójdzie w odstawkę.

Rzucam w niego serwetką zwiniętą w kulkę, ale niestety łapie ją w locie.

– Nie jestem łatwa, dupku.

Jacob odstawia kieliszek na stół i przygląda mi się uważnie.

– Nie próbuję cię obrazić, Hope, ale widzę, co on w tej chwili w tobie widzi – zaczyna łagodnie. – I albo ty sprawisz, że uwierzy, że widzisz w nim tylko zabawkę, albo on skorzysta z okazji i ciebie uczyni swoją zabawką.

Super. Może jednak powinnam się wycofać.

– Jesteś pewien, że mnie nie obrażasz?

Mój wkurzający szef ucieka wzrokiem w stronę okna, przy którym siedzimy, i wpatruje się w mrok przez dłuższą chwilę, jak gdyby coś rozważał.

– William to dupek, mieszkam obok niego od trzech lat, miał w tym czasie zbyt dużo dziewczyn – oznajmia, a jego głos jest przepełniony niespodziewanym chłodem.

– A ty żyjesz jak mnich? – ripostuję.

Wiem, że nie, zwłaszcza że ostatniego dnia w pracy byłam świadkiem, jak lgnie do niego płęć przeciwna. Na przykład w postaci Laury Devito.

– Mówię tylko, że on widzi, że jesteś nim zauroczona, a mimo to nie zrobił niczego, żeby zaprosić cię na randkę. Skoro tego nie docenia, nie uważa się za szczęściarza i nie chce się o ciebie starać... – Urywa i spogląda mi w oczy. – Może to znak, że powinnaś go sobie odpuścić.

Znak? On mówi o znakach? Przecież wierzy tylko w przypadki i zbiegi okoliczności, ale jego słowa mimo wszystko... Napawają mnie zwątpieniem.

Skoro tego nie docenia, nie uważa się za szczęściarza...

A czy ty lubisz mnie taką, jaką jestem?

– Co jeszcze powinnam zrobić? – pytam zamiast tego.

– Udawaj, że się spotykamy.

Serce podchodzi mi do gardła.

– Że jesteśmy... parą?

– Tak, ale w tym związku to ja będę tym, który będzie o ciebie zabiegał i uchodził za zakochanego szczeniaka. – Łapie mnie za rękę i przyciąga ją sobie do ust. – Ty będziesz tylko niezdecydowana. – Składa delikatny pocałunek po wewnętrznej stronie mojego nadgarstka.

Gorąco bucha mi pod skórą, a po moim kręgosłupie wspina się rozkoszny dreszcz.

Taki mały gest, a tak wiele przyjemności. Niedobrze.

Bardzo, kurna, kiepsko.

– Żeby doprowadzić do tego, że William zechce sprawić, bym się zdecydowała, ale na niego? – szepczę.

– Dokładnie.

Marszczę brwi, kiedy znowu coś zauważam.

– Jakaś kobieta gapi się na nas, odkąd przyszliśmy.

Jacob rozciąga wargi w uśmiechu godnym polującego wilka.

– Wiem, to moja była narzeczona – oznajmia, jak gdyby nigdy nic, a później...

Później mnie całuje. Znienacka. Szybko i krótko. Szorstkie przesunięcie się warg po moich i jego zęby niezahaczające o nie nęcąco, gdy się odsuwa.

Pocałunek na pokaz.

A ja mam wrażenie, jak gdyby nagle zatrzęsła się ziemia. Jak do tego wszystkiego doszło?

Wgapiam się w różę leżącą obok mojego talerza z niedojedzoną pizzą i zmuszam się do przywołania obojętnej miny.

– Ach tak?

Piękna, jak wyjęta z okładki blondynka wciąż patrzy w naszą stronę i mimo dzielącej nas odległości wiem, że walczy z chęcią mordy.

– Myślę, że możemy się już zbierać. – Wstaje, ani na sekundę nie rozplatając naszych palców.

A więc Jacob wiedział, że ona tu będzie, i celowo to wszystko uknuł albo też zauważył ją w trakcie kolacji i postanowił wykorzystać tę niby-randkę do własnych celów.

To nic takiego. W końcu w układach chodzi o to, żeby był korzystny dla obu stron, a ja chcę Williama. Tak. To nic takiego. Wszystko gra.

Tylko dlaczego dużo później, już leżąc w łóżku w swoim nowym domu, wciąż gapię się w sufit i nie potrafię odegnąć uczucia... Bycia zdradzoną.

ROZDZIAŁ 9



JACOB

Przez cały ranek próbowałem przeszkadzać mojej nowej asystentce w pracy dwuznacznymi tekstami w mailach. Na przykład:

Panno Vitteli,

dziękuję bardzo za propozycje haseł reklamowych dla szminki Amour. Spadła mi pod biurko, a teraz nie mogę jej znaleźć. Może pomożesz mi jej poszukać w przerwie na lunch?

Pozdrawiam serdecznie

Szef w opałach

Ona zaś na to:

Panie Parker,

czy to polecenie służbowe? W opisie stanowiska nie było nic o nurkowaniu pod Pańskim biurkiem w celu szukania zaginionych przedmiotów.

Z poważaniem,

Hope Vitteli

Co za zgryźliwa istotka.

Panno Vitteli,

w opisie stanowiska o tym nie wspomniano, ponieważ to nie obowiązek, a bonus. Coś w rodzaju premii. Proszę mi wierzyć. Pod moim biurkiem kryje się wiele skarbów i klejnotów...

Pozdrawiam

Szczodry Prezes

Niestety nic nie wyszło z tych prób flirtu, więc właśnie zdecydowałem się na coś, co wczoraj poskutkowało i pozwoliło mi nakłonić ją do randki...

– Przesuń moje spotkanie z czwartej na jutro. Dziś już nie wracam do biura – mówię, przystając przed biurkiem, za którym zasiada Hope.

Moja asystentka unosi głowę znad dokumentów i mierzy mnie wzrokiem.

– No proszę, strój rodem z magazynów mody dla... no chyba tylko bilionerów – naigrawa się. – Ile wart jest ten krawat? A ta spinka do mankietów? Tyle co połowa mojego domu? – Stuka końcówką długopisu o swoje pociągnięte błyszczkiem wargi.

Śmieję się, opierając dłonie na blacie.

– Najwyżej jedna czwarta. – Odsuwam od niej stertę papierów i zgarniam je do szuflady, a później zamykam ją z trzaskiem. – Zbieraj rzeczy, wychodzimy.

Hope robi minę niezadowolonej czterolatki.

– Teraz? Jeszcze nie skończyłam. Siedzę nad pewnym hasłem reklamowym, choć nie należy to do moich obowiązków – zaznacza.

Kto by pomyślał, że tak mi odbije na punkcie ognistowłosej żoły? Z całą pewnością nie tak powinny wyglądać relacje podwładnej z szefem, ale to jej pyskowanie kurewsko mnie kręci. Gdyby była małą potulną cichą myszką, byłbym rozczarowany.

Przechodzę na drugą stronę jej biurka i odsuwam ją razem z krzesłem obrotowym, a później obracam ku sobie.

– Tak to jest, jak się ma szefa dupka. – Muskam palcem jej obojczyk, na którym mieni się złocisty wisior. – Dlatego wkładaj kurtkę, może zwiejemy, zanim ten bogaty snob się zorientuje.

Hope chichocze i kręci głową.

– A dokąd właściwie idziemy? – Podnosi się.

– Czekam w samochodzie. Masz pięć minut – mówię, zamiast wyjaśnić. – I dzem z drożdżówki na nosie. – Odwracam się, żeby odejść.

– Co? – piszczy, a kiedy zerkam na nią ponad ramieniem, widzę, jak wyciąga z torebki lusterko i porusza szybko ustami, pewnie mnie przeklinając.

Wciskam guzik przywołujący windę.

– Masz randkę z szefem? – Dobia mnie podekscytowany głos Ciary.

Drzwi windy otwierają się, ale ja tkwię w miejscu. Jakiś wewnętrzny instynkt trzyma mnie tam i każe czekać na to, co powie Hope.

– Chyba z piekła rodem – marudzi. – Nie, to na pewno nie randka, raczej kolejna próba doprowadzenia mnie na skraj poczytalności.

Bawi mnie to. Zamiast wejść do windy i zjechać na parking, ukrywam się za ścianą i przysłuchuję dalszej rozmowie.

– Moim zdaniem szef nie miałby nic przeciwko, żebyś rozłożyła się na jego biurku – dobiega mnie głos Ciary. – Albo klęka pod nim.

O ja pierdołę. Może jednak to całe podsłuchiwanie to nie jest dobry pomysł. Teraz nie uwolnię się od wizji Hope rozłożonej na moim biurku. Hope zrzucającej z siebie tę swoją małą czarną, a później zsuwającą powolnym ruchem stanik. I Hope, która zostaje w moim gabinecie jedynie w pończochach i czarnych koronkowych majteczkach.

Przestań, dupku. Chyba że chcesz pojechać na wystawę z bolesną erekcją.

Hope mruga przerażonymi oczami.

– Ciszej, na miłość boską. Nie chcę takich plotek. – Zbliża się do Ciary. – Czy...

– Czy co?

Hope przeczesuje palcami włosy, a potem wygładza swoją sukienkę.

– Nieważne. – Spuszcza wzrok na dywan.

O co takiego chciała zapytać, że nagle się spłoszyła?

Ciara obdarza ją uśmiechem.

– Czy szef ma w zwyczaju zatrudniać sobie asystentki, żeby klękały pod jego biurkiem? – mruczy, a ja cały się spinam. – Dotąd się to nie zdarzyło, a wierz mi, było kilka chętnych – dodaje.

Rumieniec wpływający na policzki Rudzielca jest wystarczającym dowodem na to, że Ciara bezbłędnie odczytała jej myśli.

A więc moją piękną asystentkę jednak interesuje, kogo zabieram do łóżka. Albo na biurko.

Hope narzuca kurtkę na ramiona i wymija Ciare.

– Nie wątpię. Do jutra. – Ucieka w stronę wind.

I co teraz zrobisz, wścibski kutasie?

Zanim Hope wejdzie na korytarz z windami, wskakuję do tej, która właśnie się otwiera, i klikam przycisk z literą P. Winda rusza, a kiedy zawozi mnie do podziemia, wyskakuję z niej i gnam w stronę swojego samochodu.

Zachowuję się jak totalny dzieciak i zdaję sobie z tego sprawę, a jednocześnie... Dawno nie czułem się tak beztrosko.

– Dwie minuty spóźnienia – rzucam jak gdyby nigdy nic, kiedy Hope otwiera drzwi auta.

Rudzielec wsiada i posyła mi takie spojrzenie, że powinienem teraz paść trupem.

Czyżby mnie zauważyła?

– Musiałam przekonywać koleżankę z pracy, że nie dodałeś do zakresu moich obowiązków klęczenia pod twoim biurkiem, żeby ci obciągnąć w przerwie na lunch.

Aha. Czyli nie zauważyła. I znowu wyraziła się tak obrazowo, że mój umysł eksploduje od zbereźnych wizji z Rudzielcem w roli głównej.

Znęca się nade mną i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, wiedźma.

Zaciskam dłonie na kierownicy i włączam się do ruchu.

– Mówią o naszym romansie? – rzucam lekkim tonem. – Znakomicie.

Z gardła Hope wydobywa się agresywny warkot.

– Nieistniejącym romansie, czubku. – Włącza radio. – Dokąd jedziemy?

Zerkam na nią.

– Tylko kawałek dalej. Na wystawę malarstwa abstrakcyjnego.

Hope poprawia rząd swoich barwnych bransoletek, ponownie odsłaniając kawałek sekretnego tatuażu.

Co to jest, do cholery?

– Po co? – pyta.

– Ponieważ ty potrzebujesz kolejnej lekcji podrywu, a ja prawdopodobnie natknę się tam na Jasmine.

Jej palec pstrykający w guziki radia w poszukiwaniu odpowiedniej piosenki zamiera.

– Jasmine? Tak ma na imię twoja piękna długonoga narzeczona?

– Była długonoga narzeczona – poprawiam. – Uciekła sprzed ołtarza.

Hope aż podskakuje na siedzeniu, słysząc słowa. W tle rozbrzmiewa ballada o miłości. Jakiś biedak zawodzi o tęsknocie za ukochaną oddzieloną od niego o setki kilometrów.

– Jaja sobie ze mnie robisz? – oburza się Rudzielec.

Uśmiecham się z przymusem.

– Czy byłby to dobry żart?

Zupełnie niepotrzebnie to powiedziałem, ale założyłem, że może już o tym wiedzieć. W końcu jeśli jest się znanym milionerem, takie rewelacje jak rozstanie z narzeczoną pojawiają się na pierwszych stronach wielu piśmideł, przedstawiając rozmaite, często mijające się z faktami, historie.

Hope przygryza kciuk i wierci się niespokojnie.

– Przepraszam. Przykro mi. Nigdy bym...

– Niedosłownie. – Uspokajam. – Rozstaliśmy się na dzień przed ślubem. To dopiero kurewsko dobry dowcip.

Zapada między nami niezręczne milczenie. Chociaż nie patrzę na moją pasażerkę, wiem, że chciałaby zasypać mnie gradem pytań, ale się powstrzymuje.

– Dlaczego chcesz, żeby nas zobaczyła? – odzywa się po kilku minutach ciszy.

Gapię się na ulicę przede mną.

– Bo Jasmine jest tak zapatrzona w siebie, że wciąż wierzy, że nigdy o niej nie zapomnę i że kiedy tylko zechce do mnie wrócić, wystarczy jedno skinienie palcem, a ja przybiegnę – tłumaczę, skręcając na parking pod galerią. Zatrzymuję się i spoglądam na Hope, która nie wykonuje żadnego ruchu, żeby opuścić pojazd. Kiedy zaglądam w jej oczy, dostrzegam w nich całe pokłady żalu.

Z mojego powodu. Brawo, stary, wydajesz jej się teraz godny pożałowania. Pewnie zastanawia się, co takiego jest z tobą, do chuja, nie tak.

Łapię za klamkę i otwieram drzwi od strony kierowcy, starając się ukryć buzujący we mnie gniew.

Hope biegnie za mną, stukając szpilkami o posadzkę.

– A ja... – Bierze mnie pod łokieć.

– A ty jesteś jej całkowitym przeciwieństwem. Według niej nigdy nie zaszczyciłbym takiej kobiety jak ty nawet jednym spojrzeniem...

Teraz to ona cała pała złością.

– Wielkie dzięki. – Wyszarpuje ramię spod mojego i wyprzedza mnie.

Obejmuję ją w tali i pociągam w tył.

– Nie obrażaj się, wróżko. – Moje usta ocierają się o jej ucho. – Dobrze wiesz, że od pierwszego spotkania na tamtym jachcie patrzę tylko na ciebie.

Opiera dłonie o mój tors.

– Nie wiedziałam. – Przeszywa mnie intensywnym, nieufnym spojrzeniem.

Ponownie splatam palce z jej palcami, przypominając sobie, że to tylko na potrzeby dzisiejszego widowiska.

– Zresztą co za różnica? Ty masz swojego księcia z lokami, a ja mam w naszym udawanym związku swój własny interes. – Pociągam ją przez tłum podziwiający rozwieszzone na każdej ścianie obrazy.

– Zemstę? A może chcesz ją odzyskać i sprawić, żeby była zazdrosna?

– Wolałbym owinąć fiuta drutem kolczastym niż do niej wrócić – dyszę.

– Skoro tak. – Przesuwa językiem po wargach. – Te obrazy...

– Podobają ci się?

Hope prycha, a jej rude loki trafiają mnie w szczękę, kiedy gwałtownie potrząsa głową.
– Zostały namalowane przez niemowlaki czy coś? – mówi to na tyle głośno, że przyciąga uwagę kilku gapiów, których miny wyrażają identyczne potępienie.

Starając się zachować powagę, cmokam ją w policzek.

– Hope Vitteli, jesteś niepowtarzalna.

Rudzielec oddala się ode mnie i udaje fascynację ogromnym bordowym malunkiem, przed którym przystanęliśmy. Nie daję się nabrać na tę sztuczkę. Zwłaszcza że widzę, jak pociera przedramiona, a na jej odkrytym ciele pojawia się gęsia skórka.

Reaguje na mnie tak jak ja na nią. Dlaczego tak uparcie z tym walczy?

Wpatruję się w zgromadzonych gości w poszukiwaniu znajomej blondynki. Zauważam ją gawędzącą z jedną ze swoich przyjaciółek.

Jestem przekonany, że już nas dostrzegła. I że zaraz tu podejdzie.

– A te cyferki w ramkach co oznaczają? Numer seryjny...

Tym razem nie udaje mi się powstrzymać śmiechu. Przyciągam Hope ponownie do siebie i zaciskam palce na jej boku.

– To cena, skarbie. – Przywieram piersią do jej pleców i gładzę skórę na jej żebrach, odsłoniętą przez maleńkie wycięcia z sukience. Zaciągam się jej zapachem. Jest tak soczysty i słodki, że mam ochotę przebiec językiem po jej szyi i dziko bijącym tam pulsie.

– Jacob?

Sztywnieję, momentalnie przywołując się do rzeczywistości.

– Jasmine. Co za niespodzianka. – Okręcam Hope tak, by stanęła twarzą do mnie. – Kochanie, pozwól, to Jasmine, a to Hope, moja dziewczyna.

Jasmine wyciąga dłoń ozdobioną licznymi pierścionkami.

– Miło mi – odzywa się Hope, kiedy wymieniają uściski.

– Mnie również. – Blondynka rzuca okiem na obraz oglądany przez Rudzielca. – Słyszałam, że zdumiała cię wartość tych wybitnych dzieł. – W jej głosie brzmi pogarda, gdy wraca spojrzeniem do Hope.

Suka.

– Wybitnych? Moim zdaniem tylko ktoś wybitnie ubogi w intelekt zapłaci tyle za plamę rozchlaną na płótnie – odrzeka Hope, ani trochę niezrażona jadem Jasmine. – Proszę cię, nic tutaj nie kupuj. Jeśli chcesz, namaluję ci to za darmo – zwraca się do mnie, a następnie wtula głowę pod moją brodę i zaczyna bawić się kołnierzykiem mojej koszuli.

Blondynka prostuje się rozjuszona.

– Chyba nie pojmujesz, czym jest prawdziwa sztuka – unosi się.

– W tym wypadku jest ona rzędem plam i szeregiem pokracznych zygzaków – ciągnie dalej Hope.

I, cholera, mam ochotę ją pocałować. Namiętnie, długo, mokro. I wcale nie po to, żeby dokuczyć mojej eks. Nie. Chcę to zrobić, bo kobieta w moich ramionach zwala mnie z nóg. Raz po raz. Pokonałaby Jasmine jednym strzałem.

– Wybacz, Jasmine, jak widzisz, Hope odkryła w sobie duszę artystki i bardzo chce zobaczyć resztę tych śmiesznie drogich plam i zygzaków – przemawiam do nadąsanej blondynki, a później odciągam Hope z dala od niej.

Hope chichocze mi w szyję.

– Zrobiła się na twarzy purpurowa jak wiśnia. Czy zaraz padnie na zawał z mojego powodu? – pyta.

– Obawiam się, że nie mam aż tyle szczęścia. – Niestety. – Byłaś wspaniała. – Ponownie ją zatrzymuję i pochylam tak, że nasze czoła się stykają.

Rudzielec uśmiecha się z dumą.

– Byłam szczerą – szepcze. – A teraz moja lekcja.

Wsuwam dłoń na jej kark i pochylam się jeszcze bardziej. Nagle Hope wstrzymuje oddech, ale się nie odsuwa.

Już mam złączyć nasze usta w pocałunku, kiedy zauważam kolejną znajomą twarz. William Miller gapi się na mnie i na Hope ze swojego miejsca przy stole z poczęstunkiem.

– Spójrz w prawo.

Hope wykonuje moje polecenie, a jej półprzytomny, zamglony wzrok wyostrza się błyskawicznie.

– Wiedziałaś, że on też tutaj będzie?

– Oczywiście.

– To co mam teraz robić?

Zrozumieć, że ten głupi sukinsyn nie jest ciębie godny, i należeć do mnie.

– Pomachaj do niego z uśmiechem uwodzicielki – mruczę, a gdy robi, co jej każę, dodaję: – A teraz mnie pocałuj.

Nie udaje jej się zatuszować wyrazu zdumienia ani drżenia ciała, kiedy wpatruje się we mnie rozdarta, aż wreszcie powoli, niezdolnie powoli przysuwa usta do moich.

Początkowo mam zamiar powtórzyć szybki pocałunek z wczoraj, ale kiedy tylko dotykam jej warg, tracę kontrolę. Przesuwam językiem po jej ustach, a kiedy Hope

rozsuwa wagi, pogłębiam pieśczołę z zachłannością, która wrywa jęk z jej gardła. Jej dłonie zaplatają się na moim karku i szarpią za końcówki włosów, a ja przywieram do niej całym ciałem i daję upust całej drzemiącej we mnie namiętności. Nasze języki splatają się i liżą pospiesznie, łakomie, a kiedy muskam swoim zimny metal jej kolczyka, mam ochotę warknąć.

Nikt nie powinien zaznawać rozkoszy jej pocałunków. Nikt poza mną.

– Patrzy na nas?

Co? Kto?

Hope zerka ukradkiem w kierunku Williama, a pożądanie rozpalające moje żyły szybko zamienia się w lód.

Tak, patrzy. I już niedługo mi ciebie zabierze...

ROZDZIAŁ 10



HOPE

Wszystko dzieje się tak szybko, że mogę tylko bezsilnie się temu przyglądać.

Nagłe ogłuszające szczekanie tego psa, które mogłoby wywołać trzęsienie ziemi.

Moja Łatka nastroszona.

Więcej szczekania.

Moja Łatka na oknie.

Szczekanie i wycie.

Moja Łatka za oknem! Za oknem! ZNOWU!

– Cholera. – Szybko narzucam na siebie szlafrok, żeby nie paradować w samej bieliźnie, i wybiegam na zewnątrz. – Łatka, do domu, w tej chwili.

Nic z tego, kot pędzi, jak gdyby goniła go sfora krwiożerczych lisów, i znowu zaczyna wdrapywać się na to przeklęte drzewo.

Nie, nie, nie. Do licha!

– Chyba twój kot nie uznaje cię za przywódcę waszego stada. – Kpiący ton tego dupka doprowadza mnie do granicy wytrzymałości. Odwracam się na pięcie i wbijam wzrok w Jacoba i tego jego rozbrykanego czworonoga wielkości dinozaura.

– To wszystko wina twojego psa. Wystraszył ją – burczę. – Jeśli znowu będę musiała włączyć po nią na to drzewo, to przysięgam...

Jacob otwiera furtkę dzielącą nasze podwórka i włączy na moją posesję. Pozostaje mi zatem jeszcze ustalić, jak dostaje się tu to przerośnięte sierściaste bydlę. Pewnie przeskoczenie przez płot nie stanowi dla niego większych trudności.

– T-Rex, zostaw kotka – nawołuje mój szef i sąsiad w jednym. – No dalej, kolego, wracaj tutaj. – Gwiżdże, klepiąc się o udo.

No dobra, spróbujmy innej taktyki. W końcu czym najlepiej zwabić zwierzę? Żarciem. Wracam do domu i sięgam po jeden ze psich smakołyków, które jako kobieta inteligentna

kupiłam wcześniej, przewidując możliwą ponowną napaść nawiedzzonego psa na mojego małego kociaczka.

– Zajmij się tym, potworze. – Machając przysmakiem, zbliżam się do drzewa. Pies natychmiast zaprzestaje krążenia wokół pnia i skupia na mnie ślepią. – Słuchasz mnie? To jest kość. Jedzenie przeznaczone dla psa. A ty jesteś psem. Jesz kości, a nie koty, rozumiesz? W diecie psów nie ma miejsca na dania z kotów. Jasne? – zwracam się do niego, kiedy przysiada na swoim zadzie i udaje nagle grzecznego i potulnego.

Potrafi być uroczy, jeśli chce, zupełnie tak jak jego pan.

– Zdumiewająca siła perswazji, chyba załapał, zwłaszcza że prawie warczysz – przemawia Jacob, szczerząc zęby.

Dobra, cofam to o byciu uroczym. Jest równie uroczy co tarzanie się w pokrzywach.

– Mogę też ci coś odgryźć, jak chcesz – proponuję z nadmiarem radości.

Jacob trąca kciukiem węzeł mojego szlafroka.

– Nie wątpię, że świetnie byś się bawiła, mając pewne części mojego ciała w swoich ustach.

O rany, co za niereformowalny typ.

– Czy ty myślisz czasami o czymś niezwiązanym z seksem?

Teraz już jego palce majstrują przy pasku, żeby go rozwiązać.

Trzaskam go po łapach, ale on nie zwraca na to uwagi.

– Nie wtedy, kiedy jesteś w pobliżu. – W jego oczach pojawia się lubieżny błysk. A potem niechętnie porzuca igraszki z węzłem mojego szlafroka i cofa się o krok.

– Zrób sobie zatem przerwę w marzeniu o kopulacji, do której nigdy między nami nie dojdzie, i ściągnij mojego kota na dół – domagam się.

Jacob robi zatrwożoną minę.

– Chcesz, żebyśmy wszedł po niego na drzewo? – Zadziera głowę i przeszukuje porośnięte liśćmi gałęzie, by namierzyć łatkę.

Teraz to ja się uśmiecham.

– Bądź rycerzem.

– Mam pomysł, jak sprawić, żeby sam zszedł.

Przyglądam mu się z powątpiewaniem.

– Jak?

– Użyj swoich zbójnickich umiejętności i włam się do sąsiada przez okno – zaczyna, żywo gestykułując. – Ukradniesz szczura z jego hodowli i wypuścisz go na trawnik, Łatka

na pewno zejdzie migiem, żeby trochę pościągać się ze swoim podwieczorkiem.

Popycham go w kierunku dębu.

– Włóż na drzewo.

Unosi ręce w obronnym geście.

– Dobrze, już dobrze. Skoro wolisz to nudniejsze rozwiązanie.

Znalazł się fan ekstremalnych wrażeń. Jestem przekonana, że najbardziej wystrzałową rzeczą, jaką zrobił w życiu, jest spanie w hotelu, który nie ma kompletu gwiazdek. Ciekawe, jak wyglądają jego piżamy, skoro nawet teraz, późnym wieczorem wciąż ma na sobie tę samą wytworną koszulę i dopasowane do niej spodnie. Może powinnam sprezentować mu jedną. Z misiem.

W końcu Pan Tarzan zaczyna wspinać się na drzewo.

– Tylko nie zrób jej krzywdy – proszę.

Jacob wchodzi coraz wyżej i wyżej, potem spogląda w dół i gałąź prawie dziobie go w oko.

– Myślę, że potrafię poradzić sobie z jedną małą kicią... – Wyciąga do niej rękę i wreszcie chwytą mojego zwierzaka.

Wzdycham z ulgą. Przedwcześnie. Bo potem kot prychnie na Jacoba i traktuje go pazurami.

– Uwważaj... – wrzeszczę, kiedy schodząc, źle stawia stopę.

Kot wyskakuje z jego uścisku i sam łąduje zgrabnie na trawie, a Jacob...

– O kurwa...

Jacob zlatuje z drzewa i upada na ziemię z głośnym hukiem.

O mój Boże. Co ja narobiłam? To moja wina. Po co wysłałam go na to drzewo, przecież on ma tyle zwinności co żółw, a teraz leży rozwalony na plecach z opuszczonymi powiekami.

– Jacob? – Upadam na kolana i zaczynam uważnie przyglądać się jego twarzy. – Jacob? Nic ci się nie stało? – Przysiadam na jego udach i zaczynam nim potrząsać.

No przecież nie mógł się zabić, spadając z takiej wysokości. Co najwyżej się trochę poturbował, prawda?

W końcu Jacob spogląda na mnie i mruga kilkakrotnie.

– Twój kot próbował mnie zamordować – mamrocze.

Śmieję się trochę obłąkańczo.

Naprawdę się wystraszyłam.

– Delikatnie cię drapnęła. – Dotykam palcami czerwonego rozcięcia biegnącego wzdłuż jego lewej skroni.

– Macie dokładnie tyle samo delikatności. – Jego dłonie zaciskają się na moich biodrach, a on uśmiecha się przekornie. – Dwie drapieżne kocice.

– Widzę, że nic ci nie jest, dupku.

– Zdradzić ci sekret?

Mimowolnie pochylam się bliżej, by lepiej go słyszeć.

– Jaki?

Jego oddech owiewa moje wargi i sprawia, że zaciska mi się żołądek.

Jacob przesuwając rękę wyżej i wyżej, aż dotyka mojej szyi i gładzi ją delikatnie. Wzbiera we mnie pragnienie, żeby naprzeć na jego palce w poszukiwaniu silniejszych pieśczoł.

– Możliwe, że celowo spadłem z tego drzewa – szepcze.

Prostuję się.

– Po co?

W jego policzku pojawia się dołeczek.

– Żebyś na mnie usiadła w tej seksownej bieliźnie. – Dotyka nagiej skóry mojego brzucha. – Rozchylił ci się szlafroczek.

O cholera.

Próbuję ponownie związać supeł, ale ręce Jacoba mi to uniemożliwiają. Wciąż mnie dotyka. Zatacza kciukami leniwe kręgi na moich żebrach i niżej.

Miażdżę go spojrzeniem, a następnie zaczynam okładać pięściami jego tors.

– Ty zboczony, napalony...

– Wiesz, że kiedy się tak rzucasz, twoje biodra przesuwają się po moim kutasie? – wtrąca chrapliwym głosem.

Natychmiast zamieram. Przestaję nawet oddychać. Tylko na niego patrzę. A on patrzy na mnie. I znowu cała przestrzeń między nami robi się naelektryzowana. Ciężka. Parząca.

Jak do tego doszło, że siedzę na facecie, który rozmyślnie spadł z drzewa, i jestem... Jestem nakręcona.

– Nie ruszaj się – nakazuję, wbijając paznokcie w jego barki.

Czy ja jestem wariatką?

Czuję między udami jego erekcją i wcale nie mam ochoty wiać gdzie pieprz rośnie. Przeciwnie, mam ochotę na więcej. Nawet tutaj w ogrodzie. Między psem zjadającym kość i moim obrażonym na wszechświat kotem.

Zmuszam się do zrobienia wdychu i zwilżenia wyschniętych warg językiem.

– To ty się ruszasz – wypomina. – Współpracuj. – Przyciąga moje usta do swoich i całuje mnie tak, że pod powiekami eksplodują mi pieprzone gwiazdy.

Pomrukuje z zachwytem, kiedy jego język ociera się o mój kolczyk, i przywieram do niego mocniej.

– Pocałowałaś mnie? – dyszę. Dopiero teraz orientuję się, że już na nim nie siedzę, teraz to Jacob jest nade mną, jego twarde ciało góruje nad moim i poraża wszystkie zakończenia nerwowe przy choćby najmniejszym ruchu.

Jak to się stało, że turlamy się po trawniku, a ja nie protestuję?

– Jeśli nie jesteś tego pewna, chyba zrobiłem coś nie tak. – Oczy płoną mu pożądaniem. – Kolejna próba?

Tak.

– Dlaczego?

– Bo chciałem, a twój książę William dał mi doskonały pretekst, żebym mógł to zrobić. Zdmuchuję kosmyk włosów z czoła.

– Nie rozumiem.

Jacob całuje mnie w policzek, później w kącik ust, a następnie przygryza moje ucho.

– Gapi się na nas, a ja mogę powiedzieć, że pocałowałem cię na pokaz, a nie dlatego, że chciałem zaznać smaku twoich ust.

A więc naprawdę mnie pragnie?

Serce z podekscytowania trzepocze mi w klatce piersiowej.

– Znowu nam się przygląda?

– Tak.

Dzięki Bogu, bo to naprawdę fenomenalny pretekst, żebym mogła znowu go pocałować. Więc robię to.

Nasze języki splatają się ze sobą gorączkowo, niemal brutalnie. Jacob przygniata mnie do zimnej trawy, ale prawie tego nie zauważam, bo kiedy mnie dotyka, czuję się jak w tropikach. Kąsa i ssie moją dolną wargę, a później ja robię dokładnie to samo jemu, za co zostaję wynagrodzona ochrypłym samczym jękiem.

– Ty rozpustnico, wiedziałem, że nabierzesz ochoty na więcej – sapie między pocałunkami.

Pociągam go za włosy, kiedy liże mi szyję i dekollet. W moim podbrzuszu kumuluje się znajome napięcie, które każe mi ocierać się o Jacoba, więc się pod nim.

Nie mogę. Nie możemy. Tak nie wolno.

– Zamknij się – dyszę. – I uważaj z tymi swoimi ciekawskimi łapami. – Które teraz głaszczą wrażliwą skórę moich ud.

Musimy to przerwać. Ja tak nie postępuję. Nie daję się przelecieć, kiedy nie jestem pewna, czy to będzie cokolwiek znaczyć.

– Mógłby ci dać wiele przyjemności – namawia.

– Wątpię.

Wcale nie wątpię, ani trochę. Jeszcze nigdy nie byłam taka podniecona po kilku pocałunkach.

– Pochwalam też pomysł z bieganiem w bieliźnie po podwórku – mówi z uśmiechem chochlika. – I sądząc po minie Williama, on także.

No tak, William.

– Naprawdę? – Przełykam ślinę. – Myślisz, że powinnam się seksowniej ubierać? W końcu mieszka naprzeciwko.

– A czy lubisz to, jak się ubierasz?

– No... tak.

Niespodziewanie twarz Jacoba nabiera srogiego wyrazu.

– A czy chcesz, żeby twój idealny chłopak polubił ciebie, czy dziewczynę, którą będziesz udawać na jego życzenie?

Co takiego?

Cała się spinam, nagle zawstydzona tym, co przed momentem robiliśmy. Zwłaszcza że w jego oczach zamiast niedawnej czułości znajduję tafłę lodu.

– Przecież to, że będę częściej nosić sukienki, nie oznacza, że będę kimś innym. Kobiety robią to stale, jeśli chcą, żeby jakiś mężczyzna zwrócił na nie uwagę – mamrocę.

Jacob odsuwa się ode mnie i wstaje.

– Rób, jak uważasz. – Poklepuje psa o łbie. – Chodź T-Rex. – Odchodzi. Nie ogląda się.

Nawet nie fatyguje się, żeby pomóc mi się podnieść po tym, jak zmienił moje wnętrze w galaretowatą papkę.

Ja także wstaję i nawet nie zerkając w kierunku posesji Williama, wchodzę do domu.

Uderza we mnie przygnębiająca prawda. Zupełnie mnie nie obchodzi, czy William był świadkiem moich pocałunków z Jacobem. I wcale nie chcę się dla niego stroić w seksowne ubranka. Zapytałam o to z zupełnie innych powodów. Powodów, które nazywają się...

Jacob Parker.

ROZDZIAŁ 11



JACOB

– Podeślij mi te pliki mailem – zwracam się do jednego z moich podwładnych, z którym właśnie rozmawiam przez telefon.

Po raz trzeci tego poranka. Zawracali mi dupę nawet w trakcie mojego przedśniadaniowego biegu, a za chwilę spałę przez nich tosty.

A może po prostu mam chujowy nastrój. Od wczorajszego turlania się z moją sąsiadką na trawniku jestem w podłym humorze.

Klikam w załącznik, który właśnie wpada do mojej skrzynki mailowej, rozłączam się i zaczynam czytać. Dziś zamiast w biurze muszę stawić się na spotkaniu z moim potencjalnym klientem i nakłonić go do współpracy. Perfumy jego marki to zapachy podbijające świat, więc...

– Zapracowany? – rozbrzmiewa damski głos za moimi plecami.

Wzdycham i nawet się nie odwracam. Dalej zaczytuję się w informacjach o produkcie, który – mam nadzieję – będę wkrótce reklamować.

– Jasmine, co tu robisz?

Jej wymalowane paznokcie przesuwają się po kuchennym blacie, kiedy przystaje obok mnie.

– Zostawiłeś otwarte drzwi na taras, więc skorzystałam z okazji.

Wystukuję na klawiaturze wiadomość zwrotną i sięgam po krawat, który przewiesiłem przez oparcie krzesła, by zaraz go włożyć.

– Oczywiście, że tak, ty nigdy nie marnujesz okazji, zgadza się? – Uśmiecham się z pogardą.

Jasmine podchodzi do mnie, bujając biodrami na boki niczym tancerka w rytm muzyki, którą tylko ona słyszy.

– Nie bądź podły, kochany. Przyszłam, żeby porozmawiać. – Przesuwa palcem po mojej szczęce i dotyka krawata, chcąc poprawić jego węzeł.

Odpycham jej rękę i zasiadam z powrotem na stołku. Wyjmuję ciepłego tosta, maczam kawałek w miodzie i wsuwam go do ust.

– O czym?

Oby o swojej podróży w pieprzony kosmos. Bezpowrotnej.

– O nas.

– Czyli o tym, że mnie zdradzałaś? Czy o tym, że byłaś ze mną tylko dla pieniędzy? – wyliczam. – Albo o tym, że nakryłem cię z kochankiem dzień przed naszym ślubem?

W jej błękitnych oczach pojawia się poczucie winy.

Fałszywe jak ona cała. Jest piękną kobietą, niczym wyrzeźbiona przez artystę, i znakomitą manipulatką. Wspomnienie tego, jak bardzo byłem głupi i ślepy przez prawie trzy lata naszego związku, budzą we mnie wściekłość. Na samego siebie. Bo teraz, w tym właśnie momencie, kiedy jej się przyglądam, nie mam pojęcia, jak mogłem nie widzieć jej prawdziwego oblicza. Tego, że jej uroda jest tylko maską, za którą skrywają się obłuda i podłość. Wyrachowanie.

– Każdy popełnia błędy, Jacob. – Przesuwa palcami po moich włosach. – Nie udawaj, że przez cały okres naszego narzeczeństwa nie miałeś ochoty zabrać do łóżka innej kobiety.

Zanoszę się śmiechem.

– Ale nie zrobiłem tego i to był z kolei mój błąd.

Jasmine zasiada na drugim stołku i wgrzyza się w jabłko, które bierze z misy z owocami.

– Wszyscy uważali nas za doskonałą parę. Zazdrościli nam i...

– I tylko to się dla ciebie liczy. To, że mogłaś lśnić przy mnie jak gwiazda – wtrącam, coraz mocniej waląc w klawiaturę.

Za chwilę zapomnę o dobrym wychowaniu i wywalę tę wkurwiającą babę na bruk. Może będę miał szczęście i moja sąsiadka, droga pani Mendes, która jak nikt zna się na egzotycznych zarazach, dostrzeże zarazę w Jasmine i wezwie gliny.

– Byłabym dobrą żoną, ten romans to pomyłka – mówi. – Jacob, dobrze wiesz, że mnie nie zastąpisz. Nie znajdziesz takiej, która mi dorówna. Takiej, która da ci to, co ja. Nie ma drugiej takiej, sam mi to mówiłeś.

Patrzę jej w oczy.

– I obym, kurwa, miał rację.

Urażona podrywa się z miejsca.

– Nie żartuj sobie. Nie wiem, kim jest ta przybłęda, z którą się prowadzasz, ale ostrzegam cię, że ludzie już zaczynają o tym gadać. Jesteś popularny i bogaty...

– Mam to w dupie – wtrącam.

Jasmine zaciska dłonie w pięści. Zaraz dostanie napadu szału. Jest typową rozkapryszoną kobietą z wyższych sfer i na wszystkich patrzy protekcjonalnie, przekonana o tym, że każdy powinien składać jej pokłon.

– Nie mówisz poważnie. Przecież ona zupełnie do ciebie nie pasuje. Jest nikim.

Zatrząskuję laptopa z hukiem.

– Lepiej waż słowa – ostrzegam. – Wyświadczyłem ci przysługę, pozwalając wierzyć ludziom, że to ty zakończyłaś nasz związek, ale uważaj, jedno złe słowo o Hope i zobaczysz, na co mnie stać.

– Grozisz mi? Przez tę...

Łapię ją pod brodę i zmuszam do spojrzenia na mnie.

Koniec jebanych żartów.

– Przez moją kobietę. Wyrażaj się o niej z szacunkiem.

Nieistotne, że to kłamstwo. Może i Hope nie należy do mnie, ale Jasmine nie ma nawet namiastki uczciwości i niewinności małego Rudzielca i nie może się z nią równać, a ja...

A ja, cóż... daję się rozsierdzić tym, że Jasmine ma czelność ją obrażać.

– Przecież to jakiś żart. Zrozumiałabym, gdybyś trzymał ją w cieniu i tylko się z nią rżnął, ale ty się z nią pokazujesz. – Przechadza się po kuchni w tę i z powrotem. – A ona nawet nie pojmuje piękna abstrakcji.

No rzeczywiście, skandal.

Już mam posłać blondynkę do diabła, kiedy z tyłu rozbrzmiewają kolejne kroki.

– Cześć, kochanie. – Hope macha do mnie zalotnie, schodząc ze schodów prowadzących na piętro. Potem przystaje przede mną, pochyla się i...

I mnie całuje. Ja pierniczę. Co jest grane?

– Hope... – Wbijam w nią zdezorientowany wzrok, a ona przytula się do mnie niczym miś koala do bambusowego drzewa.

– Przepraszam, nie chciałam wam przeszkadzać, ale obudziły mnie wasze podniesione głosy. – Uśmiecha się uroczo. – No i wyczułam smakowity zapach. – Sięga po nadgryzionego przeze mnie tosta i częstuje się kawałkiem.

Jasmine prawie pęka ze złości.

– A co ona tu robi? – krzyczy.

Też bym chciał wiedzieć. Tym bardziej że Rudzielec ma na sobie...

Ja pierniczę po raz drugi, czy ona chce mnie zabić? Jakim cudem włożyła moją koszulę? Kiedy przemknęła niezauważona do mojej sypialni i...

– Nocowałam tutaj – mówi moja sprytna asystentka. – Jocelyn, cześć.

Powstrzymuję się od śmiechu, kiedy słyszę, jak przekręca imię mojej byłej.

– Jasmine – syczy moja eks.

Hope mruga jak zagubiony aniołek, który dopiero co spadł z chmurki.

– A tak, przepraszam. – Dotyka przelotnie jej dłoni. – Zjesz z nami śniadanie?

A to dopiero złośliwa istotka. Jestem pod tak wielkim wrażeniem, że zapominam, jak poprawnie wyartykułować słowa.

– Nie, dziękuję.

Nagle ta ich sprzeczka sprawia mi perwersyjną przyjemność. Hope idealnie odnajduje się w roli zaborczej lwicy znaczącej swój teren i przeganiającej intruza.

Znienacka wspina się na palce, cmoka mnie w policzek, a następnie...

– Gdzie podziałeś moje majtki? – pyta szeptem na tyle głośnym, że nie ma mowy, żeby Jasmine tego nie usłyszała.

Ale zaraz... Czy ona?!

– Nie masz ich na sobie? – Prawie się krztuszę.

Hope przesuwa palcami wzdłuż mojego torsu, aż do przeklętej klamry paska w spodniach.

Co ona wyprawia? Czy nie wie, że jej przedstawienie mnie wykańcza?

– Może odrobinę dyskretniej? – chichocze. – Zabrałeś mi je w nocy, nie pamiętasz? Na pewno są gdzieś...

Łapię ją za kark i przyciągam bliżej.

– Gdzie?

Poważnie, nie ma nic pod moją koszulą? Jak może się tak nade mną znęcać? Nie dość, że weszła tu w mojej koszuli, co ożywiło we mnie najbardziej prymitywne instynkty, to jeszcze nie ma na sobie bielizny.

– Masz je w kieszeni, ogierze. – Mruga zalotnie, jak to zwykle ja mam w zwyczaju, gdy chce, się droczyć.

Mam je w kieszeni?

Moje palce natychmiast nurkują w obu kieszeniach spodni i... Rzeczywiście są! Trzymam w dłoni seksowne majtki z czarnej koronki.

Gapię się na Rudzielca, zastanawiając się, kiedy je tam wepchnęła, a sądząc po jej cwany uśmiešku, ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Przyłapałaś mnie – charczę. – Miałem zamiar zabrać je ze sobą do pracy jako szczęśliwy talizman. – Tracąc resztki opanowania, wgryzam się w jej dolną wargę. – Może oddałbym ci je później, po małym numerku na biurku?

– Skoro tak...

Odbiera mi koronkę i ponownie wsuwa ją do mojej kieszeni z błyskiem w oku.

Chryste, jest taka piękna.

– Zabierasz ją do swojej firmy? – docieka Jasmine.

Hope wzrusza ramionami i dojada tosta.

– Pracuję tam – rzuca.

– Jako kto?

– Jako... – Przywiera do mnie mocniej. – Osobista asystentka pana Jacoba Parkera oczywiście.

Jasmine aż się cofa ze zdumienia.

– Zatrudniłeś ją?

Zmuszam się do oderwania spojrzenia od nagich nóg Hope i skupienia na rozhisteryzowanej blondynce.

– Była najlepszą kandydatką – oznajmiam. – Wierz mi, przeprowadziłem dogłębną analizę jej wiedzy.

Hope śmieje się, jak gdybyśmy tylko my rozumieli ten żart, a Jasmine prycha.

– Zapewne. Pójdę już, nie chcę przeszkadzać wam w... śniadaniu. – Odwraca się i wypada przez taras, prawie taranując przy tym drzwi.

Po schodach zbiega leniwie T-Rex i zaczyna łąsić się do Hope.

Tak jest, chłopie, wiesz, co dobre, kiedy wlaźła tu Jasmine, nawet nie raczyłeś zleźć, żeby mnie wesprzeć.

– Nikt jeszcze nie mówił w mojej obecności o śniadaniu tak wzburzonym i obelżywym tonem. – Robi rozbawioną minę.

Słabo kontaktuję. Naprawdę kiepsko. Pragnę jej tak bardzo, że aż mnie to odurza. Mam ochotę olać wszystkie zasady i przeciwności i po prostu po nią sięgnąć. Zagarnąć ją. Posiąść. Na własność.

Dla siebie.

Palce mrowią mnie od potrzeby dotykania jej skóry, a jaja niemal skwierczą.

– Ty wariatko. – Łapię ją za biodra i sadzam na blacie, a później wpycham się między jej nogi. Świadomość, że nie ma na sobie nic poza moją cienką koszulą, kompletnie mnie otumania. Nie pomyślałbym, że będzie do tego zdolna. Tak odważna i uwodzicielska.

– Co robisz? – pyta, ale mnie nie odpycha.

Cmokam jej rozwarte lekko wargi.

– Dziękuję ci. – Przesuwam nosem po jej gardle, a Hope wzdryga się i wypuszcza tosta z palców.

– Nie ma za co, partnerze. – Zlizuje resztki miodu z kciuków, a ja walczę ze sobą, by jej w tym nie wyręczyć.

– Jak w ogóle znalazłaś się w mojej sypialni? Skąd?

– Miałaś otwarte drzwi, a ja przypadkiem byłam świadkiem waszej rozmowy i nie mogłam się oprzeć, by nie skopać eleganckiej dupy tej wrednej suce.

Śmieję się, kręcąc głową.

– Poradziłaś sobie po mistrzowsku. – Nie potrafię się powstrzymać i znowu kradnę jej szybki pocałunek. – Nokaut w pierwszej sekundzie.

Hope odrzuca swoje ogniste fale na plecy w nieustraszonym geście.

– Taka już jestem.

– I właśnie taką cię lubię. – Pochyłam się, żeby zagarnąć kolejny pocałunek, ale Rudzielec przyciska palec do moich warg.

– Świetnie. W takim razie teraz dawaj mi więcej tostów. – Pauza. – I zwróć mi moje majtki.

Kąsam ją w opuszkę dotykającą moich ust i wyszczerzam się zadowolony.

Zwrócić?

– Jak mnie do tego zmusisz?

ROZDZIAŁ 12



HOPE

Wyglądam jak kosmitka.

Uciekłam z pracy na małe zakupy, przekonana, że zajmą mi kilka minut, ale intuicja podpowiada mi, że nawet gdybym została tu przez rok, efekt i tak byłby marny.

Nie mam figury modelki. Za bardzo lubię pączki. I czekoladki. I ciasteczka.

W co więc mam się zapakować, żeby wyglądać bardziej atrakcyjnie? Bielizna to podstawa. W końcu w kluczowym momencie to ona rozpoczyna prawdziwą grę wstępną. Inaczej kobiety nosiłyby pod sukienkami coś równie seksownego jak worki na kartofle. A ja teraz marzę, żeby wskoczyć w jeden z nich...

– Tragedia. Dramat – zawodzę w ciasnej przebieralni.

Przytwierdzone do ścian wokół lustra osaczają mnie i wydają się potwierdzać moje słowa. Pospiesznie zrzucam z siebie kolejny komplet bielizny i zgarniam następny z wieszaka.

Jak tak dalej pójdzie, przymierzę każdą fikuśną bieliznę w sklepie i na nic się nie zdecyduję.

Jakoś nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w każdym seksownym komplecie wyglądam jak ropucha usiłująca wskoczyć w sukienkę księżniczki.

Chyba tylko czarodziejska różdżka mogłaby mi pomóc.

– Czy wszystko w porządku, proszę pani? – pyta zaalarmowana moim marudzeniem sprzedawczyni.

Kiwam głową, choć mnie nie widzi.

– Znakomicie, dziękuję – odkrzykuję. – Katastrofa – mamrocę pod nosem, wciskając się w kolejny komplet.

– Może jakoś pomóc?

Ale jak? Chyba nie uratowałyby mnie nawet żadne abrakadabra hokus-pokus. Wyglądam jak totalna...

– Klęska żywiołowa – burczę.

Wzdycham i przymierzam następny zestaw bielizny. Nie poddam się tak łatwo. Błękitna koronka ozdobiona gdzieniegdzie małymi zalotnymi kokardkami i odbijającymi światło cekinami przylega ciasno do mojego ciała. Przysiadam na stołku i wsuwam pończochy.

Podobno strasznie rozpalają facetów.

Podpinam je do pasa, potem robię obrót, usiłując się dokładnie obejrzeć.

Wyglądam ładnie czy idiotycznie?

Nagle zasłona przebieralni zostaje odsunięta, a ja podskakuję wystraszona i próbuję zakryć się rękoma.

– Co ty wyprawiasz? – pyta Jacob, ładując się do środka.

Co jest, do cholery?

– Ja? – piszczę. – Co ty wyprawiasz? Tutaj?

– Zastanawiam się, czemu moja pracownica nie jest w godzinach swojej pracy na swoim stanowisku? – Z jego czarnych tęczówek sypią się iskry.

Jest nieźle wkurzony. Tak że zaraz para będzie mu uchodzić uszami.

– Miałeś być na spotkaniu – bronię się.

Przy śniadaniu opowiadał o nowym kliencie od perfum i wyszedł dopiero pół godziny temu, nie ma szans, żeby...

– Odwołane – warczy, rozluźniając węzeł krawata. – Właśnie zawracałem do firmy, kiedy ze zdumieniem zauważyłem cię na poboczu wbiegającą do sklepu z bielizną.

Ups...

Wzruszam ramionami i uciekam wzrokiem na swoje bosa stopy.

Miałam naprawdę dobre intencje. Albo naprawdę głupie.

– Potrzebowałam małej przerwy – chrypię cicho. – Nie gap się tak.

Ignoruje moje słowa i dalej wbija we mnie nieodgadnione spojrzenie.

Przez niego czuję się kompletnie naga i dziwnie bezbronna. I znowu zaczyna brakować mi tlenu.

Jacob zbliża się i wciska mnie do jednego z kątów w przebieralni.

– Mógłbym cię zwolnić.

Nie nadążam za zmianami jego nastroju. Rano, kiedy karmił mnie tostami, był wesolutki jak szczygiełek, a teraz bucha furją.

– Co cię ugryzło?

– Jestem twoim szefem, a ty moją pracownicą, lekceważącą swoje obowiązki. – Łapie mnie za podbródek, a jego rozgrzany oddech uderza o moje usta. – Co mogło mnie ugryźć?

Chyba gniewa się na mnie, bo wyszłam bez pozwolenia.

Przesuwam drżącą ręką po włosach.

– Przepraszam za to. Muszę ładnie wyglądać, bo...

– Bo co?

– Bo tak postanowiłam.

Dłoń Jacoba osuwa się na moją szyję.

Serce trzepocze mi jak szalone i jestem pewna, że wyczuł to pod palcami.

– Dla swojego chłoptasia?

Kurczę się w sobie jeszcze bardziej na ten wredny komentarz.

I co teraz powiesz, Hope?

– Wynoś się z tej przebieralni. – Najlepszą obroną jest przystąpienie do ataku. – Włazłeś tu za mną bez pozwolenia. Zbok. – Odpycham go.

Albo raczej próbuję. Łatwiej byłoby pewnie przesunąć buldożer.

Jacob się uśmiecha, ale to raczej uśmiech wściekłego demona. Jego dłonie mkną w dół mojego ciała.

– I zaczynasz od bielizny? Zamierzasz się przed nim rozbierać? – Zawadza kciukiem o kokardkę przysłaniającą prawą brodawkę.

Wciągam łapczywy oddech.

– Nie twoja sprawa – syczę.

– Jesteś nienormalna. – Śmieje się. – Kompletnie popieprzona.

– I nawzajem.

Krew wrze w moich żyłach, a ja prawie tonę w zalewającej mnie fali pożądania.

Ma rację. Jestem kompletnie popieprzona. I przez to uwikłałam się w jakąś nienormalną sytuację, z której nie wiem, jak mam wybrnąć. Ta cała sprawa z Williamem i Jacob...

Poznałam Williama w zeszłym roku na spotkaniu ze znajomymi, a później wpadałam na niego jeszcze kilka razy. Już na początku uznałam, że jest sympatyczny. Był duszą towarzystwa i miał rozległą wiedzę na różne tematy, a także zachowywał wobec mnie uprzejmie. To przecież istotne cechy u ewentualnego partnera. Poza tym naprawdę

dobrze wygląda, a moje przyjaciółki od razu odnalazły się w roli swatek i potwierdziły moje przypuszczenia, że stanowilibyśmy świetną parę. Tylko że...

Tylko że tak naprawdę nigdy nie czułam przy nim żadnego ognia ani motyli w brzuchu. Pogodziłam się z tym, że nie tak wyglądają uczucia w realnym świecie i że to wielkie mistyczne przyciąganie, o którym czytam w książkach, zostanie już tylko w nich.

Pora dorosnąć. Tak setki razy mówiła moja mama, kiedy kurczowo trzymałam się swoich fantazji o miłości.

Dorośnij, Hope. Dorośnij.

Tyle że jeśli rzeczywiście w tym tkwi mój problem, to wcale nie chcę dorastać. Jeśli chodzi o miłość, o oddanie komuś serca, zawsze wyobrażałam sobie, że to będzie coś wielkiego, pięknego, wszechobecnego. I że od razu poczuję coś wyjątkowego. Nienazwanego.

Bo natknę się na osobę, do której należałam od zarania dziejów.

Żadnych namiastek i ustępstw. Nie jeśli chodzi o miłość.

Ale taka miłość nie przyszła, a ja bardzo polubiłam Williama i naprawdę chciałam dać temu szansę, bo może wielka miłość wcale nie musi wybuchnąć od razu jak supernowa. Może musi wykluc się powoli z czegoś mniejszego, a ja się po prostu myślę. Tak. Tak myślałam, kiedy poznałam Williama.

A później na jachcie natknęłam się na Jacoba. I kiedy na niego spojrzałam, coś zapłonęło we mnie jak mały fajerwerk. Naprawdę miałam wrażenie, że coś mnie do niego przyciąga, jakby łączyła nas niewidzialna więź, która pojawiła się znikąd.

Mówiłam sobie wtedy, że to głupie, bo poza tymi dwoma razami na jachcie miałam go już nigdy więcej nie spotkać, więc jak to dziwaczne uczucie mogło coś znaczyć? Nie mogło.

Zatem dlaczego teraz mieszkam obok niego i pracuję jako jego asystentka?

Akurat w momencie, kiedy zdecydowałam się już pogodzić z tym, że William to ten facet...

Jeszcze kilka miesięcy temu uznałbym to za znak od losu, a teraz co... Mam spojrzeć na Jacoba i powiedzieć: „Wiesz co, właściwie to zmieniałam zdanie i chciałabym umawiać się z tobą, bo te motyle w brzuchu, o których czytam, wiesz, mam je tylko przy tobie”.

Tak, jasne. Zrobiłabym z siebie pośmiewisko. I to przed facetem, który nie wierzy w związki.

– I diabelnie podniecająca – dodaje Jacob niespodziewanie, wyrywając mnie z zamyślenia.

Mrugam.

– Co?

– Pomogę ci.

– W czym?

O rety, czy wypowiedziałam jakieś moje zagmatwane przemyślenia na głos? Pewnie ma mnie za niezrównoważoną psychopatkę.

Jacob wsuwa palec pod ramiączko błękitnej koronki i osuwa ją w dół.

– Wybrać najseksowniejsze komplety – szepcze. – W końcu kto podpowie ci lepiej, jak nakręcić mężczyznę niż jeden z nich?

Cóż, ja na pewno mam go za odrobinę niepoczytalnego. W końcu trzy minuty temu cały gotował się ze złości, a teraz... On mnie rozbiera!

Odsuwam jego ręce i próbuję jeszcze bardziej wcisnąć się w kąt.

– Ty już jesteś nakręcony.

Tak, jest. Czuję na podbrzuszu jego wzwód.

– I właśnie dlatego ta bielizna zostaje – mruczy, a w jego spojrzeniu tli się zachwyty. – Jest zajebista. – Ponownie pociąga za kokardkę, tym razem tę naszytą na krawędzi majtek.

Wbijam mu paznokcie w nadgarstek.

– Nie dotykaj.

Jacob w ogóle mnie nie słucha, porywa kolejny komplet z wieszaka.

– Włóżysz następną.

Niby jak? Przy nim?

– Żeby to zrobić, muszę się najpierw rozebrać.

Jacob obdarowuje mnie najbardziej niewinnym chłopięcym uśmiechem, a następnie...

– Wiem, już się do tego zabieram. – Zaciska dłonie na moich żebrach i wiedzie nimi wyżej, do maleńkich zatrzasków ukrytych pod biustem.

Moje mięśnie naprężają się do granic możliwości, a w żołądku znowu wylęga się cała chmara różnych skrzydlatych stworzeń.

Powinnam go powstrzymać, ale wcale nie chcę. Czy to byłoby takie złe, gdyby... Przecież w końcu chciałam, żeby mnie pragnał.

Albo ty sprawisz, że uwierzy, że widzisz w nim tylko zabawkę, albo on skorzysta z okazji i ciebie uczyni swoją zabawką.

To go zmotywuje, żeby dowiódł ci, że jest idealnym kandydatem na bycie kimś znacznie więcej...

Słowa Jacoba grzmiały mi w głowie, a ja zastanawiam się, czy właśnie daję mu okazję, żeby widział we mnie jedynie zabawkę, czy raczej próbuję przyciągać i odpychać, jak mi radził.

– Jacob... – Odsuwam się poza zasięg jego dłoni.

– Daj spokój, chyba się nie wstydzisz.

Wyszarpuję z jego objęć krwistoczerwony jedwabny komplet i przytulam jak tarczę.

– Nie stanę przed tobą nago.

– Zamknę oczy.

Parskam śmiechem.

– Akurat.

Jego palce znikają pod moimi bransoletkami.

– Facetów najbardziej kręcą odważne dziewczynki. – Głaszczę niebieskie żyłki na nadgarstku, a później unosi moją dłoń i przyciska do niej swoje usta. – Ale ty, jak sądzę, nie jesteś tak nieustraszona, za jaką chcesz uchodzić.

Słucham? Sugeruje mi, że jestem tchórzem?

Prostuję plecy i obrzucam go beznamiętnym spojrzeniem.

– Okej, proszę, gap się. – Zaczynam zdejmować koronkową bieliznę. – To wszystko, na co możesz liczyć. – Rozpinam resztę zatrząsków i tasiemek i pozwalam powoli opaść górnej części kostiumu, aż do pasa. Udając, że w ogóle nie obchodzi mnie to, że sterczę przed moim szefem z obnażonymi piersiami, pochylam się i odpinam pas do pończoch, a następnie ściągam je równie niespiesznie i kokieteryjnie.

W końcu stoję przed nim naga i niewzruszona.

Powiedzmy.

Jacob odchrząkuje i jeszcze bardziej rozluźnia krawat.

– O ja pierdole! – Zrzuca go gdzieś na podłogę i nie odrywa ode mnie wzroku.

Uśmiecham się z satysfakcją. Ewidentnie stracił grunt pod nogami.

– Nie, dziękuję.

Jacob zaczyna się jękać.

– Jesteś... – Urywa.

Wkładam czerwony kostium. Ten jest wyjątkowo... skąpy. Skrawki jedwabiu są wymyślnie powycinane, żeby układać się na skórze w różne wzory, ale odsłaniają niemal wszystko, a to, co robi za majtki, jest, cholera, kawałkiem błyszczącego sznureczka.

Odwracam się plecami do Jacoba.

– Zapniesz mnie? – proszę.

Tym razem trzeba zaczepić o siebie haftki i związać kilka sznureczków na plecach.

– Z rozkoszą – odpowiada, a jego głos ocieka czymś nieprzyzwoitym.

Oczywiście zamiast po prostu mnie zapiąć, wykorzystuje okazję, żeby mnie dotknąć. Przesuwa opuszką wzdłuż mojego kręgosłupa, a później składa lekki jak piórko pocałunek na moim karku.

Ponownie staję z nim twarzą w twarz.

– Co myślisz o tym? – Rozkładałam ramiona i robię piruet.

Jacob znowu odchrząkuje.

– Bardzo... ładny. Taki... – Jego jabłko Adama podskakuje, gdy przełyka ślinę. – Znikomy.

Mam ochotę odtańczyć triumfalny taniec. Jacob Parker zaraz wybuchnie.

– Teraz przymierzę ten. – Wskazuję na ostatni z kompletów, który zabrałam ze sobą do przymierzalni.

– Nie będę cię zatrzymywał.

– Ładny, mięciutki. – Przesuwam dłonią po materiale. – Czujesz? – Zamykam jego palce na krawędzi bielizny.

Jacob obserwuje mnie w lustrze. W jego oczach czai się drapieźnik szykujący się do skoku.

– Myślę, że jednak spróbuję – szepcze.

Serce podchodzi mi do gardła.

– Czego?

– Powstrzymać cię przed przymierzeniem kolejnego kompletu. – Owija rękę wokół mojego biodra i przyciąga mnie do swojego ciała. – Muszę, zanim wysadzi mi jaja.

Śmieję się, wtulając nos w jego szyję.

– Czyżby?

Jacob nie odpowiada. Robi coś o wiele lepszego.

Wreszcie mnie całuje.

ROZDZIAŁ 13



JACOB

Czy to truskawki i czekolada?

Smak jej warg na moich, jej języka splątanego z moim sprawia, że bucha we mnie oślepiająca żądza.

Co ja chciałbym zrobić z tym małym smakowitym Rudzielcem...

– Nie możemy – protestuje bez przekonania Hope.

Ponownie przywieram do niej ustami i przypieram ją do ściany naprzeciwko luster. Moje wargi obsypują pocałunkami jej wrażliwą skórę.

Całuję oba kąciki jej ust, a później przesuwam językiem wzdłuż dolnej wargi.

Kurwa, smakuje słodko i jak coś, czego jeszcze nigdy nie kosztowałem, ale jestem zupełnie pewny, że uzależniłem się po pierwszym liźnięciu.

– Oczywiście, że możemy, seks to nie przestępstwo. – Ssę płatek jej ucha.

Rudzielec wije się w moim uścisku, a jej paznokcie drapią mój kark.

– Ale tak nie wolno. – Odchyła głowę, gdy obsypuję pocałunkami i liżę jej szyję. – Nie powinnam.

Uśmiecham się zadowolony. Hope może i próbuje się bronić przed wznieconym między nami pożądaniem, ale jej ciało reaguje tak, gdyby było stworzone dla mnie.

Tylko dla mnie.

Zaciskam zęby na skórze jej gardła, dokładnie w miejscu, gdzie dziko tętni jej puls.

– Chcesz tego?

Hope otwiera swoje zielone oczy przysłonięte mgłą pożądania i usiłuje doprowadzić do ładu rozczochrane włosy.

– Proszę, przestań mnie dotykać – przemawia ledwie słyszalnie. – To wszystko pozbawia mnie rozsądku.

Jej słowa rozdierają mnie na dwie części. Jedna jest głodna, zaborcza i zdecydowana, żeby wziąć Hope, teraz, tutaj i zawłaszczyć ją. Pokazać, że powinna być moja. Druga zaś

dostrzega w niej dziwną bezbronność. Jak gdyby naprawdę się bała. Nie mnie, ale oddania się mi.

Dlaczego?

– Jesteś wolna. W tej chwili nie masz obowiązku dochowywać wierności swojemu księciuniowi z bajki, a seks bez zobowiązań to świetna zabawa – namawiam, zakładając kosmyk jej ognistych włosów za ucho. – Wyzwała endorfiny.

Hope spuszcza wzrok.

– Nigdy tego nie robiłam. Nie tak. – Milknie. – Nie bez uczuć, bez...

Bez uczuć? To tego się tak obawia?

– Ciii. – Wodzę kciukiem po jej wargach. – Czujesz to? – Całuję ją ponownie, ale tym razem o wiele łagodniej, spokojniej, jednocześnie chwytam ją za rękę i przyciskam dłoń do mojego serca.

Jej paznokcie mocniej wrzynają mi się w skórę.

– Tak.

Nie odrywając ust od jej skóry, przesuwam się w dół i wyznaczam szlak delikatnymi muśnięciami na jej dekolcie i niżej. Tak cudownie blisko jej pięknych sterczących sutków.

– Czy nie ma w tym uczucie? – pytam. – W moim dotyku? W pocałunkach?

Hope waha się i rozgląda zmieszana.

– Ale... – Miętosi w palcach moją koszulę. – Ale jesteśmy w miejscu publicznym.

Uśmiecham się.

– Jeśli chcesz, mogę cię zabrać na moje biurko. – Wkładam kciuk pod jedwabne wycięcie w bieliźnie i szczypię sutek. – Fantazjowałem o tym.

Hope przesywa spazm rozkoszy. Zupełnie nieświadomie napiera na mnie, wpychając mi w garść swoją pierś i ocierając się o mnie biodrami.

Tak jest, kochanie. Już tęsknisz za moim dotykiem.

Znowu pociągam jej sutek, a Hope przygryza mój bark, by stłumić jęk.

– Nie. Jeśli teraz przestaniesz, to chyba zwariuję. – Wczepia się we mnie palcami.

Trącam nosem jej nos.

– Taka z ciebie niecierpliwa dziewczynka?

Jej oczy wbijają się w moje palce głaszczące jej brodawkę. Obserwuje moje ruchy jak zahipnotyzowana i jest w tym stanie diabelnie podniecająca.

– Dotknij mnie – błaga.

W końcu, kurwa, dzięki Bogu.

– Gdzie?

Unosi na mnie spojrzenie. Rozpalone, niemal zdesperowane.

– Jacob...

Pochylam głowę i zamykam usta na jej piersi.

– Gdzie, kochanie? Powiedz mi. – Dmucham na sutek. – Mogę dać ci wszystko.

Rudzielec wierci się przy ścianie.

– Naprawdę? – Krzywi się. – Bo na razie kiepsko sobie radzisz.

Znowu wzbiera we mnie rozbawienie. Uwielbiam ją taką rozzłoszczoną.

– Wyzwanie? – chrypię. – Dobra zagrywka, kusicielko. – Przygryzam jej sutek, a Hope tym razem nie udaje się zagłuszyć jęku.

Nie daję jej jednak czasu na spanikowanie i sięgam dłonią między jej uda. Najpierw zataczam małe, leniwe kółka na ich wewnętrznej stronie bardzo blisko jej cipki, a później przemykam opuszkami po jej łechtaczce.

– Tak.

Ciało Hope wygina się w łuk.

Cholera, kurwa, cholera.

Pragnę pieścić ją i zadowalać, aż oszaleje. Zatraci się w doznaniach. We mnie.

Jednak zanosi się na to, że prędzej sam dostanę pierdolca. Samo przyglądanie się jej, czucie jej dreszczy na sobie, słuchanie dźwięków, jakie wydaje, kiedy jest jej dobrze, sprawia, że jestem wykończony, a mój kutas pręży się boleśnie w spodniach.

Masuję jej łechtaczkę, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy. Pożeram ją wzrokiem, jakbym nie chciał stracić ani sekundy z tej chwili.

W końcu Hope zaczyna kołysać biodrami, jak gdyby sama szukała moich palców i chciała je w sobie zanurzyć, więc daję jej to, czego potrzebuje. Wsuwam w nią najpierw jeden, a później drugi palec, a Rudzielec cicho kwili w moją szyję.

– Lubisz moje palce w sobie? – dyszę. – Jesteś taka mokra.

– O Boże.

Jej wilgoć moczy mi dłoń, kiedy zaczyna się coraz szybciej na nią nabijać. Włosy opadają Hope na twarz, a ona zagryza wargę tak mocno, że dostrzegam na niej krople krwi.

– Masz ochotę krzyknąć, czarownico? – Liżę językiem niewielką ranę. – Dasz radę się powstrzymać?

Jej zęby zaciskają się na mojej szczęce.

– Proszę.

Zanurzam w niej palce, raz po raz zmieniając tempo z szybkiego na nieznośnie wolne.

– Chciałem zobaczyć cię klęczącą przede mną, ale dziś sam mam ochotę paść na kolana przed tobą.

Hope znowu protestuje.

– Jeśli to zrobisz...

Doprowadzę cię do utraty zmysłów.

– Zadowolę cię, jak nikt przede mną. – Uśmiecham się szelmowsko. – I nikt po mnie. Już nigdy. – Znowu ją całuję.

Hope robi głęboki wdech.

– Założymy się, szefie?

Nie zwlekając, przyklękam przed nią.

– To ostatni wystrzałowy orgazm, jaki będziesz miała. Chyba że wrócisz do mnie na powtórkę – szepczę. – Bo przy tym swoim księciu z bajki będziesz mogła jedynie udawać wypieszczoną. – Moje usta opadają na wewnętrzną stronę jej uda, a Hope uderza plecami o ścianę.

– Nawet teraz musisz być takim... – Milknie raptownie, kiedy pozwalam jej na sekundę poczuć mój język na jej łechtaczce.

A potem się odsuwam. Celowo.

– Kim? – pytam z niewinną miną.

Szmaragdowe oczy ciskają we mnie gromy.

– Gigadupkiem.

Zaczynam doprowadzanie jej do obłędu od początku. Najpierw przywieram ustami do skóry jej uda i przesuwam się w górę, aż do jej cipki.

– Jak lubisz być lizana? – Składam jeden pocałunek na jej łechtaczce i znowu nieco się oddalam.

Hope zaciska pięści.

– Przestań.

Zmuś mnie.

– Co? Jesteś nieśmiała? – Kąsam skórę na jej podbrzuszu i przemykam językiem po jej łonie. – Teraz, kiedy mam usta na twojej...

Jej palce wplatają się w moje włosy, a biodra napierają na moje wagi.

O ja pieprzę. Jest wspaniała. A ja... jestem przez nią totalnie zniewolony.

I już wiem, jak czuje się facet robiący sobie kąpiel we wrzącej lawie. Pożądanie sprawia, że sam prawie się trzęsę.

Ujmuję Hope za biodra i zaczynam coraz zachłanniej ssać jej cipkę. Jest słodka i pachnie tak, że mam ochotę się nią upić.

– Jacob – chlipie. Jej łono wciąż ociera się o moje usta. Raz, drugi, trzeci.

– Mmm, wyuzdana.

Rudzielec nagle opamiętuję się i zamiera.

– Przepraszam. – Wyplątuje palce z moich włosów. – Ja...

O, nie, nie, nie. To nie jest koniec.

Ujmuję ją za kostkę i przerzucam sobie jej nogę przez ramię. Dmucham na jej kobiecość.

– Nie przepraszaj. W seksie chodzi o to, by się zatracać. W przyjemności – nucę. – Zatrąć się dla mnie. Teraz. – Znowu zaczynam ją lizać i już się nie zatrzymuję.

Hope wije się przy mnie, jej cipka raz napiera na moje usta, a raz próbuje przed nimi umknąć, ale jej nie pozwalam. Naprzemiennie pieszczę ją językiem i ssę. Jej ciałem wstrząsają coraz silniejsze dreszcze, kiedy zauważam, że jest już blisko, wsuwam język do jej wnętrza, a kciukiem naciskam na nabrzmiąłą łechtaczkę. Wtedy Hope dochodzi. Jej mięśnie zaciskają się na moim języku, jak gdyby chciały go zatrzymać w środku, a ona znowu naznacza moją skórę na szyi swoimi pazurami.

– O cholera – odzywa się po chwili. – To było...

– Bardzo smakowite – wtrącam z uśmiechem. – Dzięki. – Mrugam do niej, jak mam w zwyczaju, bo zauważyłem, że bardzo ją to kręci. Zwykle wtedy rumieni się i patrzy na mnie tak, jakby chciała na mnie wskoczyć.

Wstaję i sięgam po sukienkę, w której wybrała się dziś do pracy.

– Co robisz?

Bez słowa rozpinam jedwabny komplet, który teraz jest podejrzenie pomięty.

Nieistotne, bo i tak go kupię. Chcę mieć go przed oczami dziś w nocy. Na ciele Hope. Kiedy będę musiał, użyć wyobraźni i sobie zwalić, żeby nie wywieźli mnie do szpitala dla czubków.

I tak trochę się tak czuję. Bo nie mam ochoty tego kończyć. Pragnę tylko znowu zanurkować twarzą między jej nogami. I nie rozstawać się z nią już nigdy. Odkrywać, co jeszcze daje jej rozkosz.

Zdejmuję z niej bieliznę i zaczynam nakładać sukienkę.

– Ubieram cię. Nie możesz paradować po sklepie w tej bieliźnie. Zabraniam – warczę.
– W tym nie pokażesz się nikomu poza mną.

– Ale...

Łapię ją za kark i przesuwam zębami po dolnej wardze.

– Obiecuj – nakazuję ostrzej, niż zamierzałem. – To jest moje.

Gdyby pokazała się w tych kompletach Williamowi albo jakiemuś innemu sukinsynowi, chybabym ich powystrzelał.

Hope się uśmiecha.

– Twoje – zgadza się. – Nasze.

Od razu się odprężam i kontynuuję zapinanie guziczków jej sukienki.

– Dobrze. – Cmokam ją w nos. – To brzmi nawet lepiej.

Rudzielec milczy, ale widzę po niej, że chce coś powiedzieć.

– Ale ty przecież nie... – Pociąga nerwowo za bransoletkę na swoim nadgarstku. – Nic z tego nie miałeś.

Zaczynam się śmiać.

Jest tak uroczo zażenowana.

– Wziąłem sobie dokładnie to, czego chciałem – mówię. – Jeśli chcesz czegoś więcej, sama musisz do mnie przyjść.

Hope odwraca się do lusterka i zaczyna związywać włosy.

– To się nie powtórzy. Wiesz, że nie. Nie mogę. – Poprawia frotkę. – To był...

Napieram torsem na jej plecy i zatykam usta dłonią.

– Nie mów tego. – Wzbiera we mnie nieposkromiona furia.

No kurwa, nie do wiary.

Dwie minuty po tym, jak szczytowała na moim języku, uznaje to za błąd?

Hope się garbi.

– Przepraszam, ja tylko... – Okręca się i łapie mnie za dłoń.

– Błąd, co? Nie przejmuj się, przywykłem do bycia błędem w życiu kobiet. – Wrywam palce z jej dłoni. – Nie musisz już dziś wracać do biura.

Hope znowu do mnie dopada. Patrzy na mnie z lękiem i mieszanką innych emocji.

– Zaczekaj. Nie o to mi chodziło. Nie jestem nią. – Przysuwa się, jak gdyby zamierzała mnie przytulić, ale ja już opuszczam przebieralnię.

Nie, nie jesteś taka jak Jasmine. Jesteś o wiele gorsza... Możesz mi zrobić rzeczy o wiele gorsze, a przede wszystkim...

Ty też mnie nie chcesz.

ROZDZIAŁ 14



HOPE

Jacob jest na mnie obrażony.

Nie, o wiele gorzej, Jacob jest na mnie wściekły. Wczoraj, po tym jak wypadł z tej przeklętej przebieralni, już go nie widziałam aż do dzisiejszego ranka w pracy.

A teraz mój szef terroryzuje całe biuro i zarzucił mnie tyłoma obowiązkami, że z irytacji mam ochotę wbić zęby w pień drzewa i zacząć obgryzać korę niczym bóbr.

„Zrób to. Zrób tamto. Masz kwadrans”. „Panno Vitteli, spóźnia się pani z zestawieniem o trzy minuty, czy potrzebuje pani pomocy?”

Może zamiast obgryzać korę, obgryzę jego głowę.

Wstaję i idę do jego gabinetu z toną papierzysk i jednym małym podarkiem, który – mam nadzieję – skruszy jego serce.

– Nie teraz, jestem zajęty – burczy Jacob, gdy tylko przekraczam próg jego gabinetu.

Nawet nie raczy podnieść na mnie wzroku znad swojego biurka.

Żadnego „wejź”, „dziękuję, dobrze się spisałaś”. W jeden dzień ogarnęłam to, co innym zajmuje tydzień. Wlałam w siebie dwie kawy i dwa energetyki, może niedługo moje durne serce wybuchnie od nadmiaru kofeiny. Przed oczami mam mroczki od czytania miliona różnych dokumentów i to wszystko po to, żeby udowodnić, że mi zależy. Że dobrze wybrał.

Ale nic z tego. Dupek wciąż jest w nastroju „spieprzaj na drzewo, Hope”.

Ignoruję jego zakaz i wchodzę, zamykając za sobą drzwi.

– Zajmę ci dwie minuty – obiecuję i układam na jego biurku pudełeczko, które przyniosłam. – To dla ciebie. Cytrynowa, zauważyłam, że je lubisz. – Uśmiecham się i czekam.

A potem wciąż się uśmiecham i czekam. Aż Wasza Wysokość Dupek uniesie wieczko i zajrzy do środka. Niestety, nic takiego się nie dzieje.

Jacob przerzuca papiery i klika myszką.

No dobra. Zrobimy to inaczej.

Sama otwieram pudełeczko ze słodką babeczką wewnątrz. Cytrusowy zapach rozchodzi się w powietrzu, a ze środka patrzy na Jacoba wypiek z namalowaną kremem wesołą minką. Uparcie podsuwam mu kartonik, aż wreszcie pan Parker nie ma wyjścia i unosi na mnie wzrok.

– Rzeczywiście nie umiesz wykonywać poleceń przełożonych – syczy. – Jestem zajęty. Nie mam czasu. Nawet dwóch minut. – Odsuwa babeczkę, prawie zwalając ją na podłogę, i wraca do gapienia się w dokumenty.

– Trudno, bo nie masz wyboru. – Opieram dłonie o drewniany blat. – I nie próbuj mi znowu grozić zwolnieniem jak wtedy w przebierali w przypiływie samczej zaborczości.

– Zaborczości? – Śmieje się. – Nie roszczę sobie praw do tego, co chce należeć do kogoś innego.

– Możemy o tym pogadać? – proszę.

– Nie. – Sięga po słuchawkę telefonu. – W pracy masz być profesjonalistką. – Gdy zaczyna wybierać numer, rzucam się na niego jak tresowana foka na kolorową piłeczkę i wrywam mu słuchawkę w ręki.

– Naprawdę, Panie „Fantazjowałem o tym, żeby wziąć cię na moim biurku”?

– Pozwól, że cię zacytuję – zaczyna lodowatym tonem. – To był błąd, który się więcej nie powtórzy.

Boże, naprawdę korci mnie, żeby przyłożyć mu tą babeczką, a potem jeszcze poprawić słuchawkę.

Dąsa się jak trzylatek, ale wiem, że to moja wina, a on jest... Chyba, może... trochę zraniony?

A jeśli tak, to... Chyba, może... trochę mnie lubi?

Okrażam biurko i podchodzę do niego. Zaplątam nerwowo dłonie.

– Wcale tak nie myślę – szepczę.

Mogłabym postawić na stuprocentową szczerłość i powiedzieć, że jeśli może trochę chciałby... To znaczy, że jeśli tylko poprosiłby mnie, to zapomniałabym o Williamie i...

– Więc przyszedł poprosić, żebym pozwolił ci sobie obciągnąć?

Prostuję się i zaciskam palce na falbanach sukienki.

– Przestań być takim dupkiem. Nie zmusiłam cię, żebyś przeleciał mnie w tej przebieralni – wytykam.

Jacob okręca się na swoim fotelu ku mnie.

– Chcesz złożyć skargę? – Przygląda mi się tak, jakby miał przed sobą karalucha na sterydach.

Może jednak powinnam wyjść. Chrzanić to.

Nie, ani się waż, cykorze. Jesteś dorosłą, pewną siebie, przebojową kobietą.

I co z tego, że mam w domu kolekcję pluszowych maskotek, a po kolacji lubię lizać rozpuszczalne kakao dla dzieci?

Boże, po prostu to powiedz, idiotko. Najwyżej dostaniesz kosza.

– To, co się tam stało, bardzo mi się podobało. Było naprawdę... – Kurde, źle, może inaczej. – Nie spałam przez ciebie całą noc, bo walczyłam ze sobą, żeby nie zakraść się do twojej sypialni – wyrzucam w końcu, ale brzmi to raczej jak wywrzeszczane oskarżenie.

Fenomenalnie.

Zawstydzona, opieram się potrzebnie, żeby zakryć oczy rękami.

Czy ziemia może się rozstąpić i mnie pochłonać?

Na ustach Jacoba pojawia się arogancki uśmiezek.

– Trzeba było to zrobić – mówi już łagodniej.

– Byłeś na mnie wściekły. – Dopiero teraz orientuję się, że cały czas tupię szpilką o marmurową posadzkę. – Odrzuciłbyś mnie, a to byłoby upokarzające.

– Nigdy bym cię nie odrzucił.

– Robisz to teraz.

Czarne oczy rozbłyskują zagadkowym blaskiem. Zatrzymują się na moment na mojej sukience.

Tak, to ta sama, którą miałam podczas naszego pierwszego spotkania na jachcie. Ta z napisem: „Przeznaczenie nigdy się nie myli”. Włożyłam ją specjalnie, żeby...

Znienacka zostaję przyciągnięta i posadzona na jego kolanach. Jego ramię owija się wokół mojej talii.

Żeby przywołać wspomnienie naszego pierwszego spotkania i dać mu szansę, której wcześniej nie miał. Na zdercie jej ze mną. Co właśnie robi. Na razie tylko wzrokiem.

A ja robię to samo. Jestem boleśnie bliska rozpięcia jego koszuli, naznaczenia pocałunkami jego torsu i pleców z tym seksownym, złowieszczym tatuażem smoka. Moje usta odnalazłyby wiele przyjemności w pieszczaniu każdej maleńkiej opalizującej łuski wyrytej na jego skórze.

– A czy ty, Hope Vitteli, chcesz być moja? – szepcze, przesuwając wargami po moim uchu.

Uwielbiam, kiedy wypowiada moje nazwisko tak, jakby mówił coś zbereźnego.

Uśmiecham się.

– A co, jeśli...

Nagle ponownie otwierają się drzwi do gabinetu Jacoba.

– Musimy porozmawiać. – Do środka wpada nie kto inny jak Jasmine na swoich długich żyrafich nogach, a za nią Ciara ze zmartwioną miną.

Szybko podrywam się na nogi i stoję w stosownej odległości.

– Przepraszam, panie Parker. Próbowałam wytłumaczyć pani White, że nie życzy sobie pan, by mu przeszkadzać, ale nie chciała słuchać. – Ciara marszczy czoło. – Czy mam wezwać ochronę? – zwraca się do szefa.

Jacob kręci głową.

– Poradzę sobie, dziękuję.

Po tych słowach Ciara natychmiast ucieka, a ja zastanawiam się, czy nie zrobić tego samego.

Jasmine wchodzi dalej do środka i obrzuca mnie ponurym spojrzeniem. Ma na sobie srebrzystą suknię ciągnącą się po podłodze, którą powinno się wkładać raczej na jakiś bal, i fantazyjnie upięte włosy.

– To tym jesteś taki zajęty? – prychna. – Dlatego nie wolno ci przeszkadzać? Przerwałam wam? – Przenosi swoje jadowite ślepie na Jacoba.

– Właściwie to tak, ale z przyjemnością zaczniemy od nowa, kiedy już sobie pójdziesz. – Uśmiecha się i wraca do czytania dokumentów.

Jasmine rozsiada się na kanapie stojącej przy ścianie i zakłada nogę na nogę.

– Nie licz na to.

– Chcesz popatrzeć, jak się zabawiamy? – proponuje.

Zaczynam kaszleć, żeby zagłuszyć chichot.

Jasmine wygładza mieniący się w świetle słonecznym wpadającym przez okno materiał sukni i opiera podbródek na dłoni.

– Jestem w ciąży – wyrzuca.

Co takiego?

Z niepokojem skupiam uwagę na moim przełożonym, ale on nawet nie drgnie. Zachowuje kamienną twarz i dalej kreśli coś w papierach albo wystukuje na klawiaturze laptopa.

Nie słyszał bomby, którą ta harpia właśnie przed nim zdetonowała?

– Gratuluję tobie i ojcu dziecka, ktokolwiek nim jest – odzywa się od niechcienia.

Aha, czyli słyszał. I ma to gdzieś albo fantastycznie udaje.

Jasemine wyraźnie traci cierpliwość.

– Może być twoje. To mniej więcej czwarty miesiąc – dodaje. – Mogłam zajść w ciążę tuż przed...

– Przed tym, jak cię przyłapałem na zdradzie? – wtrąca dowcipnie Jacob.

Jasemine podrywa się z szeslongu i podchodzi bliżej.

– To teraz nieważne. Mogę nosić twoje dziecko i chcę o tym pomówić. – Zerka znacząco w moim kierunku. – Na osobności.

Ma rację. To totalnie nie moja sprawa. Powinnam odejść, ale... Spoglądam na Jacoba. Może potrzebuje mojego wsparcia?

I jak gdyby czytał mi w myślach, mój szef sięga po moją dłoń.

– Ona nigdzie nie idzie. Nie mam przed nią żadnych tajemnic. – Splata nasze palce i przyciska usta do moich, a następnie uwalnia mnie i spogląda na swoją byłą. – A to dziecko, które nosisz, o ile to nie twoje kolejne kłamstwo... Nie jest moje.

Blondynka strąca z biurka teczkę z dokumentami, którą zamierzał właśnie przejrzeć Jacob.

– Nie możesz być tego pewien.

Podziwiam jej opanowanie.

– Będę, kiedy zrobię testy na ojcostwo.

– Żartujesz? Jak śmiesz mówić coś takiego? I to w obecności służby.

Jacob wstaje z fotela.

– To nie służba, tylko moja kobieta. Ostrzegałem cię, żebyś odnosiła się do niej z szacunkiem – warczy, już nawet nie starając się powstrzymać wściekłości.

Moje serce cieszy się, że staje w mojej obronie, i zarazem martwi się o niego.

Nie jestem głupia, wiem, że ta blond suka wypowie mu teraz wojnę.

– W porządku, zostawię was – odzywam się.

– Nie musisz. – Jacob dotyka moich pleców. – To ona zaraz stąd wyjdzie.

Uśmiecham się, wygładzając kciukiem jego krawat. Chyba już setny, w jakim miałam okazję go widzieć.

– Porozmawiamy później – obiecuję.

– Kolacja wieczorem?

Mój uśmiech się rozszerza, a wewnątrz zalewa przyjemne ciepło.

– Ugotujesz mi coś?

– Mogę spróbować, ale nie ręczę za efekty.

Już mam się wycofać, kiedy Jacob ujmuję moją brodę i pochyla się, żeby mnie pocałować. Krótkie, trwające zaledwie sekundę muśnięcie, a i tak sprawia, że wszędzie mam ciarki.

Opuszczam gabinet naładowana nową energią.

Pogodziliśmy się. I chyba mamy... jakby randkę?

A może wcale nie? Co, jeśli Jacob powiedział to tylko z powodu obecności Jasemine? W końcu taki był nasz układ.

– Co ty w niej widzisz? – Moich uszu dobiega szydercze pytanie blondynki.

Chociaż powinnam jak najszybciej się oddalić, to i tak przystaję, żeby poznać odpowiedź.

– Nie zrozumiesz, bo ty nigdy nie będziesz tego czegoś miała. – Ton Jacoba na powrót staje się całkowicie obojętny. – Twoja kolej, żeby wyjść.

– Myślałam, że się ucieszysz. Będziemy mieli dziecko. To dla nas szansa na...

– Nawet nie kończ. Testy DNA – wtrąca Jacob. – A potem, jeśli dziecko jest faktycznie moje, będę dla niego ojcem, ale prędzej wychowam je sam niż z tobą.

Słyszę rytmiczne stukanie jej obcasów o posadzkę.

– Grozisz mi? – krzyczy.

– Ostrzegam. Nie prowokuj mnie. – W głosie Jacoba pojawia się bezwzględna nuta. – Do tej pory byłem dla ciebie zbyt łagodny, ale koniec z tym. Jeśli to twoja kolejna gierka, jeśli myślisz, że możesz mną manipulować... Pożałujesz.

– Ty sukinsynu!

– Wyjdź, zanim naprawdę wyprowadzi cię ochrona.

Cholera.

Szybkim krokiem oddalam się, wracając na swoje stanowisko pracy. Jednak wciąż nie mogę pozbyć się szoku.

A co, jeśli Jasemine naprawdę urodzi dziecko Jacoba? On jest przekonany, że ona kłamie, ale przecież... Jeśli on okaże się ojcem jej dziecka...

Czuję się tak, jak gdyby w moją skórę wbijał się milion małych ostrych cierni.

Jeśli on okaże się ojcem jej dziecka, ich drogi zostaną splątane na zawsze. Nawet jeśli Jacob teraz rozważa oddzielne wychowywanie dziecka, może zmienić zdanie. Dawne uczucia mogą odżyć i... I nie będzie już między nami tego przyciągania.

– Ktoś do ciebie wydzwaniał. – Z korytarza wyskakuje Ciara ze słuchawką przy uchu.
Poprawiam się na krześle.

– Kto?

– William Jakiśtam.

William? William Miller?

Żołądek podchodzi do gardła. I to wcale nie z nadmiaru entuzjazmu. Mam mdłości.

Przełączam połączenie na swoją linię i odbieram.

– Will? Czy coś się stało?

– Hope, przepraszam, że ci przeszkadzam, ale potrzebuję kobiecej przysługi.

Nie, błagam, tylko nie to. Nie teraz.

Słowa odmowy cisną mi się instynktownie na usta, ale milczę.

A może właśnie teraz?

Ale co z Jacobem? Z naszą szansą na...

Uderzam czołem o biurko i śmieję się sama z siebie.

Czy w ogóle po tym, co się dziś wydarzyło, mamy jeszcze szansę na cokolwiek?

– Jasne, jak mogę ci pomóc?

ROZDZIAŁ 15



JACOB

No dobra. Wszystko gotowe.

Przyjemnie, ale niezobowiązująco. Żadnych serwetek w kształcie serc ani widelców, które na uchwytych mają wygrawerowane słowo LOVE.

Chociaż obie te rzeczy mogłyby jej się zapewne spodobać.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy zamiast kolacji w domu nie powinienem gdzieś jej zabrać, ale szybko odrzuciłem ten pomysł, bo z tego, co zauważyłem, Hope nie czuje się swobodnie w drogich restauracjach i wcale jej to nie imponuje.

A teraz mam kolejny problem. Zdaje się, że zupełnie zapomniała o naszej NIErandce. Albo wcale nie ma zamiaru na nią przyjść.

– Jesteś po niewłaściwej stronie płotu – przemawiam do mojej ślicznej ognistowłosej sąsiadki, która jak zwykle wieczorami zaczytuje się w jednej z romantycznych powieści na swojej werandzie.

Cokolwiek czyta, tak ją to wciągnęło, że nie spostrzegła nawet, że stoję tu i wpatruję się w nią od piętnastu minut niczym rasowy prześladowca.

Hope wznosi wzrok znad kartek.

– Nie rozumiem – mamrocze, marszcząc nos.

Otwieram dzielącą nasze podwórka furtkę i wykonuję zapraszający gest.

– Obiecałaś mi kolację.

Rudzielec podnosi się z fotela i odkłada książkę na stół. Po pracy przebrała się w krótkie spodenki w zajeździe rażącym żółtym kolorze i luźną koszulkę.

Cóż, jeśli ta barwa ma być dodatkową zachętą do podziwiania jej pośladków, to naprawdę jej nie potrzebuję.

Kiedy się zbliża, wzbiera we mnie wręcz pierwotna potrzeba, żeby po nią sięgnąć. Żeby ją gonić, ścigać, złapać.

I pocałować.

– Nie byłam pewna, czy mówiłeś to na serio, czy tylko improwizowałeś przy swojej byłej sukowatej narzeczonej – wyznaje.

Wspomnienie o Jasmine trochę psuje mi nastrój.

Wyciągam rękę i owijam sobie rudy lok wokół palca. Jej włosy są niesamowite. Z tej odległości widać, że każdy kosmyk wpada w inną barwę – od płonącego pomarańcza do kasztanowego brązu. I bez względu na to, jak się uczesze, po jakimś czasie jej włosy zaczynają przejmować kontrolę i wymykać się z koków.

Bo takich włosów w ogóle nie powinno się spinać.

– Chcesz spędzić ze mną ten wieczór? – Nim zdąży zaprotestować, zdejmuję frotkę z jej warkocza i obserwuję, jak błyskawicznie zaczyna się rozplatać bez mojej pomocy. – A może masz już plany?

Hope odbiera mi gumkę i wymija mnie, wkraczając na moje podwórko.

Czyli jednak mamy randkę.

– Co jemy? – pyta moja sąsiadka, rozglądając się z zaciekawieniem po kuchni.

Wskazuję dłonią na przygotowany już wcześniej stół.

– Mam grillowaną rybę i całą kolekcję win. Jeśli chcesz, możesz wybrać.

Hope patrzy na mnie jak na czubka.

– Czy ja ci wyglądam na sommelierkę? Bo mogę polecić ci tylko takie sprzedawane w marketach. – Przechodzi do części jadalnej. – Piłeś kiedyś wino za dziesięć dolarów, milionerze? – żartuje.

Opieram się o ścianę przy wejściu, kiedy Hope okrąży zastawiony stół i z uwagą rozgląda się po pomieszczeniu. Przesuwa palcami po czarnym obiciu krzesel, zawadza opuszką o kolorową serwetkę, a następnie wyciąga rękę i trąca liść wielkiego do sufitu kwiatu.

Żałuję, że nie wiem, co sobie myśli. Czy wystrój przypadł jej do gustu? Z jakiegoś powodu drażni mnie, że może nie czuć się tu dobrze.

Tutaj, na moim terytorium, gdzie powinna zostać.

Próbuję spojrzeć krytycznie na kuchnię i jadalnię urządzone w kolorach jasnego fioleto i bieli. Niestety poza obrazami i kilkoma roślinami oraz dziwaczną figurką, którą moja matka przywiozła z jakiegoś kraju, żeby przyniosła mi szczęście, nie mam tutaj wielu ozdób. Lubię prostotę i minimalizm.

– Ciekawa? Jeśli chcesz, możesz pozwedzać. Nie krępuj się – zachęcam. – Mogę też oprowadzić cię po sypialni.

Hope uśmiecha się i przesuwając językiem po dolnej wardze. Znowu dostrzegam błysk tego pieprzonego kolczyka.

– Bardzo dziękuję. – Podnosi pokrywę jednej z mis. – Łał, wygląda fantastycznie. – Od razu łapie widelec i nabiera na niego kęs ryby, a później wsuwa ją do ust i przymyka powieki.

Podoba mi się, że zachowuje się tak swobodnie. W ogóle nie zastanawia się nad wymuszonymi manierami i tym, czy wypada zjadać rybę prosto z garnka.

– Gotuję lepiej od ciebie. Nie powinnaś być zaskoczona, biorąc pod uwagę te obrzydliwe babeczki, którymi chciałaś uwieść sąsiada. – Rozchyłam wargi, niemo domagając się, by mnie poczęstowała.

Hope znowu dźga rybę.

– Zaprosił mnie na... spotkanie.

Zamykam usta i widelec zawisa w powietrzu centymetr od mojej twarzy.

Umówiła się z nim?

– Kiedy?

Rudzielec ucieka spojrzeniem i w końcu sama pochłania porcję ryby z widelca.

– Jutro wieczorem – mruczy i nagle robi się niepewna.

Zalewa mnie fala złości, ale udaję, że mam to w dupie.

– Kiedy cię zaprosił?

– Dziś, zadzwonił do pracy.

Dziś dzwonił do pracy?

To po jaką cholerę Hope wpadła do mojego biura z moją ulubioną babeczką i usiłowała wmówić mi, że nie uważa tamtego seksu w przebieralni za błąd?

Złość przeradza się w furję, która parzy moje żyły.

Wpadła tam i sprawiała wrażenie naprawdę smutnej i przejętej z powodu naszej sprzeczki, a tymczasem jednocześnie umawiała się na schadzki z tym sukinsynem?

Co to ma być? Zamierza mnie zwodzić? Sądzi, że może przeskakiwać z faceta do faceta? Niedoczekanie, już raz to przerabiałem. Nigdy więcej.

– No proszę, wystarczyło, żebyś poturlała się po trawniku w wyłudzonej bieliźnie – syczę. – Głupi sukinsyn.

Hope odsuwa sobie krzesło i zasiada przy stole.

– Jesteś wkurzony, bo okazało się, że wcale nie potrzebuję twoich złotych rad króla podrywów, żeby Will mnie dostrzegł.

Zdziwiłabyś się, skarbie, gdybyś odkryła, jaki jest prawdziwy powód jego nagłego zainteresowania tobą.

Zmuszam się do zachowania spokoju i też zajmuję miejsce za stołem.

Już nie mam najmniejszej ochoty na tę parodię randki, ale przecież jej nie wyrzucę. Po pierwsze, udowodniłbym tylko, że ma nade mną więcej władzy, niż powinna.

A po drugie, sam sobie tego, kurwa, życzyłem, przecież od początku była ze mną szczerą i nie kłamała, mówiąc, że chce Williama.

A nie mnie.

A ta pierdolona babeczka była tylko oznaką przyjaźni.

– Dostrzegł cię, bo zastanawia się, czemu akurat ciebie wzięłem do łóżka. – Wstaję, bo zapomniałem o winie, a zdecydowanie potrzebuję teraz czegoś mocniejszego. Podchodzę do szafki i zgarniam pierwszą lepszą butelkę z alkoholem. Odkorkowuję i rozlewam do kieliszków, chociaż mam ochotę pociągnąć kilka łyków prosto z gwinta.

– Wiesz, że nie wszystko kręci się wokół ciebie?

Ponownie sadowię się na miejscu i wręczam jej kieliszek.

– Kiedy bawiłaś się w ogrodnika, byłaś dla niego tylko zabawną nieszkodliwą dziewczynką – wytykam, bo nie potrafię się zamknąć. – Kobieta stałaś się, kiedy obserwowałam, jak ocierasz się o mnie na trawniku.

Hope robi taką minę, jakby zamiast ryby to mnie chciała dziobnąć tym widelcem, ale zaraz wraca do pałaszowania posiłku.

– Nie zepsujesz mi humoru, więc daruj sobie.

Ma rację. Powiniennem sobie darować. Nie wiem w ogóle, dlaczego mi tak odbija przez tę kobietę. Nawet jej jeszcze tak dobrze nie poznałem, a zachowuję się jak niezrównoważony.

Obejmuję wzrokiem stół i przygotowane potrawy, pijąc wino łyk za łykiem.

Na szczęście się nie wygłupiłem i nie postawiłem rzędu zapalonych świec. Mało brakowało, a popędziłbym do kwiaciarni po bukiet róż, a to nie moja rola, by obsypywać ją kwiatami. Drogi William Miller na pewno mnie wyręczy.

– Skrop cytryną – radzę, podsuwając jej talerzyk. – Podkreśli smak ryby.

Hope uśmiecha się nieświadoma, że jestem wulkanem skrajnych emocji, i wyciera usta serwetką.

– A o tobie nie porozmawiamy?

– O czym konkretnie?

– O tym, że możesz być ojcem.

Zaciskam palce na nóżce kieliszka z alkoholem tak mocno, że zaczyna trzeszczeć.

– Nie jestem ojcem tego dziecka.

Hope wciąż miętosi w palcach serwetkę, aż odrywa jej róg.

– Jasmine powiedziała, że termin...

– Wiem, co powiedziała, i wiem, że to nie jest moje dziecko – wtrącam.

Nie dopuszczam nawet do siebie takiej możliwości. Kiedy dziś złożyła mi kolejną niezapowiedzianą wizytę, od razu wiedziałem, że coś knuje. Nikczemne intrygi to jej specjalność, a fakt, że zechce ponownie zakraść się w moje łaski, był kwestią czasu.

Nie sądziłem tylko, że posunie się do czegoś takiego, a powinienem był, bo Jasmine jest zdolna do wszystkiego.

– A co zrobisz, jeśli się mylisz? – Hope nie daje za wygraną, czym doprowadza mnie na skraj wytrzymałości.

Co za popieprzony dzień. Najpierw Jasmine, potem William, a teraz ta żałosna kolacja, która przypomina wycieczkę do piekła.

Mam wielką ochotę coś rozwalić. Czuję, jak rozsadza mnie adrenalina.

– To dziecko, o ile w ogóle jest jakieś dziecko, byłoby wyłącznie pretekstem, by dorwać się do moich pieniędzy. Niestety nie będzie mnie zwodzić. Już nie. – Mój głos nabiera ostrości niczym brzytwa. – Nie dostanie ani centa.

Hope wierci się na swoim krzeselku, odsuwa od siebie strzępki papierowej serwetki.

– Nie rozważasz w ogóle... powrotu do niej?

Zanoszę się śmiechem.

– Nie słyszałaś, jak mówiłem, że nakryłem ją pieprzącą się z innym facetem na dzień przed naszym ślubem?

Poważnie, tak nisko mnie ceni, że uważa, że powinienem wrócić do niewiernej materialistki?

– Ale... kiedyś w końcu jej się oświadczyłeś, a zwykle oświadcza się kobiecie, z którą chce się spędzić życie.

Grzebię widelcem w talerzu z łososiem. Wzmianka o Jasmine jako kobiecie mojego życia skutecznie odbiera mi resztki apetytu.

– To było dawno temu.

Teraz czuję się tak, jakbym mówił o kimś zupełnie innym. Obcym.

– Więc nie potrafisz jej wybaczyć?

O co właściwie jej chodzi? Gdyby nie to, że ustawiła się na schadzkę z Williamem, to po jej dzisiejszym milusińskim zachowaniu w pracy i aktualnym wywiadzie uznałbym, że jest zazdrosna, ale wiem, że to nieprawda.

Mimo tętniącego we mnie wkurwienia przywołuję na twarz maskę znużenia.

– Nie zamierzam nawet próbować. Wiesz, jaka jest prawda? – zaczynam. – Miałem kurewskiego farta, że ich wtedy nakryłem. Gdyby nie to... Uniknąłem czegoś tysiąckroć gorszego niż kula w łeb.

Zielone tęczęwki Rudzielca odnajdują moje spojrzenie. Dostrzegam w nich cień zakłopotania.

– I teraz jesteś przeciwnikiem związków? – mamrocze.

– Teraz wiem, że miłość to tylko kolejny rodzaj głupoty. Widzisz tę bliznę na mojej dłoni? – Przesuwam rękę po blacie, żeby mogła obejrzeć długą postrzępioną szramę biegnącą od środkowego palca aż do nadgarstka.

– Skąd ją masz? – Dotyka śladu opuszkami.

– Jako dzieciak założyłem się z kolegami, że wepchnę łapę w jedną z pułapek myśliwego. Miałem szczęście, że nie urwało mi ręki – streszczam historię z mojej przeszłości. – Ale zostały tylko blizny, a ja nauczyłem się, że to była kompletnie nieopłacalna głupota.

– A jako dorosły mężczyzna włożyłeś serce w szpony Jasmine i...

– I więcej tego nie zrobię. – Wycofuję rękę z dala od jej dotyku.

– A jeśli pojawi się inna kobieta, która...

– Nie ma innej kobiety – wchodzę jej w słowo. – To nie jest tego warte i kiedyś sama się o tym przekonasz.

Zwłaszcza jeśli wybrałaś sobie na miłość życia kogoś takiego jak Miller.

Hope wpatruje się na swój kieliszek z kołyszącym się w nim winem i uśmiecha się, ale jest jakaś przygaszona.

Nie wiem, jakim cudem skończyliśmy w takim dołku. Zanim zaczął się ten wieczór, byłem cały nabuzowany, a teraz mam wrażenie, że coś wyssało ze mnie resztki sił.

A jakby tego było mało, zauważam ruch za oknem.

No dobra, pora zakończyć ten cyrk.

Wstaję i bez ostrzeżenia podrywam moją towarzyszkę z krzesła.

– Co robisz? – piszczy, wpijając mi paznokcie w bicepsy.

Sadzam ją na stole.

– Nadchodzi twój ulubiony sąsiad – szepczę.

Jej źrenice się rozszerzają.

– Po co?

– Nie wiem, pewnie po to, żeby mnie czymś wkurwić i przerwać nam pseudorandkę. – Rozpinam guziki swojej koszuli, a później rzucam ją za siebie.

– Dlaczego się rozbierasz? – Nim zdąży wymówić jeszcze jedną sylabę, przerywa jej odgłos darcia materiału. – Straciłeś rozum? – Usiłuje zakryć się swoją rozprutą na dekolcie bluzką.

– Dbam o to, żeby pomyślał, że nasza kolacja przebiegła bardzo namiętnie. – Sięgam po słoiczek z konfiturą.

Hope wierci się, jak gdyby oblaży ją mrówki.

– Dlaczego... dżem?

Nie mam czasu na wyjaśnienia. W tle rozbrzmiewa pukanie do drzwi. Szybko rozmazuję słodką maź na dekolcie Hope, a następnie powtarzam to na swoim nagim torsie.

– Cicho – nakazuję i idę powitać mojego nowego gościa. – Jakiś problem? – pytam grzecznie Williama.

No, prawie.

– Jacob! – drze się Rudzielec w kuchni, wciąż siedząc na blacie i próbując ogarnąć bałagan, jaki zrobiłem wokół i na niej samej.

Doskonale wiem, w którym momencie William zauważa Hope. I jej stan.

– Wybacz, skarbie. – Wyciągam do niej rękę, a ona truchta ku mnie, wciąż próbując się powycierać. Zanim zdąży zetrzeć plamę ze swojej szyi, pochylam się i zlizuję ją językiem. – Więc? – ponaglę naszego sąsiada, jak gdyby nigdy nic.

Bo rzeczywiście nie zdarzyło się zupełnie nic, choć on wierzy, że właśnie przerwał nam ostry seks. Jednak nawet świadomość, że nabrałem tego głupiego sukinsyna, nie napawa mnie radością. Przeciwnie.

Bo wszystko się właśnie kończy. Oddaję mu ją.

ROZDZIAŁ 16



HOPE

Mój kot był wczorajszym problemem Williama i powodem, dla którego musiałam przerwać swoją niby-randkę z Jacobem. Okazało się, że Łatka znowu wtargnęła do jego domu. Co było dziwne, bo zamknęłam ją w pokoju, a okna były ledwo uchylone.

Jacob oczywiście ma na to swoją własną teorię, o której właśnie mi pisze. Zakłócając przy tym moje spotkanie z Williamem.

Szef/Sąsiad/Dupek: Na pewno wypuścił Łatkę, żeby mieć pretekst przerywania nam seksu na stole.

Ja: Nie było seksu na stole.

Szef/Sąsiad/Dupek: Ale on myśli, że był.

Szef/Sąsiad/Dupek: A ja wiem, że byłby, gdyby nie przyszedł.

Ja: Przestań pisać.

Szef/Sąsiad/Dupek: Jak randka? Czy już zaczęłaś liczyć osły, żeby nie zanudzić się na śmierć?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy będę dobrym wsparciem. Nigdy nie miałam okazji organizować wieczoru panieńskiego – wyznaję, wiodąc wzrokiem po restauracji, do której zaprosił mnie William.

Królują tu intensywne barwy. Czerwień, róż i fiolet mieszają się ze sobą na ścianach, obrusach, zastawach i ozdobach lokalu. Jest tu ładnie, ale mam poczucie, że to miejsce, do którego zabiera się kogoś, licząc na pikantne schadzki.

Tym bardziej że w lokalu jest wydzielony parkiet do tańca, na którym ludzie nie tyle tańczą, co lepią się do siebie, i nie szczedzą wręcz sprośnych czułości.

Powiedzieć, że czuję się niezręcznie, to za mało. Zwłaszcza że William świdruje mnie spojrzeniem, w którym wychwytyuję oczywiste zainteresowanie seksualne.

Jakiego rodzaju pary się tutaj spotykają? Bo nie wydaje mi się, żeby było to miejsce właściwe na pierwszą randkę w klasycznym stylu...

– I tak będziesz lepsza ode mnie – odpowiada z uśmiechem. – Ja jestem facetem. Nie wiem, dlaczego moja siostra mnie w coś takiego wrobiła.

Skubię kawałek tartaletki z owocami, którą zamówiłam na deser. Will wybrał słodkość, której nazwy nawet nie powtórzę. Chyba do menu dodał ją jakiś kosmita, a Ziemianie zapomnieli dopisać tłumaczenie.

– Czy nigdy ci nie wspominała, co jej się marzy podczas takiego wieczoru? – zagajam.

Will wzrusza ramionami.

– Może, ale robiła to nazbyt subtelnie, żebym się zorientował. – Wsuwa do ust kęs swojego deseru. – Pamiętam coś o striptizerach.

Kawałek ciastka staje mi w gardle, a ja chichoczę sztucznie.

– Oczywiście, że tak. – Kiwam głową z miną eksperta od takich przyjęć, co jest zupełną ściemą.

– Oczywiście? – Will opiera brodę na rękę. – Więc rozbierający się mężczyźni to taki zwyczaj na waszych wieczorach panieńskich?

Może. W końcu to był stały motyw w wielu filmach, które widziałam.

– Nie wiem, nigdy na żadnym nie byłam, ale mogę się założyć, że wielu facetów funduje także przyszłemu panu młodemu taniec striptizerki.

Mój partner uśmiecha się z rozbawieniem i czymś jeszcze.

Czy on sądzi, że z nim flirtuję? Mam nadzieję, że nie.

– Punkt pierwszy: faceci w przezroczystych gaciach, co jeszcze? – Prostuje palec, odliczając.

– Mógłbyś podpytać jej koleżanki, jaki wieczór jej się marzy. Z nimi na pewno o tym rozmawiała – proponuję.

To wydaje się rozsądniejsze niż strzelanie w ciemno. Ja na przykład od rozbierających się facetów, tłumy i hałasu wolałabym babski wieczór w domu z popcornem i górą lodów.

– To świetny pomysł, dzięki. Punkt drugi: koleżanki. Babska muzyka, do tego sam doszedłem. I zapas dziwnego jedzenia.

Okej, przypuszczalnie bajeczny wieczór panieński. Czy skoro poznaliśmy największe niewiadome, możemy już zakończyć to spotkanie?

Jezu, Hope, opamiętaj się. Sama chciałaś tu być. Właśnie z tym mężczyzną. Więc czemu jesteś taka spięta i czujna jak surykatka spodziewająca się ataku?

– Znakomicie, podstawy już mamy. – Upijam łyk wina. – Przydałoby się teraz kilka niespodzianek... – Urywam, czując wibrowanie telefonu komórkowego w kieszeni.

Co za uparty typ.

Czekam, aż zaleje mnie irytacja. Powinam przecież wkurzać się tym, że ktoś nieustannie zakłóca mi randkę i psuje romantyczną atmosferę, ale... W powietrzu nie ma żadnej romantycznej atmosfery, jest za to dziwacznie ciężka woń tego marsjańskiego deseru Williama, od którego robi mi się niedobrze.

Chociaż wiem, że powinnam zignorować wiadomość, nie potrafię się powstrzymać i zerkam ukradkiem na ekran komórki.

Szef/Sąsiad/Dupek: Jestem pewien, że ta siostra nawet nie istnieje. Wymyślił to, żeby cię zmusić do kolacji.

Szef/Sąsiad/Dupek: Ja bym tak zrobił.

Czuję, jak wargi drgają mi w uśmiechu.

Ja: Przestań pisać, dupku.

Piszę, ale tylko dlatego, że wiem, że Jacob to zlekceważy.

I mam rację.

Szef/Sąsiad/Dupek: Nawet jeśli istnieje, to nie ma żadnego ślubu.

Szef/Sąsiad/Dupek: Nie słyszałem, żeby miał siostrę.

Ja: Nie musisz wiedzieć o nim wszystkiego. Nie spowiada ci się.

Szef/Sąsiad/Dupek: Chcesz, żebym cię stamtąd porwał?

Teraz już szczerzę się na całego.

Rety, chyba jestem nienormalna, skoro więcej ekscytacji wywołuje we mnie esemesowe droczenie się z moim szefem niż randka z facetem, za którym jeszcze nie tak dawno temu zamierzałam się uganiać.

– Jak ty chciałabyś zostać zaskoczona? – dobiega mnie głos Williama.

Mrugam rozkojarzona.

– Co?

– Na wieczorze panieńskim?

Przeszywam Williama podejrzliwym spojrzeniem.

Kurczę. Nie mogę tego dłużej robić. Zachowuję się okropnie.

– Tak. Jasne. – Niepostrzeżenie wsuwam telefon z powrotem do kieszeni. – Ja... jestem szczególnie przypadkiem. Nie wiem, czy kręciłoby to inne kobiety.

Mój towarzysz poprawia kołnierzyk granatowej koszuli w kratę. Ma na sobie dopasowane do niej ciemne dżinsy i lekko kręcone włosy zaczesane do tyłu. Nie ma się co

oszukiwać, prezentuje się świetnie. Pewna pani siedząca przy stoliku obok okazuje mu jawne zainteresowanie, a mimo to... wcale nie mam ochoty na więcej po tej randce.

Beznadziejnie. Zdaje się, że tylko Jacob działa na moje libido.

– Spróbujmy – namawia.

– Wystarczyłby mi skromny wypad z przyjaciółmi. Nieważne, czy do baru, kina, zoo, czy...

– Do zoo? – wtrąca, jakby się przesłyszał.

Odrywam kolejny kawałek tarty z owocami i zjadam powoli.

– Lubię zwierzęta – mruczę. – Wiele kobiet potrzebuje ekstremalnych wrażeń, ale ja nie chciałabym pływać z rekinami przed ślubem. Może opłać im masażystę. – Wpada mi do głowy.

William przekrzywia głowę i dalej sący swoje wino.

– Masażystę?

– Seksownego. – Wycieram usta serwetką.

– Koniecznie. – Uśmiecha się łobuzersko. – Posłuchaj, Hope... – Sięga przez stół i przykrywa dłonią moje palce.

Chyba jednak nie należało tego mówić. William zdecydowanie odbiera to jako próbę uwiedzenia go.

Zmuszam się do bezruchu.

– Tak?

– Ty i Parker to coś poważnego?

W tej chwili ogarnia mnie nieracjonalny niepokój, a coś w pobliżu mojego serca zawiązuje się w ciasny ciężki supeł.

Dzieje się tak dlatego, że rzucone pytanie zmusza mnie do konfrontacji z faktami.

– Ja... szczerze mówiąc, to nie mam pojęcia – kłamię.

Bo ja i Jacob to... Nic.

Jednak moja odpowiedź przypada do gustu Williamowi, który wciąż głaszcze moje palce.

– Jacob Parter to trudny przypadek. – Śmieje się.

– Bardzo trudny.

A do tego niedozwolony.

Nieosiągalny. Zakazany. Niezainteresowany.

Nie ma innej kobiety.

To nie jest tego warte i kiedyś sama się o tym przekonasz.

Niewarte. Już chyba nie mógł wyrazić się jaśniej.

Zapatruję się na tłum rozmawiających ze sobą gości. Wielu z nich trzyma się za ręce. Inni okazują sobie śmielsze czułości. Zwłaszcza pary na parkiecie. Całują się, przytulają, wirując w snopach ciemnoniebieskiego światła, które oświetla podłogę. Melodia odbija się od ścian przy akompaniamencie śmiechu klientów, a ja próbuję sobie wyobrazić, że wśród tych ludzi jesteśmy ja i William. A jednak nawet mój umysł się buntuje...

– Nie pasujesz do niego – odzywa się Miller, przyciągając ponownie moją uwagę.

Uśmiecham się, chociaż zdanie, które wypowiedział Will, wciąż brzęczy mi w uszach.

Nie pasuję. Wiem.

Żołądek kurczy mi się boleśnie.

– Tak dobrze go znasz? – dociekam, starając się nie ujawnić dopadającego mnie przygnębienia.

– Lepiej, niż myślisz, narzeczona nie zwiąła przed nim bez powodu. – Teraz uśmiecha się tak, jak gdyby uznawał jej niewierność za coś właściwego. Nieuniknionego.

Moje przygnębienie od razu przeistacza się w gniew.

– Fakt, zrobiła to, bo była głupią suką. – Wyrrywam rękę z jego uchwytu i upijam trochę wina.

W sumie trochę więcej niż trochę. Opróżniam kieliszek do ostatniej kropli.

– Ja... jeśli mogę ci coś poradzić... – ciągnie William niezrażony. – Nie angażuj się, on nie zaoferuje ci tego, czego pragniesz.

Już mam kazać mu się odpieprzyć, kiedy ktoś mnie wyprzedza.

– A jeśli ja mogę ci coś poradzić... – Jego głos przetacza się po pomieszczeniu niczym uderzenie pioruna. – Zabieraj od niej łapy, zanim cię znokautuję.

Zza moich pleców wyłania się z tłumy znana sylwetka, a ja zastanawiam się, czy mogłam upić się na tyle, żeby mieć urojenia.

– Jacob, co ty tutaj...

Moje urojenie przyciąga sobie wolne krzesło, które stało przysąsiednim stoliku, i opada na nie z gracją.

– Niespodzianka, kochanie – mruczy mi do ucha i przyciska usta do mojej skroni.

O rety! Lutnie i flety! Co ty w ogóle chrzanisz, Hope?

On naprawdę tutaj jest!

Serce obija mi się o żebra jak szalone, a ja zostaję zmieciona z powierzchni ziemi przez tajfun sprzecznych doznań.

– Faktycznie niespodzianka – przemawia William. – Chociaż właściwie spodziewałem się tego. – Nagle bije od niego coś szyderczego. I agresywnego.

Unosi się między nimi niemal namacalna wzajemna nienawiść.

Czy coś mi umyka?

Jacob olewa Williama i obejmuje mnie ramieniem.

– Skończyłaś już doradzać naszemu sąsiadowi w jego niecierpiącym zwłoki problemie? – pyta.

Co tu się dzieje, do cholery?

– Zwariowałaś? – szepczę, chociaż nie wiem po co, bo William i tak mnie słyszy.

Czarne oczy Jacoba zasnuwa jakaś mroczna mgła.

– Przeszkadzam wam? – mówi.

Ale pyta o to tylko mnie. A ja, mimo że powinnam urządzić mu kłótnię tysiąclecia za sabotowanie mojej randki, milczę.

– Tak – wtrąca znowu Miller.

Jacob zaczyna donośnie rechotać.

– Szybko poszło, co? – drwi.

Marszczę brwi i wbijam paznokcie w skórę ud.

– Słucham?

Jego palce zaciskają się szorstko na moim karku tuż pod włosami.

– Ledwo cię zaprosił, a ty już pozwalasz mu się obmacywać – syczy.

Cała się spinam.

– Nieprawda.

– Jak daleko zamierzałaś się posunąć? – nie odpuszcza. – Włożyłaś któryś z tych seksownych kompletów bielizny, który pomagałem ci wybrać?

Dobra, dość tego. Ktoś tu musi ochłonać.

– Idź do diabła. – Gromię go spojrzeniem, choć mam ochotę chwycić wiaderko w kostkami lodu, w którym przyniesiono nam butelkę wina, i wysypać mu je na jego wredny łeb.

Jacob przekręca się na krześle tak, że kolanami muska bok moich ud.

– Mam sobie iść? – pyta.

I wiem, że jeśli teraz przytaknę, odejdzie.

A ja nie chcę, żeby sobie stąd poszedł. Zwłaszcza że nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle się tu znalazł. Czy to dlatego, że nie mógł znieść, że jestem na randce z Williamem?

Zależy mu na mnie czy to wyłącznie samcze bójki o terytorium?

Wpatruję się w niego, starając się jakoś odkryć jego motywy, ale ten facet to łamigłówka nie do rozwikłania.

– Nie słyszałeś? – William z niezwykłą swobodą dolewa sobie alkoholu do kieliszka. – O co się tak wściekasz? Powinieneś już przywyknąć do bycia zdradzonym.

Aż podskakuję na krześle od uderzającej we mnie zniecierpliwionej złości.

– Nie mów tak o nim – ostrzegam podniesionym tonem.

William się krzywi.

– Bronisz go? Chyba właśnie zerwaliście.

Jacob wstaje, wybawiając mnie od przymusu rzucenia jakiejś bzdurnej odpowiedzi.

– Nie twój zasrany interes – syczy, a następnie splata palce z moimi. – Wychodzimy. – Zmusza mnie do podniesienia się z krzesła.

Nie żebym jakoś szczególnie protestowała. William i tak pewnie ma mnie za kolejną świruskę. I może nie myli się aż tak bardzo.

– Co to było, do cholery? – Prawie biegnę, kiedy Jacob stawia swoje wielkie kroki, wypadając z restauracji prosto w mrok nocy.

– Spontaniczny pokaz zaborczości – charczy, wciąż kierowany żądzą mordy.

Że co?

– W ogóle za tobą nie nadążam, ty świrze.

I nigdy wcześniej go takiego nie widziałam. Jest nie tylko wściekły. On skrywa coś więcej. I to mnie martwi...

– Przejdźmy się – proponuje nagle mój szef.

A raczej rozkazuje i robi to tak, że zmusiłby do tego nawet niedźwiedzia grizzly...

ROZDZIAŁ 17



JACOB

– Gdzie jesteśmy? – odzywa się Rudzielec, kiedy prowadzę ją za rękę przez las.

Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że jest pełna obaw, ale są one raczej wywołane tym, że w środku nocy gęstwina drzew i dochodzące zewsząd odgłosy tworzą wokół nas aurę godną horroru.

– Jeszcze kawałek – zachęcam, unosząc ogromny liść, by mogła pod nim swobodnie przejść. – Jest tu taka polana, na której lubię posiedzieć i pomyśleć. Często przyjeżdżam tu nocą.

Hope potyka się o konar i rzuca wiązanekę cichych przekleństw. Na szczęście zdążam otoczyć ją w pasie ramieniem i uchronić przed upadkiem, zanim zaryje nosem w ściółce leśnej.

– Kontemplujesz w przerwach od bycia wrednym kutasem? – ironizuje.

Jest na mnie wkurzona, ale nie winię jej, biorąc po uwagę scenę, jaką jej zafundowałem pół godziny temu. Prawda jest taka, że w ogóle nie myślałem. Zazdrość musiała wymordować wszystkie moje pieprzone szare komórki, skoro wparowałem do tej restauracji jak jaskiniowiec, gotowy uprowadzić Hope nawet wbrew jej woli.

A teraz jak mam z tego wybrnąć, nie wychodząc na desperata z obsesją na jej punkcie?

– Schowaj pazurki, już po wszystkim. – Uśmiecham się, wiedząc, że może to zobaczyć w świetle księżyca.

Hope prawie zderza się czołem z wystającą gałęzią i oczywiście to mnie się za to obrywa. Ale czy ja odpowiadam za to, że jest niezdara?

– Czyli po czym?

Wychodzimy spomiędzy drzew na łąkę, za którą ciągnie się niewielkie rozlewisko. Szum wody zagłusza prawie wszystkie dźwięki poza rytmicznym pohukiwaniem sowy, która siedzi na jakiejś gałęzi i mruga oczyskami.

– Dałem ci wolną rękę – stwierdzam z nonszalancją. – Teraz możesz powiedzieć kochasiowi, że mnie rzuciłaś, i skoczyć mu w ramiona bez wyrzutów sumienia.

Hope aż się wzdryga na moje słowa, a ja od razu żałuję, że je wypowiedziałem. Zwłaszcza dlatego, że to cholerne łągarstwo. Nie zrobiłem tego dla niej. Zrobiłem to dla siebie, bo świadomość, że... że ją tracę, skręcała mnie od środka. Ale co z tego? Dokąd mnie to zaprowadziło? Tkwię tu z rozsierdzonym Rudzielcem i znowu zderzam się ze ścianą. Zabrałem ją Williamowi. Tak.

Dziś, a co z jutrem? I kolejnymi dniami, kiedy będzie chciała jego, a nie mnie?

I co z twoją godnością i dumą, stary? Będziesz teraz błagał ją, żeby do niego nie wracała?

Nic z tego, do kurwy nędzy.

– Więc zrobiłeś to celowo? – W jej głosie słyszę nutę zranienia. – Kolejna runda udawania?

A czy nie tego chciała? W końcu wszystko między nami było tylko farsą na potrzeby uwiedzenia Idealnego Pana Williama.

– Dostałaś to, czego chciałaś – warczę. – Tak czy nie? – dodaję, kiedy milczy.

To przedstawienie się dzisiaj skończy. Tak czy inaczej. Nawet jeśli będzie to oznaczać, że stracę pretekst do przebywania z nią poza biurem.

Tak będzie lepiej. Nawet jeśli teraz doprowadza mnie to do szału. Nie ufam sobie już przy tej kobiecie.

Hope zaciska pięści.

– Pieprzysz bzdury. To nie był żaden pokaz – wytyka. – Naprawdę byłeś zazdrosny.

– Nawet jeśli, to co z tego? – odbijam pałeczkę. – Twój ruch. Powiedz księżuniowi z bajki, że jesteś wolna.

A potem zwiąż się z nim, wskocz mu do łóżka i twórzcie szczęśliwą rodzinę razem z jego gryzoniami i twoim kotem. Mam to w dupie.

Hope wzdycha. Przeczesuje ogniste loki palcami i zapatruje się na księżyc w pełni, który na ciemnym niebie wygląda jak gigantyczny diament, odbijający się hipnotyzująco w tafli wody. Sceneria z upiornej zmieniła się w romantyczną.

Po co ją w ogóle tutaj zabrałem? Teraz już zawsze będę wiązał to miejsce ze wspomnieniem naszego rozstania.

– O co się wściekasz? Nie zrobiłam nic złego. Tylko rozmawialiśmy i...

– Dokonałaś wyboru.

Niech to szlag.

Nie mogę na nią patrzeć, za bardzo mnie nosi i pokazują jej zbyt wiele emocji.

– Jakiego wyboru? Po pierwsze, nie zdradziłam cię, bo nie byłam twoją dziewczyną, a po drugie... – Urywa, z jej oczy zaczynają strzelać iskry. – Nigdy nie było żadnego wyboru, ty dupku.

Nie było, co? Bo nie brałaś mnie nawet pod uwagę. Przegrałem na starcie.

– Podoba ci się strumień?

Hope prychna na zmianę tematu i możliwe, że rozważa, czy nie kopnąć mnie w jaja. Tak wygląda.

I może nawet by mi się to przydało. Nareszcie by mnie otrzeźwiło.

– Serio? – Śmieje się. – Po co w ogóle mnie tu przywiozłeś?

Bo jestem pojebem, który najwyraźniej lubi przedłużać swoje cierpienie.

– Nie wiem. Naprawdę, kurwa, nie wiem. – Sięgam po jeden z kamieni leżący u moich stóp i wrzucam go do wody. – Wyobrażałem to sobie trochę inaczej.

Hope zbliża się o krok.

– Jak? – pyta o wiele łagodniej.

Delikatny podmuch wiatru sprawia, że owiewa mnie jej owocowy zapach. Wyperfumowała się tak, że pachnie jak cukierek malinowy.

Którego mam ochotę polizać.

Ciekawe, czy pozwoliła na to temu sukinsynowi?

Zmuszam się, by wbić w nią obojętne spojrzenie.

– Czy to ważne? – pytam.

Hope pociera twarz dłońmi, a później niespodziewanie zmniejsza dystans między nami i chwyta mnie za klapy marynarki.

– Jacob, czego ty chcesz?

Nie wiem, jak to robi, ale coś w jej głosie rozluźnia wszystkie więzy, które kazały mi bronić się przed nią i nigdy nie ujawnić, że jestem zdany na jej łaskę.

– Sądziłem, że usiądziemy przy ognisku nad wodą i porozmawiamy – mówię.

Rudzielec kiwa głową, a jej palce jeszcze mocniej wczepiają się w materiał mojego ubrania.

– Porozmawiajmy.

Ujmuję ją za chłodny policzek.

– Przepraszam, że zrujnowałem ci randkę – szepczę.

Hope przykrywa moją dłoń swoją.

– I tak była do dupy.

Co takiego?

Wszystko we mnie nagle się ożywia, naładowane nowym zastrzykiem nadziei.

– Była?

– Nie waż się uśmiechać. Jestem na ciebie wściekła.

Nawet nie wiedziałem, że się uśmiecham, ale faktycznie szczerzę się na całego.

– Dlaczego randka była do dupy? – nalegam.

Ognistowłosa wróżka przygryza zębami dolną wargę i zapatruje się w mrok.

Nagle staje się nieśmiała.

– Bo to nie ty mnie na nią zaprosiłeś.

Czy ona właśnie...?

W jednej chwili czuję się tak, jak gdyby uderzyła we mnie rozpędzona ciężarówka.

Hope właśnie mnie znokautowała. Ośmioma słowami.

Rudzielec wpatruje się we mnie wielkimi zielonymi oczami wypełnionymi po brzegi bezbronnością i dopiero kiedy jej paznokcie wrzynają mi się boleśnie w skórę, budzę się z transu i uzmysławiam, że milczę jak kretyn, tylko ją bardziej denerwując.

– A czy pozwolisz mi teraz naprawić ten błąd? – pytam.

Błyskawicznie uśmiecha się i relaksuje.

– Jak sobie wyobrażałeś ten wieczór po uprowadzeniu mnie z kolacji z Williamem?

Pochylam się ku niej i opieram czoło o jej czoło.

– Wyobrażałem sobie, że przez kilka minut będziesz na mnie wrzeszczeć – zaczynam.

Jej uśmiezek się rozszerza, a w tęczęwkach pojawiają się zaczepne ogniki.

Wygląda zjawiskowo. Niczym nimfa, która właśnie wyszła z lasu w długiej ciemnoczerwonej sukni wirującej na wietrze. Tylko po to, by zdobyć kolejną częśćkę mnie.

By rzucić na mnie kolejne zaklęcie.

– A potem co?

– A potem powiesz, że randka była do dupy, bo to nie ja cię na nią zaprosiłem.

Teraz już Hope śmieje się w głos.

– A później?

Przesuwam rękę z jej policzka na szyję. Dotykam kciukiem jej gardła, gdy przetyka ślinę, i odnajduję miejsce, które pozwala mi poczuć jej puls.

– Pocałujesz mnie – oznajmiam cicho.

Hope wstrzymuje oddech, a później wypuszcza go powoli, sprawiając, że fala ciepła smaga moje wargi.

Obezwładnia mnie nowy rodzaj pragnienia. Ten, który starałem się do tej pory stłumić. Trzymać na uwięzi. Gorączkowa, prymitywna żądza zapala się pod moją skórą, kiedy jej usta powoli, delikatnie ocierają się o moje. Ten pocałunek jest jej pocałunkiem dla mnie, więc zmuszam się, żeby nie przejmować nad nim władzy i pozwolić jej dać mi to, czego chce. Pokazać jej uczucia. Nasze języki splatają się ze sobą w długich powolnych liźnięciach. Czułych.

– Tak? – dyszy.

Tak, stanowczo tak, jednak to jedynie podsycza żarłoczne pragnienie w moim wnętrzu.

– Więcej niż raz – dodaję. – O wiele więcej niż raz.

– Tak jest, szefie.

Jednak teraz to ja ją wyprzedzam i zanim zdąży wspiąć się na palce, by nasze usta się zetknęły, robię to pierwszy. Przygarniam ją do siebie tak, by jej ciało przywierało do mojego, bym mógł zagarnąć dla siebie każdą najdrobniejszą reakcję Hope na moje pieszczoty, i całuję ją.

Jednak ten pocałunek jest przeciwieństwem poprzedniego, jest surowy, bezlitosny, prawie karzący. Jest karą za to, że kazała mi tak długo na siebie czekać. W jej gardle wzbiera rozkoszny jęk i wibruje na moich ustach. Jej dłonie zaczepiają się na moim karku lekko rozdygotane, a ja pogłębiam pocałunek. Mam ochotę ją pochłonąć, zajadać całą kęs po kęsie. Pieścić ją, aż zacznie krzyczeć. Napieram na nią biodrami, żeby wiedziała, co mi robi. Jestem tak kurewsko napalony, że nie wiem, jakim cudem udaje mi się powstrzymać przed pchnięciem na trawę i zanurkowaniem głęboko w niej już teraz. Tutaj.

W końcu jednak Hope naciska na mnie, zmuszając mnie, żebym się odsunął. Zieje zarumieniona, a jej oczy wciąż są nie do końca przytomne.

Sprawia mi to prymitywną radość. Chcę, żeby tak właśnie reagowała za każdym razem, gdy jej dotknę.

– Masz rację. Celowo rozpieprzyłem ci tę randkę i wcale nie po to, żeby dać ci pretekst do zerwania ze mną przed tym sukinsynem – przemawiam, uznając, że skoro ona zaryzykowała i odsłoniła się przede mną, powinienem odwdzińczyć się jej tym samym. –

Nie mogłem znieść, że z nim jesteś. Bo powinnaś być ze mną. Wiesz o tym? – dopytuję, owijając sobie jej potargane włosy wokół dłoni.

– Tak, wiem. – Uśmiecha się, wtulając policzek w moją klatkę piersiową. – Dlaczego nie zaprosiłeś mnie na randkę, skoro tego chciałeś?

– Bo... mówiłaś, że czujesz coś do niego – zaczynam niechętnie. – A ja wybrałem bycie tchórzem.

Spogląda na mnie spod rzęs. Liście poruszane wiatrem rzucają cień na jej skórę. Obrysowuję ich kształty kciukiem.

– Więc... co to jest?

– To?

– My?

– Nie wiem... – Pochylam się i przygryzam zębami jej dolną wargę. – Okaże się z czasem.

– A co z twoim postanowieniem, żeby unikać związków i miłości?

Pytanie w samo sedno, dupku. Więc jednak pakujesz się w to znowu, chociaż przysięgałeś, że tego nie zrobisz?

Kręcę głową.

– Zapomnijmy o tym dzisiaj – proszę i przysuwam się, żeby znowu ją pocałować.

Rudzielec się cofa.

– Nie. – Ma zdeterminowaną minę i wiem, że to nie wróży nic dobrego.

Kiedy wyplątuje się z moich objęć, a ja nie czuję jej przy sobie, mam ochotę natychmiast ponownie ją złapać. Już wiem, jak czuję się gepard na łowach.

– Hope? – Wyciągam do niej rękę.

– Nie zaprosiłeś mnie na randkę, bo nie chciałeś, żeby zrobiło się poważnie?

Cholera.

– To nie jest...

– Chcesz unikać nazywania tego związkiem i zostać przy seksie bez uczuć, prawda? – ciągnie. – Wolałbyś to niż... całą resztę, a ja... Poszłam na randkę z Williamem, bo wiedziałam, że ty mi tego nie dasz.

Samo imię tego kutasa w jej ustach zajebiście mnie drażni.

Hope nie ma racji. Ani trochę. Mogę dać jej więcej, niż ten pieprzony Miller da jej kiedykolwiek. Mogę dać jej wszystko.

Wolałbyś to niż... całą resztę...

I jednocześnie ma rację. Rozwiązanie bez zobowiązań byłoby o wiele prostsze i bezpieczniejsze, ale jakoś... Każdy nerw w moim ciele nie godzi się na to, by wziąć tylko

tyle od Hope. By się na tym zatrzymać. A jeśli chcę od niej więcej, niż sam daję, to... Nie zasługuję na nią.

– Co mam zrobić? – pytam.

Rudzielec tym razem wkłada dłoń w moją.

– Dokładnie to, od czego chcesz uciec. – Przyciska usta do mojego ucha. – Włóż dłoń w pułapkę myśliwego. Jeszcze raz.

Krzywię się.

– Kurwa mać, tylko nie to.

Hope uśmiecha się uroczo.

– Poradzimy sobie.

Nie jestem tego taki pewien. Przecież ręce mam dwie, a serce tylko jedno.

Ale potem Rudzielec znowu mnie całuje. Jej smak zostaje na moim podniebieniu, osiada na ustach i odurza jak ćpuna.

I wiem, że to właśnie zamierzam zrobić. Znowu wejść w sidła.

ROZDZIAŁ 18



HOPE

Jakie hasło najlepiej zareklamuje szminkę?

Mam przed sobą otwarty plik z piętnastoma propozycjami i żadna mi się nie podoba. Według ostatnich naszych badań rynku i analiz wynika, że szminka to dla kobiet głównie narzędzie uwodzenia. Uwodzicielska szminka.

Otwieram pocztę i piszę nową wiadomość do mojego szefa.

Dzień dobry,

hasła reklamowe do nowej szminki są do kitu.

Z naszych ankiet wynika, że większości kobiet zależy, by szminka kusiała... Was, facetów.

Z poważaniem

H.V.

Po kilku sekundach na mojej skrzynce pojawia się odpowiedź.

Panno Vitteli,

nie ma Pani pojęcia, jak się do tego zabrać, bo nie umie być uwodzicielska?

Z poważaniem

J.P.

Aż prychnam pod nosem ze złości i odpisuję.

Panie Parker,

zapewniam Pana, że wiem, jak skusić mężczyznę, i wcale nie potrzebuję do tego szminki. Jeśli ma Pan jakieś wątpliwości, mogę wyjaśnić je tylko tym, że najwyraźniej stanowił Pan dla mnie zbyt małe wyzwanie, bym chciała go uwieść.

Z poważaniem

H.V.

Droga Panno Vitteli,

założymy się? :)

Z poważaniem

J.P.

Założyliśmy się. I dlatego kilka godzin po skończonej pracy jestem tu, gdzie jestem.

Wszystko przez tę pieprzoną minkę. Jak gdyby nie mógł sobie darować. Doprowadził mnie do szału!

– Gdzie ty mnie prowadzisz? – zrzędzi Jacob, kiedy przeprowadzam go przez zaciemniony korytarz. – Nie skarżę się, ale to nie wygląda mi na miejsce dla małych grzecznych wróżek zębuszek.

Mam ochotę na niego warknąć. Jak pies z wścieklizną. Dosłownie.

Biorąc pod uwagę to, że nikt nie drażni mnie tak ten facet, naprawdę nie wiem, jak to możliwe, że no... zaczęłam się z nim umawiać. Średnio piętnaście razy na dobę mam ochotę go udusić tym jego krawatem albo katapultować w kosmos.

A jednak jest moim... eee chłopakiem? To określenie brzmi koślawo i głupio, kiedy twój facet wygląda jak skrzyżowanie bandziora ze średniowiecznym królem.

– A dla kogo jest to miejsce? – pytam niby przymilnie.

– Dla nieprzyzwoitych, lubiących zbereżne zabawy rozpustnic.

– A ty nie wierzysz, że mogłabym być jedną z nich, co?

Już ja mu pokażę małą grzeczną wróżkę zębuszkę. Zemszczę się i udowodnię, że wcale mnie tak dobrze nie zna. Nie jestem nudziarą, do diabła!

Jacob szczypie mnie w bok, drocząc się, i uśmiecha kącikiem ust.

– Nieszczególnie.

Przechodzimy do wielkiej sali, w której panuje jeszcze większy półmrok. Ściany drżą od głośnej muzyki, a miliardy lampeczek przytwierdzonych do sufitu świecą kolorowym blaskiem.

Oto jaskinia rozpusty.

– Cóż, zobaczymy. – Zasiadam za stolikiem w najdalszym kącie pomieszczenia. – Poprosimy butelkę tequili. – Zagaduję przechodzącą obok kelnerkę. Dziewczyna kiwa głową z uśmiechem i zbiera kolejne zamówienia.

Jacob także opada na kanapie obitej czarnym materiałem, którą zajęłam.

Nie wybrał miejsca naprzeciwko mnie. Ciekawe.

Czy już działa na niego nieprzyzwoity czar tego miejsca?

– Tequila? Wiesz, jak ją pić, dziewczynko? – Bawi się w najlepsze.

No dobra, Hope, czas start. Bądź grzechem, na który się skusi.

Bez ostrzeżenia przesuвам się bliżej i w końcu wpełzam mu na kolana. Jacob wydaje się odrobinę zaskoczony, ale jego samcza natura natychmiast się ujawnia, a on otacza mnie ramieniem i przyciska moje pośladki do swojego krocza.

– Wygodnie ci? – mruczę najbardziej zalotnym tonem, na jaki mnie stać.

– Jeśli zostaniesz tutaj – odpowiada, a jego palce już znikają pod krawędzią mojej bluzeczki.

Ubrałam się na ten wieczór zgodnie z zaplanowaną wcześniej strategią. Czyli tak jak zwykle. W długą do ziemi spódnicę w kwiaty i całkowicie niewinną, zwiewną koszulkę.

Jacob Parker nie podejrzewa, że za chwilę wpadnie w zasadzkę.

Gładzę jego okoloną kilkudniowym zarostem szczękę i spoglądam w kierunku sceny. Właśnie występują na niej trzy tancerki. I z całą pewnością nie tańczą *Jeziora Łabędziego*. Wszystkie kobiety wyginają się i prężą przy rurach skrzących się w świetle reflektorów. Ich ciała wiją się niemal erotycznie w rytm muzyki płynącej z głośników, a ich stroje prowokują męską część widowni do wiwatów, pokrzykiwań i gwizdów.

– Podobają ci się? – Unoszę brew, wpatrując się w twarz Jacoba.

On jedynie się uśmiecha i szczypie mnie zębami w podbródek.

– Nie odpowiem na to pytanie, nie chcę, żebyś zadźgała mnie swoją spinką w kształcie szpikulca. – Zawadza o nią palcem, ale daję mu po łapach, zanim zdąży zniszczyć moją fryzurę.

Nic z tego. Na razie.

Jedna z tancerek ubrana wyłącznie w kilka misternie poskręcanych sznurków i prześwitującą miejscami mini posyła publiczności całusa i zsuwa prowokująco jeden z węzłów swojego skąpego wdzianka. Faceci klaszczą jak tresowane foki. Bije od nich żądza.

Unoszę brew jeszcze wyżej, obserwując Jacoba, a on parodiuje mój gest, a następnie wsuwa palce między wargi i też pogwizduje z zachwytem.

Nabija się ze mnie.

Do naszego stolika wraca kelnerka z butelką alkoholu.

– Życzą sobie państwo coś jeszcze? – Stawia na blacie także talerzyk z pokrojonymi limonkami i pojemniczek z solą.

– Nie, dziękujemy. – Rozlewam tequilę do kieliszków i podaję jeden Jacobowi. – Spróbuj.

Mój szef upija alkohol jednym łykiem, a następnie wgryza się w ćwiartkę limonki, którą mu podaję.

– Smaczna. – Ssie owoc, a później to samo robi z opuszkami moich palców. – Ale ty może jednak troszeczkę zwolnij – dodaje, kiedy zauważa, że ja mam za sobą już dwa szoty ognistego trunku.

Pochylam się i przemykam końcówką języka po jego wargach, zlizując resztki soku. Czuję, jak mięśnie Jacoba na zmianę napinają i rozluźniają się pod ubraniem.

– Czemu? Przecież chciałeś, żebym pozbyła się hamulców. – Odsuwam się i tym razem pociągam łyk prosto z butelki.

Dupek posyła mi karcące spojrzenie.

– Nie musi się to wiązać z zalaniem się na śmierć. Jestem pewien, że nie pijasz często. – Próbuje odebrać mi tequilę, ale mu na to nie pozwalam. – Ostrzegam cię, będziesz chorować.

Rany, naprawdę traktuje mnie jak dziecko.

– Twoja kolej. – Sięgam po jego kieliszek i ponownie go napełniam. – Więc myślisz, że nie umiem być uwodzicielska? – zaczynam.

Jacob pozwala mi napić się szotem tequili i nakarmić limonką.

I zlizać krople ostro kwaśnego smaku z jego ust. Chyba podoba mu się ten rytuał.

– To stąd ten dziwny spontaniczny wypad? – Przeszywa mnie wzrokiem. – Bo droczyłem się z tobą w mailach?

Popycham go na oparcie kanapy i krzyżuję ramiona na piersi.

– Myślisz, że mam obsesję na punkcie małżeństwa, miłości, romantycznych powieści – burczę. – I że nie jestem dziką kotką jak one. – Wskazuję palcem na scenę. Dziewczyny dalej tańczą swój seksowny taniec, a z sufitu sypie się na nich srebrzysty puch. Lepi się do ich ciał niczym brokat.

No tak, o tym też coś mówili.

W myślach odliczam minuty, które mi zostały, a stres wżera się we mnie jak kwas, sprawiając, że mam ochotę się podrapać.

Jacob łapie mnie za mój wciąż wystawiony w powietrzu palec, a następnie cmoka szybko w usta. Później w policzek i niżej w obojczyk.

– Lubię cię taką, jaka jesteś.

O ludzie. Poważnie?

Kiedy taki tekst rzucił Mark Darcy do Bridget Jones w jednej z moich ulubionych komedii romantycznych, wydawało się to rozczulające, ale kiedy mówi to mój facet...

– Taką, jaka jestem? – powtarzam. – Jezu, brzmi to tak, jakbyś się nade mną litował. – Zrozpaczona upijam kolejny łyk tequili.

– Oddaj mi tę butelkę – nakazuje władczyim głosem.

Przytulam butelkę jak najlepszego kumpla.

– Nie, potrzebuję tego.

– Dlaczego?

– Bo zamierzam zatańczyć na scenie.

O ile wystarczy mi odwagi.

Jacob zaczyna rzeć.

– Żartujesz? – Prawie płacze ze śmiechu, kutas jeden.

Na pewno wystarczy mi odwagi!

– Myślisz, że mnie na to nie stać? – Odstawiam butelkę z głośnym trzaskiem na stół. – Że nie mogłabym się z nimi równać? Przyjęłam wyzwanie.

Jacob robi, co może, żeby przestać się śmiać, ale jego wysiłki nie przynoszą żadnego rezultatu i tylko potęgują mój gniew.

Zatykam mu usta dłonią, a on tylko przesuwając ręce po moich plecach.

– Daj spokój – mamrocze niewyraźnie między moimi palcami.

Nie wierzy mi. Uważa, że po prostu wymagam ugłaskania.

Nie ma mowy.

– Jedna z tych tancerek to moja znajoma – wyznaję. – A ta wolna rura jest dla mnie.

Faktycznie czwarta rura na scenie jest wolna.

Jacob w końcu robi się poważny. Wręcz czujny.

– Chyba nie mówisz poważnie.

Uśmiecham się zadziornie i mrugam do niego.

– Siedź sobie tutaj wygodnie i oglądaj. – Zrywam się z jego kolan.

– Dokąd idziesz? – krzyczy za mną. – Dokąd idziesz, ty wariatko?

Biegnę w stronę sceny, nie dając sobie czasu na zastanowienie. Wiem, że jeśli się zatrzymam, to stchórzę. Posyłam tęskne spojrzenie butelce tequili. Kusi mnie, żeby znieczulić się jeszcze bardziej, ale wątpię, żebym narąbana była zdolna kogoś uwieść. Kiedy wspinam się po schodach na parkiet, natychmiast podchodzi do mnie moja

znajoma Blanca i ściska mnie z uśmiechem. Ona jest w swoim żywiole, kocha skupiać uwagę innych, być obiektem ich westchnień, ale ja... niekoniecznie.

Dawaj, Hope. To tylko jeden występ.

Szarpię za węzeł przy mojej spódnicy, a później pozwalam jej opaść. Zostaję wyłącznie w zbereźnym wdzianku z czarnej koronki wyciętym na plecach, pod piersiami i na podbrzuszu. Dopasowanym do strojów innych tancerek.

– Dobry wieczór. Jak się bawicie? – przemawia Blanca, a później podtyka mi mikrofon pod nos.

– Za chwilę będziecie bawić się jeszcze lepiej – krzyczę, udając, że wcale nie mam mdłości i rozpuszczam włosy. Robię nimi zalotny zamach, a rude loki opadają kaskadą na mój kręgosłup.

Numer, do którego wywijają dziewczyny, właśnie się kończy. Następuje zmiana piosenki. Kobięcy głos śpiewa o kochaniu i zabijaniu. Niepokojący zestaw, ale widać totalnie jara skandujących klientów. Głównie tych rodzaju męskiego.

Wśluchuję się w takty rozbrzmiewającej melodii i pozwalam jej się porwać. Oplatom palcami chłodny metal rury i zaczynam tańczyć, uważnie wpatrując się w pewnego elegancika rozpartego na jednej z kanap.

Po jego twarzy przemyka szok, kiedy orientuje się, że doskonale znam układ taneczny reszty kobiet na scenie, a nasze ruchy są idealnie zsynchronizowane. Równie prowokujące, wabiące, elektryzujące.

Uśmiecham się do Jacoba i wykonuję obrót. Później podobnie jak reszta dziewczyn owijam udo wokół rury i osuwam się po nim, kręcąc biodrami.

– Ja pierdołę. – Nie słyszę słów padających z ust Jacoba, ale mogę się ich domyślić.

Jeden zero, panie Parker.

Poruszam biodrami w swawolnych erotycznych ruchach. Moje ciało reaguje na każdą rozbrzmiewającą nutę, każdy najmniejszy takt. Kiedy melodia staje się szybsza, także moje ruchy przybierają na śmiałości. Odrzucam włosy na plecy i opieram je o zimny metal, wyginając się w łuk, a następnie przyklękam i znów wprawiam biodra w ruch. Wiję się, raz dotykając brzuchem podłogi, raz układając kręgosłup do kociego grzbietu. Nie muszę się domyślać, jak wygląda ten ruch z perspektywy obserwatora.

Jakbym się, kurde, dymała na parkiecie z powietrzem.

Przesuwam się w przód, a później podrywam i wskakuję na jeden z postawionych w pierwszym rzędzie stolików w tej samej sekundzie co moje trzy towarzyszki.

Dzięki ci, świecie. Nie zepsułam tego i nie wywróciłam się, lądując twarzą w czyimś talerzu z jedzeniem.

– Seksowne jak cholera – chrypi mężczyzna zasiadający za stołem, na którym wykonuję kilka kolejnych ruchów. Wywijam piruet i pochylam się, zarazem pozwalając opaść jednemu z ramiączek mojego stroju. Facet się wierci. Widać po jego zamglonych oczach, że jest nawalony i ma erekcję.

Kurde, muszę stąd spadać.

– Zostań na moim stole – woła ten sam gość, kiedy przeskakuję na kolejny blat. – Zapłacę każdą cenę.

Oglądam się na niego i posyłam mu lekki uśmiech. Nie mam ochoty bardziej go nakręcać, ale obiecałam Blance, że nie zrobię nic, co skłoniłoby klientów do zrezygnowania z kolejnej wizyty w tym barze.

– Nie tym razem – świergoczę i skupiam spojrzenie na kolejnych osobach. Tym razem są nimi trzej mężczyźni okrążający stół. Jeden z nich upija kieliszek wódki i sprawia wrażenie gotowego wskoczyć na blat, by znaleźć się obok mnie. Kiedy jego palce dotykają mojej kostki tuż nad szpilką, prawie się krzywię. Zerkam na Jacoba, a jego rozpalony wzrok już nie jest przyklejony do mnie.

Nie, teraz wwierca się w palce tego gościa głaszczące moją kostkę. Spowija go mroczna aura z domieszką czegoś groźnego i wiem, że muszę do niego iść, zanim on przyjdzie do mnie. A raczej do tego faceta i zmieni mu układ szczęki.

Okręcam się ponownie i przeskakuję na stolik, o który opiera się pan Parker.

– Cześć, szefie – witam się, udając nieśmiałą.

Jacob rozpina górne guziki swojej koszuli i szarpie za jej kołnierzyk.

Widać, że nie jest do końca zdecydowany, czy ma trzymać pożądanie i rączki na wodzy, czy raczej może pozwolić mu eksplodować i porwać mnie z tego blatu prosto na swoje kolana.

– Ożeż kurwa – sapie i tym razem to on upija łyk tequili z butelki.

Chichoczę usatysfakcjonowana, że z mojego powodu stracił grunt pod nogami.

Teraz to ja dowodzę. Ja rozdaję karty, kochanie.

– Podoba ci się? – prowokuję go, nie przestając kołysać biodrami na boki.

– Jak to zrobiłaś? Skąd... – Odchrząkuje i uderza się pięścią w tors. – Skąd znasz układ? Osuwam się na klęczki i zakradam się ku niemu jak kotka.

– Mówiłam już, tańczy tu moja koleżanka.

Jacob uśmiecha się i nie czeka dłużej. Owija ramię wokół mnie i sadza sobie na kolanach.

– Jesteś kompletnie szalona – szepcze między pocałunkami, które mi skrada raz po raz. A każdy następny jest coraz dłuższy, coraz bardziej namiętny i niecierpliwy.

– Mmm, co to? – Wiercę się na jego udach, celowo ocierając o jego erekcję.

Jego oczy żarzą się w przyciemnionym świetle. Przesuwa usta na moją szyję.

– Wielki problem – mruczy, a jego język kreśli wzory na wrażliwej skórze mojego gardła.

Łał, ale się podniecił. Jego dłonie dotykają każdego odsłoniętego skrawka mojego ciała. Badają każde najmniejsze wycięcie w koronkowym kostiumie. Wiem, że najchętniej by go ze mnie zdarł, ale najpierw musiałby wyłupać oczy wszystkim facetom, bo inaczej ześwirowałby z zazdrości.

– Faktycznie spory. – Śmieję się, wsuwając palce pod jego rozpiętą koszulę. – Istnieje tu pewna zasada: nie wolno dotykać tancerek.

– Spróbuj mi zabronić.

O, ho, ho. Spokojnie. Musimy wcisnąć hamulec, zanim Jacob całkowicie spuści rozbudzoną w nim bestię ze smyczy.

Przesuwam nosem po jego szczęce i ssę płatek ucha.

– Nie jestem pewna, czy zasłużyłeś sobie na specjalne przywileje.

– Hope... – Po jego twarzy przemyka coś na kształt udręki.

Biedaczek cierpi. Przeżywa katusze.

– Czy jesteś już uwiedziony? – pytam tuż przy jego wargach.

– Całkowicie – potakuje. – Jestem na twoje rozkazy.

Na moje rozkazy.

Moje serce się rozplywa, a potem wywija podwójne salto. Pławię się w radości, a zarazem czuję się tak, jakbym rzucała się w przepaść.

Może i on jest na moje rozkazy, ale to ja należę do niego. I chciałabym tylko, by on chciał być mój, ale raczej kiepski byłby z tego rozkaz.

– Wiesz co? – zaczynam swawolnie. – Lubię się o ciebie ocierać. To bardzo przyjemne.

– Na dowód poruszam biodrami w rytm muzyki.

Jacob łapie mnie w pasie i unieruchamia.

– Za chwilę mnie zabijesz. – Jego palce wbijają mi się w żebra tak mocno, że chyba zostawi mi siniaki.

Chichoczę prosto w jego wargi.

– Jesteś blisko?

Z krtani Jacoba wydostaje się chrapliwy jęk.

– Kurewsko, kochanie.

Okej, czyli pora na rundę drugą, skarbie.

– Zaraz wrócę. – Uciekam z jego objęć, zanim zdąży choćby drgnąć.

ROZDZIAŁ 19



JACOB

– Wracaj tu, czarownico, dobrze ci radzę – warczę, jakby przemawiał przeze mnie jakiś dziki zwierz. – Musisz zająć się moją różdżką. Pilnie.

To jej wina, to ona mi to zrobiła. A teraz wniebowzięta znowu wskakuje na stolik jakiegoś pijanego od alkoholu i żądry faceta.

Zaciskam pięści na podłokietniku kanapy i obserwuję jej taniec spod zmrużonych powiek.

Wszyscy na nią patrzą, wszyscy.

Facet przy pierwszym stoliku, na którym kręci biodrami i wywija tymi diabelnie apetycznymi pośladkami, zamiera w bezruchu jak jakiś pierdolony posąg i już tak zostaje, dopóki Hope nie czmycha na kolejny blat.

Zahipnotyzowała sukinkota. I jego fujarę na pewno też.

Dwóch wyglądających na wielbicieli rocka typków reaguje mniej więcej podobnie. Rozdziawiają usta, jeden dławi się drinkiem, którego właśnie piła, a drugi wylewa zawartość swojej szklanki na własną koszulę.

Nie do wiary, że ten nieśmiały Rudzielec funduje mi takie piekło. Już bym wolał, żeby mnie wychłostali, niż przyglądać się, jak wywołuje wzwód u kilkudziesięciu mężczyzn w barze.

I jeszcze ten przeklęty strój. Żywcem wzięty z najbrudniejszych męskich fantazji.

– Przykro mi, ale dziś nie tańczę tylko dla ciebie – odpowiada i znów robi ten zamach włosami. Jej dłonie leciutko muskają własne biodra i przesuwają się na brzuch w kokieterijnym geście.

Jest wspaniała. I prosi się o lanie.

– Ile bierzesz za prywatny taniec, słonko? – zagaja ten obłany alkoholem.

Furia i zazdrość sięga zenitu, a w moim wnętrzu rodzi się jakaś bestia bez konkretnej formy, bez kształtu, ale gotowa wbić kły w tętnicę każdego gościa, który będzie na tyle

głupi, żeby tknąć moją kobietę.

– Hope, nie prowokuj mnie – ostrzegam.

Rudzielec chichocze i się obraca. Wciąż porusza się tak, jak gdyby ona i melodia stanowiły jedność. I aż ocieka przy tym zmysłowością i seksem.

– Dziś nie mam czasu, kowboju – odpowiada i przechodzi na kolejny stolik.

Nie, kurwa mać, nie.

– Pozwól, że cię poczęstuję – proponuje jej kolejny dupek, podsuwając do ust swój kieliszek.

A ona upija mały nęcący łyczek.

Za chwilę większość sukinsynów w tym barze wyda na siebie wyrok śmierci. A ja dostanę dożywocie.

– Hope, wystarczy.

I tak masz już poważne kłopoty, skarbie.

Hope uśmiecha się wyzywająco.

– Jestem wystarczająco uwodzicielska, dupku?

Poważnie? Nawet gdybym wsadził teraz fiuta w śniegową zaspę i tak płonąłbym z pożądania.

– Wywołałaś erekcję u całej męskiej widowni. – Nalewam sobie kolejną porcję tequili do kieliszka, bo zasycha mi w gardle. – Jesteś o wiele za bardzo uwodzicielska. Wracaj do mnie natychmiast – rozkazuję.

Rudzielec łapie się pod boki i tupie o drewniany blat tym swoim zajebicie podniecającym butem na wysokim obcasie. Moja wyobraźnia natychmiast tworzy kolejną wyuzdaną wizję z Hope i tymi butami. Tylko nimi. Oplecionymi wokół mojego pasa, kiedy zanurzam się w niej głęboko, a później zarzuconymi na moje barki, kiedy doprowadzam ją na skraj ekstazy za pomocą ust i języka.

– Zmuś mnie – mówi głośno. – Jeśli potrafisz.

Dopiero cichy trzask uświadamia mi, że właśnie zmiażdżyłem kieliszek w dłoni. Rozprostowuję palce i wyjmuję potrzaskane szkło z rozciętej skóry. Nie czuję nawet ukłucia bólu. Buzuje we mnie zbyt wiele adrenaliny. A stężenie testosteronu w mojej krwi także zdaje się przekraczać normę.

– Jeśli potrafię? – powtarzam. – Uwierz mi, skarbie, potrafię. – Podnoszę się z miejsca i idę w jej kierunku.

– Bierz ją, stary – drze się ktoś z tłumu.

Uśmiecham się.

Bo to właśnie zamierzam zrobić. I nie przeszkodzi mi w tym nawet pieprzona inwazja kosmitów, zombie czy yeti.

Żadne tornado, tsunami czy inny kataklizm.

Zatrzymuję się przy stole, na którym czeka Hope. Już nie tańczy. Tylko uważnie mnie obserwuje. Wciąż w tej samej odważnej pozie, ale jej szmaragdowe oczy zdradzają kiełkującą w niej niepewność.

I bardzo dobrze. Bo jeśli doprowadza się mężczyznę takiego jak ja do granic poczytalności, trzeba się liczyć z konsekwencjami.

Nic nie mówię, po prostu owijam ramię wokół jej kolan i przerzucam ją sobie przez ramię, a całe zgromadzenie zaczyna znowu dopingująco pohukiwać.

Nie obchodzi mnie to. Liczy się jedynie, że każdy z tych dupków dowiedział się, że ta kobieta jest moja.

Hope krzyczy i się śmieje. A później drogę zagradza mi jakiś facet na sterydach.

– Jakiś problem? Kolega nie jest nazbyt przyjacielski? – zwraca się do Hope, a ja, widząc jego strój, domyślam się, że jest z ochrony.

Rudzielec kręci głową.

– Dzięki, Tom. To tylko mój zazdrosny chłopak jaskiniowiec – chichocze.

Zaraz nie będzie ci do śmiechu.

Obok przechodzi dziewczyna z mikrofonem, więc odbieram go jej bez zastanowienia.

– Do kogo należysz? – pytam, a mój głos odbija się echem od ścian.

– Do ciebie – odkrzykuje.

Klepię ją w pośladek, na co wciąga haust powietrza i zapewne sztyletuje mnie wzrokiem. Ochroniarz wycofuje się z powrotem w kąt pomieszczenia i dołącza do kolegów, a ja zasiadam znów na kanapie i umieszczam Hope na swoich kolanach.

Ona natychmiast zarzuca mi dłonie na kark i całuje, zanim sam zdołam to zrobić. Jej język pieści mój, ociera się o niego, jak gdyby jeszcze bardziej zachęcała mnie do wypieprzenia jej jak najszybciej.

No tak, najlepszą obroną jest atak.

– Czy ty masz pojęcie, co mi robisz? – Zasysam jej wargę między zęby i przygryzam. – Co mogłabyś ze mną zrobić?

– Pragniesz mnie teraz? – szepcze. – Tutaj?

Bardziej niż kolejnego oddechu. Pasja parzy mnie od wewnątrz. A ja jestem całkowicie skołowany. Otumaniony.

Zamroczone nią. Jej zapachem, jej dotykiem, jej spojrzeniem.

Moje palce wsuwają się pod koronkę jej stroju.

– Na tym stole – mruczę, wiodąc ustami po boku jej szyi. – I na tej scenie. Głęboko, mocno, ostro.

– Lubię cię takiego prymitywnego i oszalałego. – Zaciska palce na moich bicepsach. – Dla mnie. – Wierci się, a jej łechtaczka napiera na mojego kutasa. Przemyka po nim raz, drugi.

– Nie ruszaj się.

Jej oczy migoczą roześmiane.

– Dlaczego?

Mała jędrza. Celowo nie zaprzestaje tortur. Chce, żebym ją błagał o litość.

– Bo czeka mnie kompromitacja stulecia.

Przeciąga językiem wzdłuż mojej szczęki.

– Ja...

Nim Hope zdąży dokończyć, coś innego przykuwa moją uwagę.

– Co jest, kurwa? – sapię.

Hope wzdryga się na mój ostry ton i podrywa głowę.

– Co się stało?

Kiwam podbródkiem na drugi koniec zaciemnionej sali.

– Widzisz tę dziewczynę? To Sky.

Hope podąża za mną wzrokiem.

– Narzeczona twojego kolegi?

I nie byłoby w tym przypadkowym spotkaniu nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że narzeczona Michaela całuje teraz innego faceta.

– Dokładnie ta sama – mruczę. – Która właśnie obściskuje się ze swoim eks.

Bez problemu rozpoznaję gębę sukinsyna, który wpycha swój język w usta Sky. A ona wcale się nie opiera. Mimo że są dobrze ukryci w półmroku, to wiem, kim są, nie mam złudzeń co do charakteru ich relacji.

Ta suka zdradza Michaela.

– To jej były?

– Owszem. – Wyciągam z kieszeni spodni komórkę i włączam aparat.

Hope porusza się niespokojnie w moich objęciach.

– Co robisz?

Wykonuję kilka fotografii zajętej figlami pary.

– Zbieram dowody. – Łapię Hope w tali i unoszę delikatnie, a następnie sadzam obok.

– Zaczekaj tu – proszę.

Rudzielec przygryza paznokieć kciuka i robi zatroskaną minę.

Wstaję nabuzowany nowym rodzajem złości.

Cały namiętny nastrój szlag trafił i nie ma szans, żeby wrócił.

Następna cholerna niewierna...

– Ale Jacob, może nie powinienes... – Jej głos cichnie, kiedy się oddalam.

Przepycham się przez tabun zalewających się ludzi. Ktoś prawie przewraca się przede mną i zaczyna rzeć. Kompletnie nie zwracam na to uwagi.

– Sky? Dobry wieczór – witam się nieco cynicznym tonem.

Blondynka od razu odskakuje od swojego kochasia i przenosi się na drugi kraniec kanapy.

– Jacob? Ty... – Urywa i kręci głową.

Zakładam ręce na tors.

– Zechcesz wyjaśnić, co właśnie widziałem?

Sky wciąż kręci głową. Jej blond włosy, które zwykle są spięte w misterny kok, teraz rozsypują się w nieładzie, a ona patrzy na mnie przerażonymi oczami.

– To nie tak, jak myślisz. Nic mnie z nim nie łączy – przysięga.

Ten chujek, jej eks, choć to chyba kiepskie określenie w tej sytuacji, zanosi się śmiechem.

– Naprawdę, kotku? – Zarzuca buty na blat stolika. – Nic nas nie łączy?

Sky się spina. Jej palce miętoszą materiał sukienki.

– Przestań. Zamknij się. Nic nie mów – krzyczy i znów zwraca się do mnie: – Przysięgam, że...

– Masz z nim romans? – wtrącam.

Po jej twarzy zaczynają spływać łzy.

– Ja nie... Boże... Proszę... – Chwyta mnie za dłoń. – Proszę, nie mów nic Michaelowi.

Żartuje sobie ze mnie?

Aż parskam.

– Mam zataić twoją niewierność? Mogę to zrobić. – Pochyliam się ku niej. – O ile go zostawisz. Jutro.

Oczy blondynki się rozszerzają, unosi drżące palce i wyciera ślady łez, rozmazując przy tym makijaż.

– Nie...

– Radzę ci dobrze przemyśleć tę propozycję – dodaję i się odwracam. – Dobrej zabawy.

Może i zachowałem się podle, wyskakując z tym szantażem, ale nie czuję wyrzutów sumienia. Jeśli mam zataić zdradę Sky przed moim przyjacielem, zrobię to pod warunkiem, że zniknie z jego życia i pozwoli mu poczekać na kogoś lepszego.

– Jacob, czekaj. – Dłoń Hope wsuwa się w moją.

Zatrzymuję się i wciągam powietrze w płuca, żeby trochę się uspokoić.

– Wracajmy do domu – mówię.

Muszę stąd wyjść, zanim zrobię coś głupiego, czyli spuszczę łomot temu aroganckiemu dupkowi, który obściskiwał Sky.

– A jeśli źle to interpretujesz?

Serio?

Aż gotuję się z wściekłości.

– Źle? Jesteś ślepa? Powiedz, że to nie wyglądało jednoznacznie – prychem.

Hope gładzi grzbiet mojej dłoni kciukiem.

– Nie wiemy, co tam...

Nie wie? No to po prostu kurewsko zajebicie. Może jeszcze zamierza mnie nakłaniać, żebym tam wrócił i przeprosił tę...

Niewierność nie ma aż tak skomplikowanej definicji, do diabła. A fakt, że to właśnie Hope... Moja Hope staje w jej obronie... Sprawia, że coś we mnie pęka.

– Oczywiście, że jej bronisz. Wszystkie robicie to prędzej czy później.

Wszystkie. Jasmine. Sky... Musi tylko nadarzyć się odpowiednia okazja. I nie ma co oszukiwać się, że jest inaczej.

– Czyli co?

– Czy nie wskoczyłaś mi do łóżka, chociaż podobno kochałaś się w innym? – wyrzucam, zanim zdążę się powstrzymać.

Hope wyszarpuję rękę z mojej i zaciska ją w pięść.

– Pierdol się – szepcze i wybiega na korytarz prowadzący do wyjścia.

Czuję, jak coś pod moją skórą zamarza.

- I dobrze - mówię, patrząc tępych wzrokiem w przestrzeń. - Dobrze.

A jednak zamiast bębniącej zewsząd melodii słyszę tylko załamujący się głos Hope.

ROZDZIAŁ 20



HOPE

Wystukuję odpowiedź na maila z działu kreatywnego, który od rana męczy się z reklamą De Roe i próbuję ignorować rozsadzający mi czaszkę ból głowy. Nie miałam ochoty dziś przychodzić do pracy, ale uznałam, że okazałabym Jacobowi moją słabość, a tego za wszelką cenę chcę uniknąć. Nie dam mu tej satysfakcji. Będę tu siedzieć i wywiązywać się ze swoich obowiązków jak wzorowa asystentka.

Nie dość, że w ten fatalny dzień mam masę roboty, to moje myśli co chwilę wracają do kłótni z...

Moja komórka wibruje na biurku, więc zerkam na ekran.

William: Masz ochotę na spotkanie? Ostatnio nam przerwano, więc chciałbym znów spróbować.

A ja nie.

Wystukuję szybką odpowiedź.

Ja: Przykro mi, ale nie mam teraz czasu. Dużo pracy i wciąż nie uporałam się z przeprowadzką.

Kłamstwo, ale co z tego? Chyba zrozumie, że to tylko wymówki, żeby uniknąć naszego spotkania.

William: Obiecuję, że warto. Na pewno możesz zarezerwować w swoim napiętym grafiku jeden wieczór dla mnie.

Albo i nie zrozumie.

Dobra, Hope, bądź stanowcza i szczerą. Postaw sprawę jasno. Z tego i tak nic nie będzie.

Ja: Dziękuję, ale myślę, że nic z tego nie będzie. Lepiej sobie odpuśćmy.

– Podeślij mi hasła do najnowszej reklamy w jednym mailu, a w drugim prognozy kosztów – odzywa się Jacob, zatrzymując się przed moim biurkiem.

Każdy nerw w moim ciele zdaje zwijać się w kłębek, kiedy tylko wyczuwam na sobie jego spojrzenie, i nienawidzę tego.

Przywołuję maskę profesjonalistki, odkładam telefon i udaję, że zaczytuję się w planie naszej najbliższej reklamy.

– Już to zrobiłam – odpowiadam.

Jacob układa niebieską teczkę na moim biurku.

– Wyślij to do Błękitnej Wody – mówi, a następnie dorzuca jeszcze jedną. – I skseruj mi te dokumenty. Dziesięć minut.

Zrobię to w dziewięć, dupku.

– Tak jest, proszę pana. – Uśmiecham się.

Na wkurzającej facjacie mężczyzny zaczyna drgać mięsień.

– Przestań się wygłupiać – nakazuje. – O której przychodzi Laura?

– Pani Devito będzie tu za godzinę, panie Parker – odpowiadam, ani na moment nie zmieniając oficjalnego tonu.

Mój szef zgrzyta zębami.

– Połącz mnie z Christopherem Yoingiem. – Jego ślepią wstrętnego gada ciskają we mnie błyskawice.

Mam gdzieś, że się wścieka na moje oziębłe opanowanie. Jeśli liczył, że dostanę przy nim napadu hysterii tylko dlatego, że wczoraj wieczorem w kilku słowach zdeptał moje serce i godność, to się przeliczył. Nie jestem taką kobietą.

Nie będę zrozpaczona chlipać w chusteczkę. Nie okażę nawet grama cierpienia, które rozrywa mnie od wewnątrz. Nie przy nim. Wystarczy, że wylałam już ocean łez w nocy.

– Natychmiast – mruczę i zakreślam kolorowym markerem błąd znaleziony w projekcie reklamy. – Coś jeszcze?

Jacob wygląda, jak gdyby był o sekundę od przeskoczenia nad blatem mojego biurka niczym rozjuszony kangur, ale zanim zdąży wykonać jakiś ruch, u jego boku pojawia się Ciara.

– Proszę pana?

Jacob odwraca ku niej głowę.

– Tak?

– Jest pewien problem.

I wygląda na to, że słowo „problem” tylko potęguje sztormowy nastrój mojego szefa, pana Parkera.

– Wiesz, że nie lubię owijania w bawełnę. Powiedz, o co chodzi, zanim się zestarzeję – warczy do biednej Ciary.

Dziewczyna przełyka ślinę i dotyka swojego zawieszzonego na uchu kolczyka w kształcie gwiazdy.

– Ktoś pomieszał plany ujęć niezbędnych do nagrania reklamy perfum De Roe – oznajmia.

Oblicze Jacoba szpeci podłużna zmarszczka.

– Ktoś pomieszał?

Oj, zaczyna się robić nieciekawie.

Ciara znowu szarpie nerwowo za kolczyk.

– Skasowała się znaczna część scenariusza...

– Naprawicie to w godzinę – wtrąca bezwzględnie Jacob. – Albo zwolnię cały wasz dział.

Co takiego?

Jeszcze nigdy nie kusiło mnie tak bardzo, żeby rąbnąć kogoś zszywaczem.

Ciara kiwa głową.

– Oczywiście. – A potem okręca się na pięcie i ucieka w stronę wind.

Tak mocno wbijam paznokcie w kartkę, którą czytałam, że prawie ją niszczę.

– Co jest? Coś ci się nie podoba? – Jacob uśmiecha się jak sam szatan. – Masz ochotę popyskować?

Teraz to ja zgrzytam zębami.

Nic nie mów. Ani słowa. On cię prowokuje.

Odkładam dokument na brzeg blatu, udając, że nie zauważam wygnieceń, jakie na nim zrobiłam. A następnie wykonuję jego ostatnie polecenie. Unoszę słuchawkę telefonu, wybieram numer i czekam na połączenie, a później rzucam nazwisko tego... mojego szefa. Pana Parkera.

– Pan Christopher Yoing czeka na linii – mruczę niby życzliwie.

Do Jacoba dociera, że poniósł porażkę w wyprowadzaniu mnie z równowagi. Wzdycha, ściska palcami nasadę nosa.

– Zamów mi kawę – żąda, a moment później rozbrzmiewa trzaśnięcie drzwiami.

To nie było ani trochę profesjonalne.

– Się robi – szepczę pod nosem. – Kutasie stulecia. – Znowu sięgam po słuchawkę. – Ciara? Przynieś mi to, co zostało ze scenariusza i planu ujęć do reklamy De Roe.

Na linii rozlega się spanikowany pisk.

– Ale ja jeszcze nie zdążyłam...

– Nie dla tego dupka. Dla mnie – wtrącam, zanim dostanie zawału. – Ogarnę to.

Następuje długa cisza. A potem huk.

Może jednak dostała zawału?

Coś szura w tle, a do głosu Ciary dołącza czyjś szept.

– Mówisz poważnie? – ekscytuje się.

Łapię w palce papierowy kubek z kawą, która niestety zdążyła już wystygnąć i upijam łyk przez słomkę.

– Tak – mamroczę. – Ślęczałam nad tym pół nocy dwa dni temu i mam świetną pamięć, prawie fotograficzną. Naprawię to. – Rozłączam się i ogarniam bałagan na biurku, żeby przygotować się do swojego sekretnego zadania. Jego wysokość pan Parker nie musi o niczym wiedzieć. W żadnym razie nie robię tego, licząc na pochwałę. Podejmuję się tego, bo wiem, że dzięki swojej dziwacznej umiejętności zapamiętywania wszystkiego, co zobaczę, załatam dziury w scenariuszu znacznie szybciej niż inni. W końcu miałam już okazję się z tym rozprawić.

Zrobię to ponownie, a później sama się nagrodzę, bo ten... Pan Parker to dupek. Zapiszę to sobie na karteczkach, a później nakleję je wszędzie wokół siebie.

W końcu lepiej przyswajam to, co widzę, a jeśli zauważy to ktoś jeszcze... Trudno.

Słyszę piknięcie, a później stukanie obcasów na marmurowej posadzce.

– A nie możesz przy okazji jakoś naprawić jego nastroju? – marudzi Ciara, zerkając płochliwie na drzwi naszego przełożonego.

Upijam kolejny łyk zimnej kawy i się krzywię. Ble. Poza tym przydałoby mi się podwójne, jeśli nie potrójne espresso. Jestem naprawdę padnięta po nieprzespanej nocy.

– Już bym wołała cmoknąć hipopotama w jego tłusty zadek – burczę.

Ciara uśmiecha się, a później przytula mnie znienacka.

– Bardzo ci dziękuję. – Cofa się, kiedy ktoś odchrząkuje. – Pan chyba do ciebie. – Wycofuje się.

Zaskoczona poprawiam się w fotelu.

– William?

– Dlaczego mnie unikasz?

Nie mogę uwierzyć, że Will przyszedł do mojej pracy. Wpatruję się w niego niezdecydowana. To nie jest ani czas, ani miejsce na tę rozmowę, chociaż odwlekanie jej

też nie ma sensu. W esemesach starałam się w miarę delikatnie dać mu do zrozumienia, że to coś między nami nie wypali. Nasza randka była kompletną klapą, i to wcale nie przez ingerencję Jacoba. Intuicja podpowiadała mi, że William liczy na szybkie odhaczenie randek, żeby móc przejść do tego, czego tak naprawdę chce, czyli seksu. Poza tym całkowicie przekreślił swoje szanse, kiedy tak okrutnie potraktował Jacoba, wypominając mu niewierność jego narzeczonej.

– Nie mogę teraz o tym dyskutować. Nie mam czasu, pracuję – oznajmiam. – Nie zatrzymała cię ochrona? Nikt do mnie nie zadzwonił.

A nie wpuszcza się tu ot tak przypadkowych ludzi z ulicy.

Will wzrusza ramionami, ale w jego oczach błyska arogancja.

– Mam znajomości. – Podchodzi bliżej. – Kolacja? Dlaczego nie? Czy ostatnia była aż taką porażką? Ja świetnie się bawiłem do czasu pojawienia się Parkera.

Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego. Prawda jest taka, że jeszcze przed tą feralną randką wiedziałam, że nie powinnam się na nią zgadzać. Bo już wtedy pragnęłam Jacoba.

To dla niego w moim żołądku załęgły się nie tylko motyle, ale i pterodaktyle.

A on to zepsuł. Wyrwał motylom i pterodaktylom skrzydła.

– Nie chodzi o ciebie. Nie chcę... – Obracam bransoletkę zdobiacą mój nadgarstek i wstaję. – To nie jest dla mnie dobry czas na randkowanie. Już nie jestem taka pewna, czy tego właśnie chcę.

Jestem pewna, że nie chcę.

Wychodzę zza biurka i posyłam Williamowi słaby uśmiech.

– To przez Parkera tak? Powiedział ci? – Drapie się w skroń. – Głupi żałosny skurwiel.

Słucham?

Jego słowa ociekają takim jadem, że aż cierpnie mi skóra.

– Co powiedział?

– Zapewne to, że nie jestem ciebie wart, że nie zasługuję na szansę. Przedstawił mnie jak niewartego uwagi dupka, co? – Śmieje się, ale w jego śmiechu i postawie jest coś złowieszczego.

To prawda, Jacob raczej nie przepada za Willem, ale do tej pory przypisywałam to temu, że... Że mnie chciał, ale teraz znowu ogarnia mnie zwątpienie.

Coś się za tym kryje, jakaś tajemnica.

– Nie...

– To nie moja wina, że nie potrafił zadbać o narzeczoną wystarczająco, by nie szukała wrażeń w moim łóżku.

O Boże.

Cofam się i przyciskam palce do rozpędzonego serca.

– Zaraz... wy... mieliście romans?

William wciąż wbija spojrzenie w drzwi do gabinetu mojego szefa.

– Dlatego właśnie Jacob mnie nienawidzi i szuka okazji do zemsty – Urywa i poprawia dzinsową marynarkę z naszywkami układającymi się w jakiegoś stwora. – Ja... będę z tobą szczery.

Opieram się o kant biurka i próbuję zapanować nad oddechem.

Będzie ze mną szczery? A więc to jeszcze nie koniec?

Czekają mnie kolejne rewelacje wrzynające się niczym szpikulce w moje trzewia.

– Byłoby świetnie, gdyby ktoś dla odmiany w końcu był ze mną szczery. – Śmieję się trochę obłąkańczo.

– Wiem, że coś jest między wami, nie wiem, na ile to jest prawdziwe, ale... – Milknie i bierze mnie za rękę. – Bądź ostrożna, Jacob wie, że się tobą interesuję, a po tym, co było między Jasmine a mną, może zechcieć odegrać się na mnie. Wykorzystując ciebie i twoje uczucia.

Żółć podchodzi mi do gardła. Robi mi się zimno.

Czy on sugeruje, że...

– Ja...

Nie. Proszę, nie.

– To nie jest miłutki facet, zaufaj mi. – Przyciska sobie moją dłoń do ust, ale ledwo to zauważam. – Jeśli zmienisz zdanie co do drugiej randki, zadzwoń. – William oddala się do wyjścia.

A ja zostaję. Sama.

Z kpiącą sobie ze mnie w najlepsze rzeczywistością.

William i Jasmine. Romans. Jacob nakrył ich dzień przed ślubem.

I zataił przede mną coś takiego. Celowo. Rozmyślnie. Pozwoliłby mi się zaangażować w związek z Williamem. Nawet wymyślił ten durny układ udawania zakochanych.

Jacob wie, że się tobą interesuję, a po tym, co było między Jasmine a mną, może zechcieć odegrać się na mnie. Wykorzystując ciebie i twoje uczucia.

Moje uczucia?

A więc wszystko sobie uknuł. Najpierw pomógł mi wzbudzić zainteresowanie Williama, jednocześnie nieustannie ze mną flirtując, wmawiając, że jest między nami coś wyjątkowego. Rozniecił we mnie uczucia, a później użył ich, żebym wybrała jego, a nie Williama.

Byłam narzędziem w jego zemście. Dlatego nie powiedział mi, że to William był kochankiem jego narzeczonej.

– Pieprzona, głupia idiotka. – Pod moimi powiekami znów wzbierają łzy. – Naiwna... – Tłamszę w sobie chęć płaczu. Paznokcie wrzynają mi się we wnętrze dłoni, tworząc krwawe półksiężyce.

Nie ostrzegł mnie, ponieważ tak naprawdę...

– Hope? – Jacob wygląda ze swojego gabinetu. – Kopie dokumentów? Dziesięć minut? – przypomina.

Spoglądam na niego mętным wzrokiem.

Nie ostrzegł mnie, ponieważ tak naprawdę nic go nie obchodzi.

Niczym wyprany z uczuć robot zbieram papiery i idę wykonać ich kopie, a następnie pukam i wchodzę do biura Jacoba.

– Pańskie dokumenty.

Jacob wyciąga po nie rękę, ale zamiast mu je podać, układam je obok na blacie.

– Wszystko w porządku? Zbladłaś.

Bo chce mi się rzygać na twój widok.

– Nic mi nie jest. Czy mogę wrócić do swoich obowiązków?

Na twarz Jacoba wraca ten jego uśmieszek z dołeczkiem. Odkłada długopis, którym właśnie coś podpisywał.

– A więc wciąż zgrywasz obrażoną, czarownicę?

Czarownicę. Kąśliwy zwrot, który zwykle wydawał mi się pieszczotliwym zwrotem, sprawia, że mam ochotę wykrzyknąć mu w twarz, jakim jest kłamcą.

– Za chwilę przyniosę panu kawę. – Zmuszam się do spokoju. – I postaram się nie dosypać cyjanku. – Słowa wydobywają się z moich ust bez udziału woli. Sekundę temu miały bowiem pozostać tylko myślami.

Jacob się śmieje.

– Oto i jest moja zadziorna dziewczyna – szepcze, wymierzając kolejny celny cios w moje serce. Odwracam się pospiesznie. – Zaczekaj. – Podrywa się z fotela i ujmuje mnie za nadgarstek.

Nie patrzę na niego. Nie mogę.

– Czy życzy sobie pan czegoś jeszcze? – pytam w stronę ściany.

Jacob nie puszcza. Wychodzi zza biurka i staje naprzeciwko mnie.

– Posłuchaj, przepraszam za wczoraj, zachowałem się jak kompletny palant i chcę... –

Przerywa mu pukanie do drzwi.

Szybko wykręcam dłoń z jego uścisku i idę otworzyć.

– Przyszła pani Devito – zapowiadam, dostrzegając wystrojoną kobietę. – Zapraszam, pan Parker czeka na panią. – Wpuszczam ją i wychodzę, zanim Jacob zdoła wypowiedzieć jeszcze choćby jedno kłamstwo.

Od teraz karteczki, którymi obkleję wszystko w zasięgu wzroku, będą głosić:
NIENAWIDZĘ JACOBA PARKERA.

ROZDZIAŁ 21



JACOB

Teraz już jestem pewien, że Hope Vitteli unika mnie jeszcze zacieklej, niż unikałaby karaluchów. Nie odpisuje na wiadomości, nie odbiera ode mnie telefonu, ogólnie gdyby mogła, to pewnie katapultowałaby mnie na pierdolony Księżyc.

Powinienem chyba walczyć o przebaczenie, a zamiast tego czytam ogłoszenie pod tytułem: *Organizujemy BLIND DATE*.

Pani L: Masz ochotę się spotkać? Muszę się komuś wygadać i oderwać myśli od ponurej rzeczywistości, a wciąż nie mam zbyt wielu znajomych w tym mieście. To nie będzie randka, ale okoliczności wydają się fajne i wciąż będziemy mogli pozostać dla siebie anonimowi, jeśli w trakcie spotkania nastąpi jakaś katastrofa.

Ja: Tak po kumpelsku?

Pani L: Słowo, teraz niezbyt lubię rodzaj męski...

Ja: To do zobaczenia o ósmej wieczorem.

I tak oto kilka godzin później wchodzę do wskazanego w ogłoszeniu baru i tłumaczę, jaki numerek stolika wylosowaliśmy wcześniej wraz z moją nieznaną partnerką, żeby przez pomyłkę nie zostać usadzonym z kimś innym.

Nie wierzę, że to robię.

– Sala B, stolik numer czterdzieści cztery, proszę za mną – odzywa się kobieta ubrana w czarno-białą sukienkę w kratę z okularami na nosie.

Zdaje się, że ta kobieta organizuje to chaotyczne przedsięwzięcie, w które dałem się wciągnąć mojej internetowej przyjaciółce.

– Dziękuję bardzo. – Idę za nią przez salę, rozglądając się na boki.

Restauracja ta na pewno nie znalazłaby się na liście najelegantszych lokali w mieście. Przypomina raczej bar, w którym serwuje się szybkie żarcie, często z mrożonek, przekąski na poziomie słonych orzeszków, a do picia piwo. Wystrój jest prosty, ale

całkiem przyjemny. Ściany z drewna zostały wyłącznie pociągnięte bezbarwnym lakierem i ozdobione jakimiś świecidełkami.

Kobieta zatrzymuje się przy zaciemnionej łoży, przy której prawie nic nie widać.

– Proszę włożyć to do ucha, dzięki temu pański głos pozostanie nierozpoznany. Ciemność gwarantuje całą resztę anonimowości, ale randkę w ciemno można przerwać w każdej chwili i poznać tożsamość swojego towarzysza. – Blondynka podaje mi mały metalowy przedmiot, najwyraźniej podłączony do modulatora głosu.

Opadam na jeden z foteli, który jest raczej gigantyczną poduszką, i robię, co mi każe.

– Zapowiada się ciekawie.

– W kielichu przygotowaliśmy tematy i ewentualne pytania, które można wykorzystać do rozwinięcia rozmowy. – Dotyka palcem szklanego półmiska na stopce wypełnionego rulonikami papieru. – Na stole są przekąski i wino.

– Rozumiem, dziękuję.

– Życzę powodzenia. – Uśmiecha się. – Kiedy na stoliku zapali się zielona lampka, oznaczać to będzie, że pańska partnerka jest gotowa do udziału w zabawie.

No dobra, czemu nie. W końcu ludzie robią bardziej ekstremalne rzeczy, żeby oderwać się od codzienności. To niby-randka w ciemno z naciskiem na niby, a nie skok na bungee.

Poprawiam się na tym pseudofotelu, który jest puchowym workiem, i zapadam się głębiej, prawie w nim tonąc, a później dokładniej oglądam to, co mam przed sobą. Niewielki stolik, na którym stoją butelka średniej jakości wina i trzy talerzyki z przekąskami. Ciasteczka w kształcie szyszek, orzeszki w ostrej panierce i jakieś rurki z nadzieniem. Oświetla to jedna wążła lampeczka.

Nie widzę natomiast drugiego fotela. Jest on strategicznie ukryty w ciemnościach, żeby uczestnik tej zabawy nie odgadł za szybko, jak wygląda jego randka w ciemno.

Mam wrażenie, że taka zabawa spodobałaby się Hope...

Na drugim krańcu blatu błyska zielone światełko.

– To całkiem ekscytujące, prawda? – odzywa się moja internetowa koleżanka, ale jej głos jest płaski i bezbarwny, zupełnie jak u robota.

Modulatory działają bez zarzutu.

– Może, o ile nie jesteś pechowcem, a po drugiej stronie stolika w ciemności nie siedzi następca Teda Bundy'ego – żartuję.

Słyszę prychnięcie, które brzmi bardziej jak skrzeczenie jakiegoś ptaka.

– Mam to odebrać jako ostrzeżenie?

Sięgam po to cholerne szyszkowe ciasteczko i wrzucam je do ust.

– Zmieńmy szybko temat, nie chcę się za wcześnie zdradzić.

– Jaką masz plakietkę?

Marszczę brwi.

– Plakietkę?

– Z pseudonimem na ten wieczór – wyjaśnia.

Co znowu, do chuja?

Mierzę wzrokiem swoją połowę stolika i dopiero teraz zauważam, że o kielich oparta jest mała jasnoniebieska karteczka z nadrukiem.

Twoje imię na ten wystrzałowy wieczór to...

– Ach, jestem... – Krzywię się, zanim odczytam to komiczne przezwisko. – Mister Wild, a ty?

– Lady La Pearl – przedstawia się ze śmiechem.

– Więc, Perłowa Damo... – zaczynam. – W co ty mnie, do diabła, wrobiłaś?

Znowu rozlega się trzeszczący skrzek, tuszujący śmiech mojej znajomej nieznajomej.

Zapamiętać: nie śmiać się, Bóg jeden wie, jak to może brzmieć po drugiej stronie.

– Nie mów, że wymiękasz. Czyżbyś nie miał w sobie ani odrobiny dzikości?

– Wcześniej myślałem, że mam jej sporo, ale teraz zaczynam wątpić. – Uśmiecham się.

– Chyba jestem już stary i zeszłoepokowy, bo wolę klasyczne randki, a ty, Perłowa Damo często wpadasz na takie postrzelone pomysły? – Unoszę kieliszek z winem i upijam łyk.

Toskańskie chianti to nie jest, ale chyba się nie otruję.

– Reklama tego baru i randek w ciemno wyświetliła mi się dzisiaj, kiedy byłam w pracy, i uznałam to za znak od losu – mówi. – Trzeba dawać życiu szansę, żeby podarowało nam coś fajnego. Jak w tym filmie, w którym gra Jim Carrey.

– Którym?

Słyszę chrupanie. Albo Perłowa Dama zajada się naszym poczęstunkiem, albo umówiłem się na spotkanie ze zgrają gryzoni.

– *Jestem na tak*. Uwielbiam go, ma genialne i bardzo pozytywne przesłanie – ekscytuje się. – Nie widziałeś?

Nie widziałem i po jej opisie wątpię, żeby to był film w moim stylu.

Za to na pewno bardzo spodobałby się Hope.

Przezań. Możesz nie myśleć o niej chociaż przez pieprzony kwadrans?

– Jeszcze nie, ale obiecuję, że naprawię ten błąd dziś po powrocie do domu – obiecuję półserio. – Teraz rozumiem, co robiłaś na tym portalu, który ponoć pomaga odnaleźć idealnego przyjaciela.

Tak, ten cały portal, na którym oboje mamy konta od kilku miesięcy, wcale nie opiera się na klasycznej metodzie poszukiwania doskonałego partnera do związku. Zakłada bowiem, że to przyjaźń leży u podstaw każdej udanej długoterminowej relacji, a także tej damsko-męskiej, i to w znalezieniu takiego *perfect friend* pomaga ta strona, która jakoś połączyła nas w parę.

Może jest w tym trochę racji. Ja i Jasmine nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

– A ty co tam robiłaś?

Szczerze?

– Założyłem konto po pijaku po rozstaniu z dziewczyną – wyjawiam, śmiejąc się bez humoru. – Byłem zalany, przygnębiony i wkurwiony, więc... – waham się. Nie chciałbym jej urazić.

– No dalej. Zaczyna się jak typowa męska historia o złamanym sercu.

– Więc postanowiłem ponabijać się z naiwniaków, którzy wierzą, że jakieś naciągane psychotesty pomogą im odnaleźć tę jedyną właściwą osobę – dokańczam.

Zapada chwila milczenia.

– Łał, strasznie nieromantyczne motywy.

– Wcześniej napisałaś mi, że właśnie zerwałaś z tym dupkiem, z którym ledwie zaczęłaś randkować. Nie znam szczegółów, ale skoro siedzisz tu ze mną, a nie z nim, to chyba twoje ukochane przeznaczenie, los, gwiazdy, czy jak to nazywasz, dały plamę.

Perłowa Dama wzdycha i choć jej nie widzę, jestem pewien, że moje słowa wprawiły ją nie tyle w zakłopotanie, ile w przygnębienie.

Po co w ogóle to powiedziałeś? Przecież sam siedzisz tu, bo też jesteś takim cholernym dupkiem, a twoja piękna rudowłosa dziewczyna nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

Zapadam się głębiej w tę pochrzanioną poduchę, kiedy próbuję oprzeć się na niej plecami i rozmasowuję skronie.

Dlaczego Hope jest na mnie taka wściekła? Od rana w pracy żądliła mnie jak osa, ale pod koniec dnia... Sam nie wiem, już nie była po prostu zła. Wyglądała, jakby... Jakby mnie skreśliła.

– Masz rację. Dziś dowiedziałam się, że on... tylko udawał, że mnie lubi – odzywa się ponownie tajemnicza dziewczyna. – I tak, w tej chwili cierpię i nie mam ochoty z nikim się umawiać, ale...

– Ale?

– Nie wiem, na ten moment chyba nie ma żadnego ale, bez względu na to, jak bardzo chciałabym, żeby było – mówi i tym razem modulator nie daje rady zatuszować smutku w jej głosie. – Czemu zgodziłeś się na spotkanie, skoro traktujesz ten portal jak żart?

Pożeram kolejną ciasteczkową szyszkę.

– Bo mimo wszystko świetnie nam się rozmawiało. Zostaliśmy kimś w rodzaju przyjaciół, a ty... – Okręcam w dłoniach kieliszek z winem. – Właśnie dołączyłaś do klubu złamanych serc.

Kiedy moja nieznajoma koleżanka z portalu poprosiła o spotkanie, nie chciałem się zgodzić głównie ze względu na Hope. Nie zamierzam zwodzić tej kobiety, że możemy być kimś więcej niż internetowymi przyjaciółmi, a ta znajomość miała pozostać tylko w sieci. Oboje tego chcieliśmy i nie kryliśmy się z tym, że poznaliśmy już kogoś, kto funduje nam tornado emocji.

Ona miała tego dupka, a ja miałem... Mam Hope.

Wciąż mam Hope. Może się na mnie obrażać i życzyć mi, żeby szczerbaty aligator zostawił jeden z brakujących kłów w mojej dupie, ale nie stracę jej. Naprawię swoją głupotę, wynagrodzę to, że ją zraniłem, i odzyskam.

W każdym razie spotkałem się z Perłową Damą także z powodu moich uczuć do Hope. Kiedy moja internetowa przyjaciółka zwierzyła mi się ze swoich kłopotów w związku z tym facetem, pomyślałem sobie, że takiego samego wsparcia mógłby potrzebować mój Rudzielec, i zrobiło mi się jej żal. W końcu sam to schrzaniłem i pocieszenie tej dziewczyny wydawało mi się słuszne.

– Gówniany ten nasz klub, ale zostawmy to. – Moja towarzyszka klaszcze w dłonie. – Niech to będzie zabawny wieczór. Co my tu mamy?

Z cienia wyłania się wciąż ledwo widoczny zarys kobiecych palców, które nurkują w misy z tymi durnowatymi papierowymi zwitkami.

– Losujesz karteczkę z tego kielicha porażek? Poważnie? – Kręcę głową. – Co tam można znaleźć za pytania albo zadania? Zagrajcie w kółko i krzyżyk? Opowiedzcie sobie o największych marzeniach?

Jej ręka znowu znika w całkowitej ciemności, a wyłapuję jedynie znikome echo rozkładania karteczki.

– Dajmy im szansę. Zobaczmy... – Chwila ciszy, a później: – Podaj tytuł filmu, który najbardziej cię przeraził.

Upijam łyk wina i próbuję się nie skrzywić.

– I już?

– Podaj.

Parskam śmiechem.

– Jestem mężczyzną. Nie boję się filmów i fikcyjnych potworków – wzbraniam się, co wywołuje też jej skrzeczący chichot.

– Oczywiście, samcu alfa. Nie psuj zabawy, podaj tytuł.

Więc ona naprawdę chce się w to bawić? Nie do wiary.

– *Obcy*, cała seria – burczę.

To jeden z niewielu niezłych horrorów.

– Mhm, klasyka gatunku. – Znowu dociera do mnie gniewienie papierka. – Czy wolałbyś wylądować w świecie z filmu *Obcy*, czy w świecie pełnym dinozaurów?

Że co, przepraszam?

– To właśnie wyczytałaś z tej karteczki?

Perłowa Dama znowu się śmieje.

– Nie. Pierwsza część jest z karteczki. Moim zadaniem było wymyślić równie przerażającą alternatywę dla świata z horroru, który wybrałaś.

Poprawiam się na tym wkurwiającym fotelu i rozpinam guzik marynarki.

– I wybrałaś dinozaury? – Przecież to takie przerośnięte pieski, których nie prowadzi się na smyczy. – Powinnaś była zapytać: „Czy wolałbyś wylądować w świecie z filmu *Obcy*, czy wrócić do swojej eks?”. Wtedy odpowiedź byłaby prosta. – Bębnię palcami o drewniany blat.

– Poślubiłbyś tego czarnego, śliniącego się stworka?

– Zgadłaś, a odpowiadając na twoje pytanie – zastanawiam się przez sekundę – wybieram dinozaury.

– Czyli jednak boisz się kosmicznego stworka.

Gdyby był realnym kosmicznym robakiem, mógłby trochę mnie wystraszyć, no i połknąłby mnie na kolację, a to niezbyt optymistyczna perspektywa.

– Nie, to czysta logika. W tym horrorze utknąłbym ma małym statku kosmicznym bez możliwości ucieczki – tłumaczę. – A dinozaury miałyby aż nadto pożywienia w ośmiomiliardowej populacji, żebym zdążył zwiać.

– Świetny plan, doceniam.

Chociaż nie widzę jej twarzy, a jej ton jest zniekształcony, jestem przekonany, że ma rozbawioną minę.

– Moja kolej. – Nie losuję jednak karteczki z tego kielicha, sam wybieram pytanie. – Czy popełniłaś albo chciałaś popełnić jakiegokolwiek przestępstwo?

Znowu następuje cisza. To dość śmiałe pytanie, ale wolę takie niż: „Jaki jest twój ulubiony kolor?”. Co w ogóle takie bzdety mówią o człowieku? Taka wiedza przydaje się tylko, kiedy wybierasz prezent gwiazdkowy i nie jesteś pewien, czy kupić skarpetki w różowe prążki czy bez nich.

– Kiedy byłam jeszcze dzieckiem...

Oho, dzieckiem? Gruby kaliber.

– Co zrobiłaś, zbójcu? Zakłóciłaś ciszę nocną? Biegałaś nago w miejscu publicznym? – drocę się.

– Włamałam się w nocy do zoo. Rodzice nie chcieli mnie tam puścić, więc sama poszłam. Niestety, dość szybko włączył się alarm i zrujnował moją wycieczkę. – Zdaje się, że wyłapuję nutkę żalu w jej głosie. – Znaleźli mnie gadającą z rodziną fok.

Zaraz, zaraz...

Włamanie do zoo? Kiedy była dzieckiem? Foki?

Coś mi to przypomina, ale to przecież niemożliwe...

Nerwowa energia przenika mnie aż do szpiku kości.

– Hope? – szepczę.

Przez chwilę zupełnie nic się nie dzieje, a ja słyszę tylko swoje serce tłukące się w piersi.

– Skąd znasz moje... – Urywa, a potem zapala lampkę powieszoną nad naszymi głowami.

Już dłużej nie jesteśmy dla siebie anonimowi.

A moje serce rozsadza erupcja pieprzonej radości.

Witaj, kochanie...

ROZDZIAŁ 22



HOPE

– Jacob? – pytam, przekonana, że mam halucynacje.

Proszę, bądź urojeniem.

Jacob rozciąga usta w przekornym uśmiechu.

– Cześć, ślicznotko.

Zaciskam palce na wylosowanej wcześniej karteczce tak mocno, że aż czuję, jak drętwieją.

– To chyba są jakieś jaja. Zaaranżowałeś to? Uknuleś? – krzyczę. – Jak to zrobiłeś? Skąd wiedziałeś, że to ja tu będę?

Nie ma mowy, żeby wszystko było dziełem przypadku. Jeśli tak, to oznacza, że wszechświat z jakiegoś powodu mnie przeklął.

Jacob przestaje się szczerzyć, kiedy orientuje się, że nie tryskam entuzjazmem na jego widok. Sięga przez stół, jakby chciał wziąć mnie za rękę, więc odskakuję.

– Nie miałem pojęcia. Zorientowałem się dopiero po twojej opowieści o fokach.

Wzbiera we mnie podejrzliwość. Zaraz obok wściekłości tak potężnej, że mam ochotę rzucać wszystkim w jego łeb. Ciasteczkami w kształcie szyszek, orzeszkami, rurkami, wszystkim.

– A skąd wiesz o fokach? Nigdy ci nie mówiłam.

Jacob szarpie się za kołnierzyk seksownej pomarańczowej koszuli. Nie, skreślić „seksownej”.

Ma ten nawyk, zawsze kiedy ma przyznać się do jakiegoś przewinienia.

– Na rozmowie kwalifikacyjnej mówiłem ci, że cię sprawdzałem – mamrocze. – Doniesiono mi o twoim małym wybryku.

Doniesiono? No tak, pan milioner zatrudnił sobie detektywa. Czubek.

– Więc przez cały czas na tym durnym portalu... rozmawiałam z tobą? – Moim perfekcyjnie dopasowanym przyjacielem jest Jacob Parker? – To byłeś ty? – pryham.

Facet, którego podobiznę lepiłam kilka godzin temu i kłułam igiełkami, odprawiając rytuał wudu?

– A co z twoją wiarą w przeznaczenie? – Jego wstrętne gęba się rozpromienia. – Może to znak od losu, może życie stwarza nam okazję do...

Podrywam się z miejsca, zanim zdąży zakpić sobie ze mnie jeszcze bardziej.

Znowu wyszłam na totalną kretynkę.

– Mam gdzieś przeznaczenie i ciebie. – Zabieram torebkę i płaszcz, prawie wywracając przy tym puchowy fotel. – Wychodzę.

Jacob również się podnosi i niestety lezie za mną.

– Odwiozę cię – oferuje pojednawczo.

Przepycham się między stolikami i wypadam na zewnątrz. Rześkie wieczorne powietrze pomaga mi wyrównać oddech.

– Nie, dziękuję – odpowiadam.

Jacob wyprzedza mnie i zagradza mi drogę.

– Hope, proszę, porozmawiaj ze mną przez chwilę. – Łapie mnie za rękę. – Kilka minut temu świetnie się bawiłaś.

Ma rację, niestety. Kilka minut temu mój tajemniczy partner zdołał sprawić, że choć na chwilę oderwałam się od ponurych myśli. Przyszłam tu, żeby sobie udowodnić, że wcale tak bardzo nie cierpię przez Jacoba Parkera.

Przyszłam tu, żeby wystawić w jego stronę środkowy palec. I co? Wielkie, kurna, pstro.

Gromię go wzrokiem i wyrywam dłoń z jego palców.

– Bo nie wiedziałam, z kim mam do czynienia – syczę. – Zostaw mnie w spokoju. – Znów ruszam.

Jacob idzie obok mnie, żywo gestykulując.

– Przepraszam za to, co powiedziałem w tamtym barze. Wiesz, że nie miałem tego na myśli. – Znowu próbuje mnie złapać. – Zobaczyłem Sky z tym typem i...

Zatrzymuję się gwałtownie i odpycham go od siebie.

– Niczego nie łapiesz. Nie obchodzi mnie to zajście w barze. Mam je w dupie. – Teraz już prawie biegnę.

– To dlaczego tak się wściekasz? – Na jego twarzy pojawia się konsternacja. – Hope, nie odwracaj się do mnie plecami. – Owija ramię wokół mojej talii i szarpie mnie w tył.

Ta cholerna sukienka ciągnąca się aż do ziemi płcze mi się między nogami i sprawia, że się potykam.

– Pieprz się.

Dupek mruży oczy, wygląda na zirytowanego. On!

– Masz atak hysterii, czy coś? Bo zachowujesz się absurdalnie. – Uwalnia mnie z objęć, kiedy nie przestaję się szamotać.

– Absurdalnie? – powtarzam ze śmiechem. – William powiedział mi, co was łączy.

– Nic mnie nie łączy z tym...

– Zapominasz o tym, że oboje sypialiście z jedną kobietą. – Uśmiecham się sztucznie. – Zataiłeś przede mną, że Jasmine miała romans właśnie z nim.

Na moje słowa Jacob wzdryga się, jakbym go uderzyła.

Czuły punkt, dupku? Tak mi przykro.

Kłamca spogląda w nocne niebo. Czyżby szukał tam dalszych krętaćw?

– A jakie to ma znaczenie, z kim pieprzyła się moja narzeczona? – Podwija rękaw czarnej marynarki. – Pewnie nie był jedyny. Mam ją poprosić, żeby zrobiła dla ciebie listę swoich kochanków?

Czyli dalej zamierza zgrywać niewiniątko.

– Wiedziałaś, że byłam zainteresowana Williamem, dlaczego zataiłeś przede mną, z jakim dupkiem mam do czynienia? – Podchodzę do swojego jeepa i opieram się plecami o jego maskę.

– Miałaś świra na punkcie tego faceta. Wariowałaś, żeby tylko zwrócił na ciebie uwagę. – Wyrzuca ręce w górę. – Wątpię, żeby to miało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie.

Grzebię drżącymi dłońmi w torebce.

Gdzie się podziały te cholerne kluczyki?

– A ta cała farsa z udawanym związkim? Po co to wymyśliłaś? – Nadmiar emocji sprawia, że mój głos staje się zdławiony i roztrzęsony jak ja cała. – Zamiast mnie ostrzec, sam podałaś mu mnie na tacy. Dlaczego?

No dalej, dalej, dalej.

Torebka wymyka mi się z palców, a jej zawartość rozsypuje się na parkingu.

Bajecznie.

Przykucam i zaczynam zbierać rzeczy. Jacob też.

– Chciałaś go. Dokładnie tak jak moja narzeczona – odwarkuje. – Taki był twój wybór. Jej wybór. Skoro taki ktoś jak William jest spełnieniem waszych marzeń, kim jestem, żeby

je niszczyć?

Nie mogę.

Łzy zawisają na końcówkach moich rzęs, a ja mam ochotę zwinąć się w małą ciasną kulkę i szlochać do księżycyca. Jacob nie okazuje skruchy, ani trochę. Nie przeprasza, że z pełną świadomością pchnął mnie w stronę Williama.

– Ty sukinsynu. William miał rację. – Gniewnym ruchem ścieram łzę z policzka. – Wykorzystałeś mnie.

– Nie obwiniaj mnie o... – Urywa. Trzyma w garści moje klucze z podpiętymi do nich breloczkami. – Wciąż masz te rybki. Obie. – Jego oczy rozbłyskują, jakby znalazł skarb.

Tak. Mam. Dwie złote rybki, które подарowano nam na jachcie na pamiątkę rejsu. Swoją i tę, którą mi oddał. Jego trzy życzenia.

Zabieram kluczyk z jego garści i wstaję.

– Manipulowałeś mną – krzyczę. – Ale jaki miałeś w tym cel? Chciałeś oddać mnie Williamowi, żeby się mną zabawił i złamał mi serce? Żebyś mógł potem triumfować, że miałeś rację, a moje uczucia do niego były tylko głupotą? Żebym żałowała, że zwróciłam na niego uwagę? Żeby dotarło do mnie, jaka jestem głupia? – wyliczam, nie dbając już o to, że płaczę.

Jacob dotyka kciukiem mojego mokrego policzka.

– Co ty w ogóle...

Jego jeden dotyk sprawia, że dreszcz wspina się po moim kręgosłupie. Rozgrzewam się, jak gdyby zaproszył we mnie ogień. Dopiero po chwili opamiętuję się i go odpycham.

Nie ma prawa mnie dotykać. Już nie.

– Tak samo głupia jak twoja niedoszła żona, co? – pryham. – Mogła mieć ciebie, ale wybrała jego i ma to, na co zasłużyła. Dokładnie tak jak ja. O to w tym wszystkim chodzi, prawda? O nią, nie o mnie?

Jacob kręci głową.

– Nie, to nieprawda. Za kogo ty mnie masz?

– Za egoistę bez serca.

A ja prawie oddałam ci własne.

Szczelniej otulam się płaszczem. Wiatr się wzmaga. Chyba będzie padać. Zapowiadali burzę. Pora zbierać się do domu. Szkoda tylko, że ten dom jest zaraz obok jego domu. Choć nawet gdyby dzieliły nas oceany i kontynenty, nie zmniejszyłoby to mojego bólu.

Łapię za klamkę, by otworzyć drzwi auta, ale Jacob zaraz odrywa od niej moje palce i znów odwraca ku sobie.

– W porządku, nie chciałem mówić ci, że to z nim zdradzała mnie Jasmine, celowo to zataiłem. – Spogląda mi w oczy. – Ale nie z powodów, o których myślisz.

– To dlaczego?

– Ja... – Jego dłoń więzi moją jak imadło. – Ja...

– Ukartowałeś to.

– Co ukartowałem?

Wrywam mu się i ponownie próbuję wsiąść do jeepa, ale gdy tylko uchylam drzwi, ten dupek znowu zamyka je z trzaskiem.

Wystarczy.

– William powiedział, że chciałbyś się na nim zemścić. – Przez łzy nie widzę wyraźnie jego miny. – Chciałbyś?

– O co ci chodzi, Hope?

Śmieję się, ale mój śmiech szybko przeradza się w szloch.

– Rzeczywiście nie chciałeś, żebyśmy byli razem. Ja i William.

– Oczywiście, że nie chciałem. – Zawadza kciukiem o pasek mojego płaszcza. – Bo chciałem cię dla siebie, chyba dość jasno to okazywałem.

Nie da się zaprzeczyć.

– Tak, chciałeś mnie. – Obserwuję jego dłoń, która nie tak dawno pieściła mnie z taką czułością. – Jednak jednocześnie nie zamierzałeś dać mi prawdziwego związku i zaangażować się emocjonalnie – szepcze.

Jego ręce przemykają wyżej, wzdłuż moich ramion, aż na szyję. Znowu kręci głową.

– To...

– Bo tylko udawałeś – przerywam mu i wbijam wzrok w dal.

Otoczającą nas zewsząd ciemność oświetlają rzędy lampek w kształcie sów, biegnące od bramy wjazdowej aż do schodów restauracji.

Jacob łapie mnie za podbródek i zmusza do spojrzenia na niego.

– Co udawałem?

– Wszystko. Dosłownie wszystko. – Zdmuchuję kosmyk włosów z czoła. – Chciałeś sprawić, żeby William się mną zainteresował, ale tylko po to, żeby się na nim odegrać.

Na jego twarzy pojawia się grymas.

– O czym ty...

– Przecież dobrze wiedziałeś, że zaczynam się do ciebie przywiązywać. Dobrze wiedziałeś, że zdobywasz mnie kawałek po kawałku. – Uderzam pięścią w jego tors.

Rozpromienia się.

– Naprawdę?

Na horyzoncie niebo rozświetla błyskawica, a zaraz potem czuję, jak krople deszczu zaczynają mieszać się z moimi łzami.

– Więc jak to miało być? Jaki sobie wymyśliłeś koniec? – pytam. – William się mną zainteresuje, a potem ty mu mnie zabierzesz? Przeleczysz mnie i dopilnujesz, żeby się o tym dowiedział?

Czuję, jak jego uchwyt na mojej szyi przybiera na sile.

– Oszalałaś?

Deszcz moczy nas coraz mocniej. Mój płaszcz, sukienkę. Jego marynarkę. Włosy lepią mi się do policzków, ale prawie tego wszystkiego nie zauważam. Ogarnia mnie tak potężne zmęczenie i coś o wiele gorszego...

Upokorzenie. Bo zaczęłam zakochiwać się w mężczyźnie, dla którego byłam jedynie pionkiem w rozgrywce z jego wrogiem.

Szach-mat, Hope.

– Wtedy zrobiłbyś mu dokładnie to, co on tobie – rzucam ochrypłym tonem. – Tak właśnie to zaplanowałaś? Tym właśnie byłam? Narzędziem w twojej zemście?

Jego czarne oczy rozszerzają się w szoku.

– To nieprawda, Hope. – Rozgląda się, jak gdyby dopiero spostrzegł, że mokniemy. – Wsiądźmy do samochodu, porozmawiajmy o tym na spokojnie... – Otwiera mi drzwi, a ja wsuwam się na miejsce kierowcy. Jednak zanim zdąży wykonać jakiś ruch, blokuje drzwi i odpalam wóz.

Nasze spojrzenia spotykają się jeszcze na chwilę.

– Jak mogłeś mi to zrobić? – szepczę, a następnie odjeżdżam w mrok, obserwując we wstecznym lusterku jego rozmywającą się sylwetkę.

ROZDZIAŁ 23



JACOB

– Pańska była narzeczona chce pana widzieć. – Głowa Hope pojawia się w szparze między drzwiami.

Na chwilę mnie zatyka i tracę wątek. Mimo że jest już południe i oboje pracujemy od kilku godzin, to pierwszy raz dziś widzę Hope. Pierwszy raz, odkąd wczoraj ode mnie uciekła. Do tej pory umiejętnie mnie unikała.

Uparta istota powinna siedzieć za biurkiem tuż obok mojego gabinetu, ale ilekroć go opuszczałem, ona rozpływała się w powietrzu. Swoje obowiązki wykonywała przy tym bez zarzutu i odpowiadała tylko na maile dotyczące moich poleceń.

Nie mam pojęcia, co wymyśliła, ale zaczynam podejrzewać, że może nawet siedzieć nad dokumentami w pieprzonym kiblu, byle tylko dalej ode mnie.

Unika mnie. A ja mam ochotę ją po prostu udusić.

Albo całować tak długo i często, aż z jej głowy wyparują te pojebane pomysły o jakiejś zemście, którą rzekomo dokonywałem na tym dupku Millerze. Nie przeczę, że był taki czas, kiedy chciałem urwać mu łeb i powiesić nad kominkiem jako dowód swojego triumfu, ale już mi przeszło.

Usta Hope się poruszają, a ja uświadamiam sobie, że wciąż coś do mnie mówi, a ja nie słucham. O czym to ona...?

– Jest tutaj?

Rudzielec ogląda się za siebie i otwiera szerzej drzwi.

– Wrzeszczy na wszystkich na korytarzu. – Robi minę słodkiej złoźnicy.

Prawie się uśmiecham, ale wtedy rzeczywiście docierają do mnie odgłosy piskliwych krzyków Jasmine.

Chryste, czy ta kobieta nigdy się nie odpieprzy?

Wstaję zza biurka i wychodzę z gabinetu, szykując się na kolejne starcie. Blondynka stoi przy windach i drze się jak opętana na Ciarę i dwóch ochroniarzy, których

najwyraźniej wezwała.

– Jasmine? Możesz przestać awanturować się z moimi pracownikami? – odzywam się i już czuję bolesne pulsowanie w czaszce.

Moja eks okręca się na swoich szpilkach chuj wie jakiej marki, ale zapewne wartych więcej, niż zarabia cały mój dział kreatywny. Ciemnozielona suknia sunie za nią po podłodze niczym chrzaniony grzechotnik.

– Nie chcieli mnie wpuścić – skarży się, wykrzywiając wargi.

Posyłam jej beznamiętny uśmiech.

– Wypełniali moje polecenie – oznajmiam. – Nie pozwoliłem ci wejść. – A następnie kiwam głową na do Ciary i mężczyzn z ochrony.

Sam się z nią uporam. Albo wyskoczę z okna. Jeszcze nie wiem.

Jasmine wpada do mojego gabinetu i natychmiast zaczyna tryskać jadem.

– Nie pozwolę ci się tak upokarzać. Nie będę samotną matką.

Przechodzę obok niej i ponownie sadowię się na fotelu za biurkiem.

– To idź do ojca tego dziecka. Mam ci jakoś pomóc? – Spoglądam na nią. – Zapłacić mu, żeby znosił cię do końca swoich dni? Nie jestem pewien, czy moja fortuna wystarczy.

Blondynka wbija paznokcie w obicie drugiego fotela i nadyma policzki.

– Mam dość twoich żartów. Żądam, żebyś wziął odpowiedzialność za mnie i za nasze dziecko.

Sięgam po filiżankę z espresso i upijam łyk. Łupanie w czaszce powoli zaczyna przypominać odwiert trepanacyjny, a ona jest tu dopiero od jakichś czterech minut.

– Czyli co mam zrobić? – pytam.

– Ożenić się ze mną, oczywiście.

Parskam śmiechem, ochlapując kawą moją białą koszulę od Armaniego.

Bomba.

– Spójrz tylko. Już miałabyś to, czego chcesz. – Wyjmuję z szafki chusteczki i zaczynam wycierać plamy. – Gdybyś tylko pozostała mi wierna przynajmniej do ślubu. – Błyskam kolejnym uśmiechem.

Jasmine obchodzi biurko.

– Jacob, to był błąd. Żałuję. – Wyjmuje mi z rąk chusteczkę i sama zaczyna pocierać wilgotne plamy. – Kocham cię.

– Rozplączesz się jeszcze dla lepszego efektu?

Rzuca serwetkę na blat i przyciska dłoń do mostka.

– Jak możesz mnie tak traktować? Jesteś okrutny. – I jej oczy naprawdę zaczynają błyszczeć.

Będzie ryczeć. Jezu, kurwa, Chryste. Za jakie grzechy?

– Więc trzymaj się ode mnie z daleka – radzę.

Jasmine dotyka palcami mojego bicepsa.

– Pamiętasz, jak nam było razem dobrze? Byliśmy tacy szczęśliwi...

– I właśnie dlatego planowałam ze swoim kochankiem, jak oskubać mnie z kasy? – wtrącam, zanim zdąży się rozkręcić.

Mam kupę roboty. Muszę skończyć przeglądać poprawki w reklamach perfum De Roe, a przede wszystkim jakoś przekonać bardzo zawziętą i obrażoną rudowłosą wróżkę, że za nią szaleję. Więc na fanaberie Jasmine mam jeszcze co najwyżej dwie minuty.

– Przecież ty też nadal mnie kochasz, wiem to.

Wcale. Teraz wątpię, czy w ogóle kiedykolwiek ją kochałem. Może miałem jakieś zaćmienie umysłu.

Odrącam jej dłoń.

– Przestań, Jasmine. Nie rozumiesz, że już nikogo na to nie nabierzesz?

Jej postawa się zmienia. Prostuje się i patrzy na mnie z wyższością godną królowej.

– Dobrze. – Zadiera podbródek. – Jeśli nie zrobisz tego, co należy, ja zrobię to, co należy. Pójdę do prasy i zrujnuję ci reputację.

Aha, pora na część drugą. Czyli groźby.

Uśmiecham się, szczerze rozbawiony.

– Kilka miesięcy temu prasa pisała o tym, jak to zostałem porzucony niemal przed ołtarzem. – Zdejmuję mokrą marynarkę i wieszam ją na oparciu krzesła. – Założę się, że rzeczywiście chętnie napiszą teraz o tym, jak to wreszcie nabrałem rozumu i kazałem ci się odpieprzyć.

Na twarzy blondynki odbija się ledwo powstrzymana nienawiść.

– Ty draniu! – krzyczy.

– Nie dramatyzuj. Mam lekarza, który sprawdzi, czy jestem ojcem tego dziecka. – W co wciąż wątpię. – O reszcie porozmawiamy po wynikach. – Ostentacyjnym ruchem otwieram laptop i spoglądam na rozłożone na blacie dokumenty, by dać jej do zrozumienia, że dyskusja właśnie się skończyła.

– Jeśli potrzebujesz dowodu i mi nie ufasz, nigdy się nie zgodzę na te badania, a ty nigdy nie zobaczysz swojego dziecka.

Kolejny szantaż.

– Albo testy, albo wychowuj je sama. Nie ożenię się z tobą, nawet jeśli testy wykażą, że dziecko jest moje – oznajmiam beznamiętnym tonem, a później pstrykam palcami w kierunku wyjścia.

Żegnam.

Jasemine przechodzi przez pokój i otwiera drzwi, prawie wyrywając je z zawiasów.

– Zniszczę cię – wrzeszczy i odchodzi.

Nareszcie.

W drzwiach ponownie pojawia się Rudzielec, tuląc w ramionach stos jakiś papierzysek.

– Problemy w rajku? – pyta kąśliwie.

Czuję, jak kącik ust drga mi w uśmiechu. To pierwsza uwaga w stylu wróżki zębuszki tego dnia.

– Wezwij do mnie Ciarę – proszę.

Kiwa głową.

– Oczywiście, proszę pana – mówi, sprawiając tym swoim „proszę pana”, że mam ochotę dać jej klapsa. – Jakiś błąd w materiałach do reklamy perfum De Roe? – docieka, kiedy zauważa, czym się zajmowałem.

Zerkam na czarną teczkę ze złotym nadrukiem DE ROE.

– Nie, wręcz przeciwnie. Zostały idealnie poskładane. – Uśmiecham się. – Przeszły ostateczną selekcję. Jutro biorą się do nagrywania.

Hope również na moment zapomina o dąsaniu się na mnie i odwzajemnia mój uśmiech. Chwilę później do gabinetu nieśmiało zagląda Ciara, która musiała przechodzić niedaleko i nas usłyszeć.

– Naprawdę? To wspaniale, tak się bałam, że nie uda się tego uratować. – Porywa moją asystentkę w objęcia. – Dziękuję, Hope.

Zaraz, jak to „Dziękuję, Hope”?

Przypatruję się czujnie obu kobietom.

– Hope ci pomogła?

– Pomogła? Odwaliła większość roboty. Była fenomenalna. – Ciara prawie podskakuje z radości. – Masz umysł geniusza, dziewczyno. – Znowu ją ściska, a później zwraca się ku mnie. – Hope zasłużyła na nagrodę, panie Parker.

To ona to wszystko zrobiła? I nie zamierzała pisać ani słówka?

– Nie martw się tym. Już ja ją wynagrodzę. – Przewiercam Hope wzrokiem. – Zapraszam do mojego gabinetu.

Rudzielec wchodzi dumnie, a ja zatrzymuję ją przy drzwiach.

– Jeśli mogę sobie wybrać nagrodę, poproszę dzień wolny i ciasto czekoladowe z tej włoskiej restauracji.

Nie mam pojęcia, co zrobić z tą dziewczyną. Część mnie chce się złościć, że zamierzała mnie oszukać i pozwolić komuś innemu zgarnąć zasługi za swoją ciężką pracę, ale inna część jest pod wrażeniem.

– Wolałbym nagrodzić cię pocałunkiem – odpowiadam z uśmiechem.

– Tym nie jestem zainteresowana.

Kłamczucha.

– Nie miałaś zamiaru powiedzieć mi, że to ty odzyskałaś materiały do tej reklamy, tak?

– To nie miało znaczenia.

– Oczywiście, że miało. Świetnie się spisałaś. – Podchodzę do niej tak blisko, że nasze twarze oddzielają zaledwie milimetry, a oddech Hope owiewa moje wargi.

I przyspiesza.

– Czy mogę już wrócić do swoich obowiązków? – pyta, zatrzymując wzrok na poziomie mojego torsu. Nie chce patrzeć mi w oczy, bo wie, że znajdzie w nich odbicie własnych pragnień.

Cholera, tak bardzo za nią tęsknię. Za jeden jej pocałunek mógłbym na tysiąc lat wpaść do piekła.

– Nie traktuj mnie tak, jakbyś nie mogła mnie znieść – mówię ostrym tonem. – Bo tego ja nie mogę znieść.

– Gdyby mógł pan odsunąć się od drzwi. – Wciąż na mnie nie patrzy.

A ja nie wytrzymuję. Przyciągam ją do siebie i przyciskam plecami do ściany tuż obok wyjścia, wyłapując jedynie, jak wciąga haust powietrza.

– Skończ z tym. Doprowadzasz mnie do szału. – Obrysowuję kciukiem zarys jej warg. – Wiesz, co mam ochotę z tobą zrobić?

Rudzielec w końcu odwzajemnia moje spojrzenie, pałając gniewem.

I dobrze, wolę ją taką niż obojętną i odległą.

– Jeśli nie akceptuje pan profesjonalnej relacji między nami, w każdej chwili gotowa jestem złożyć wypowiedzenie i odejść z pracy.

Śmieję się na tę groźbę. Nigdy bym nie pozwolił jej odejść z pracy.

Nigdy bym nie pozwolił odejść jej ode mnie.

– Tylko spróbuj.

Hope odwzajemnia mój uśmiech z równą zaciekłością.

– Jak pan sobie życzy, panie Parker – syczy.

Przyciskam usta do jej ucha i rozkoszuję się odczuciem przeszywającego ją na mój dotyk dreszczu.

Tak, mała, piękna czarownico, wciąż jesteś moja.

– Możemy na chwilę wrócić do tego momentu, kiedy mówisz, że zdobywałem cię po kawałku? – proszę łagodniej.

– Nie mamy do czego wracać, skoro to wszystko było kłamstwem.

Kręcę głową.

– Co ty sobie uroiłaś? Że mógłbym cię mu oddać? – Nasze usta prawie się stykają. – Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

Hope wbija mi paznokcie w barki i odpycha od siebie.

– Nie jestem twoja. Nigdy nie byłam i nie będę.

– Ja się nie poddam, Hope.

Zamiera. Cokolwiek słyszy w moim głosie, nie ma wątpliwości, że zamierzam dotrzymać tej obietnicy. Odzyskam ją.

Nawet jeśli zapełni kwiatami ode mnie kosze na całym osiedlu. Co może próbować zrobić, znając jej temperament i biorąc pod uwagę to, że kosz róż, który zaniósłem dziś o świcie pod drzwi jej domu, zauważyłem w śmieciach, kiedy jechałem do pracy.

– Nawet wtedy, kiedy podeślę ci swoje zdjęcie z łóżka Williama? – odzywa się.

Jej słowa docierają do mojej świadomości z dziwnym oporem, jak gdyby mój umysł za żadną cenę nie chciał ich do siebie dopuścić.

A później zalewa mnie taka furia, że wystarczyłoby jej, by wywołać pieprzone trzęsienie ziemi.

– Coś ty, kurwa, powiedziała? – krzyczę, a ona odwraca się i wychodzi. – Hope, wracaj tutaj!

Grozi mi, że prześpi się z tym sukinsynem?

Nie zrobi tego. Nie mogłaby. Gdzieś w głębi wiem, że nie, ale fakt, że powiedziała coś takiego, znając moją historię... Sprawia, że coś we mnie zostaje kompletnie i nieodwracalnie roztrzaskane.

ROZDZIAŁ 24



HOPE

Dam radę. Dam radę. Dam radę.

Oczywiście, że kurna, nie dam rady.

Droga Panno Vitteli,

ostrzegam uczciwie, że jeśli nie zaprzestaniesz traktować mnie tak oziębłe, wymierzę do Ciebie ze wszystkich dział. Jestem niezły w taktykach wojennych.

A przeznaczenie mi pomoże, bo ono jest po mojej stronie :)

Przepraszam, że Cię zraniłem. Jesteś najważniejsza.

J.P.

Chrzaniony sukin... szop. On nawet nie wierzy w przeznaczenie.

A jednak ja ciągle gapię się w słowa: „Jesteś najważniejsza”.

A to tylko jeden z wielu jego maili. I prezentów. I telefonów. Już prawie spodziewam się, że zatrudni gołębia pocztowego, żeby zastukał dziobem w szybę i mi coś dostarczył.

Droga Panno Vitteli...

Jesteś ważniejsza niż żołądź dla wiewiórek, bez Ciebie smuci się mój...

I kolejny mail o treści:

Ogórek...

Z wyrazami szacunku

J.P.

Nie daję rady. Zaczynam się śmiać. Jednak szybko przestaję na widok...

– Proszę bardzo. – Ciara stawia na moim biurku kosz z bukietem kwiatów. – To już czwarty dzisiaj – piszczy podekscytowana.

Niestety ja nie podzielam jej entuzjazmu. Mam za to ochotę kogoś zamordować.

Wszyscy sprzyśli się przeciwko mnie. Moje koleżanki z biura, a nawet Quinn, której próbowałam się zwierzyć w przerwie na lunch. Usłyszałam jednak tylko: „Może dasz mu jeszcze jedną szansę, mielibyście śliczne dzieci, którym podarowałabym stado fretek”.

No jasne, wielkie dzięki!

– Sprawdzalam w twojej teczce, nie masz dziś urodzin, a więc skąd te prezenty? – U boku Ciary wyrasta Lili, koleżanka pracująca piętro niżej. – Tajemniczy wielbiciel?

Gapię się na kwiaty. Są piękne i pachną cudownie.

Część mnie pragnie przytulić je do piersi i wdychać ich aromat, ale inna chce porwać je z blatu i zacząć odrywać im płatki jeden po drugim, żeby jakoś rozładować nieład emocjonalny pustoszący moje wnętrze.

– Niestety, nie tajemniczy i na pewno nie wielbiciel, a co najwyżej wrzód na mojej dupie – warczę i zestawiam kwiaty na podłogę.

Obok stoją już trzy identyczne bukiety róż w każdym możliwym odcieniu. Dostaję kolejny kosz z kwiatami punktualnie co godzinę.

Ciara pochyła się nad biurkiem.

– Kim on jest? – szepcze.

Skupiam uwagę na ekranie laptopa.

– Przerwa na lunch skończyła się kilka minut temu. Muszę pracować.

Nie ma mowy, żebym zdradziła im, kto od rana zasypuje mnie prezentami. Romans z szefem byłby sensacją większą niż wyłowienie z wód Pacyfiku pirackiego statku wyładowanego po brzegi złotem.

Poza tym ten sam ktoś prawdopodobnie nie dożyje zachodu słońca, więc nie mogę zostawiać śladów, jeśli nie chcę iść do paki.

– Pani Vitteli? – Przy moim stanowisku pracy zatrzymuje się kurier w czerwonej kurtce i dopasowanej do niej czapeczce.

Nie. Nie. Nie. Błagam.

– Tak, to ja. O co...?

– To dla pani. – Mężczyzna wpycha mi w ręce niewielki kartonik. Kiwa głową na pożegnanie i znika.

Od razu rozpoznaję logo widniejące na pudełeczku.

– Twoje ulubione ciasto czekoladowe – piszczą obie jednocześnie.

Uchyłam wieczko z moim ukochanym deserem, który można zamówić tylko w jednej restauracji w mieście.

– Zabiję go, jak Boga kocham. – Walę czołem o blat biurka. – Uduszę tym absurdalne drogim krawatem.

Jestem wkurzona i rozstrojona. Ten mężczyzna... niedługo doprowadzi do tego, że mi odbije. Już czuję się trochę niezrównoważona i to wszystko przez niego. Przez te jego podarunki, maile i uśmiechy, które mi rzuca za każdym razem, kiedy mnie widzi.

Walczę ze sobą, żeby nie wpaść do jego gabinetu i nie zacząć wrzeszczeć na całe gardło.

Bo powoli mięknę. Mur, którym chciałam odgradzić się od Jacoba, zaczyna się kruszyć i pewnie zamiast na niego wrzeszczeć, wpełzłabym mu na kolana i... cóż, skończyła bez ubrań.

– Jak myślisz, co jeszcze dziś dostanie do biura? – zagaduje Lili Ciara. Obie szepczą między sobą, a ja nie słyszę dokładnie. Później zaczynają chichotać.

Lili przysiada na krawędzi mojego biurka.

– W firmie krążą zakłady o kolejne podarunki od twojego... od tego kogoś, kimkolwiek jest – nuci śpiewnym tonem.

Posyłam im srogie spojrzenie.

– Wracajcie do siebie i ani słowa o prezentach, bo nakabluję na was szefowi.

Brwi Ciary znikają pod grzywką.

– A może... – Trąca palcem pudełeczko z ciastem. – To on ci wysyła te wszystkie podarunki?

Kurna...

– Dość tego. – Zatrząskuję kartonik z deserem.

Zdrajczynie. Podobnie jak mój żołądek, który głośno domaga się kaska tego smakołyka. Muszę mieć tu gdzieś łyżeczkę, ale jeśli wezmę choćby okruszek, ulegnę i pożrę je całe, a to będzie oznaczało kapitulację w mojej wojnie z Jacobem.

Czy mogę zjeść to ciasto dyskretnie, następnie zwalić jego zniknięcie na wygłodniałego yeti, który grasował w agencji w poszukiwaniu jedzenia?

– Widziałam, jak między wami iskrzyło. – Ciara wiedzie zazdrosnym wzrokiem w stronę bukietów. – Czy to pan Parker? – świergocze.

Chyba ukatrupię dzisiaj więcej niż jedną os...

– Pan Parker stoi za wami – rozbrzmiewa niespodziewanie męski głos.

Kurna razy dwa.

Moje koleżanki odwracają się, zatrwożone.

Jednak Jacob patrzy na mnie. Tylko na mnie. Jego intensywne spojrzenie przesuwa się po moim ciele i rozsiewa setki małych iskierek na mojej skórze.

Mam ochotę się podrapać.

Niech go diabli!

– Dzień dobry, szefie – wita się Ciara. – My tak tylko... Przyszliśmy po to. – Łapie w ręce odświeżacz powietrza i przykleja na twarz uśmiech.

Lili w przyпіływie desperacji również zagarnia pierwszą rzecz, jaka wpada jej w ręce.

– I to.

Jacob odchyła głowę, kiedy Lili prawie zdziela go w nos, żeby zademonstrować mu zdobyty przedmiot.

– Zszywacz i odświeżacz powietrza? – odpowiada.

Nuta rozbawienia w jego głosie sprawia, że wybucham śmiechem.

– Do widzenia – odpowiadają jak idealnie zsynchronizowane roboty i uciekają na korytarz.

Zostajemy sami. A chęć podrapania się tylko się wzmacnia.

Jak ten facet to robi? Jedno spojrzenie, a ja mam wrażenie, że obsiadła mnie chmara trzepoczących skrzydełkami chrabąszczy.

Odchrząkuję. Nie dam się zbić z tropu.

– Budzisz taki postrach, że przegnałbyś nawet rekina ludojada. – Uśmiecham się sarkastycznie, a później dodaję: – Proszę pana.

– Twój upór zaczyna mnie poważnie drażnić. – Wyciąga coś srebrzystego zza pleców. – A kiedy jestem rozdrażniony, nabieram dziwnej ochoty, żeby cię ugryźć. – Wbija łyżeczkę w ciasto czekoladowe, które mi kupił, i częstuje się kawałkiem.

Ma łyżeczkę! I zjada moje ciasto! A to wstrętny, podstępny gad.

Mruczy głośno, rozkoszując się smakiem, aż wreszcie daję za wygraną i wyrywam mu sztuciec.

– Ma pan dla mnie jakieś polecenie? – Sama błyskawicznie pochłaniam wielki kęs ciastka.

Jacob szczyrzy zęby.

– Podobały ci się prezenty?

Bardzo. Prawie wypowiadam to słowo. Na szczęście w porę się opamiętuję.

– Musisz natychmiast z tym skończyć, inaczej zaczną się plotki – rzucam zamiast tego.

Liczę, że lęk o własną reputację trochę go przystopuje. W końcu nie każdy patrzyłby przychylnie na nasz związek, na przykład jego klientki, na czele z Laurą Devito.

– Ojej i co ja wtedy zrobię. – Robi minę, ale zaraz parska śmiechem i znika w swoim gabinecie. Na całą minutę. – To dla ciebie. – Wraca z kolejnym pudełkiem. O wiele większym niż kartonik z ciastem. Białym, obwiązanym czerwoną wstęgą.

Wiercę się na fotelu, zalewa mnie fala wręcz panicznej ekscytacji.

– Co w nim jest?

– Otwórz i sprawdź. – Przesuwa pudełko po biurku.

Zerkam to na nowy prezent, to na cztery kosze z kwiatami i czuję się zupełnie bezradna.

Kurna razy trzy.

Już po mnie.

Z wahaniem otwieram pudełko. Spodziewam się czegoś pomiędzy wibratorem a bombą atomową, a tymczasem... Moim oczom ukazuje się zwitek materiału.

Co jest?

Wyciągam zawiniątko, a wtedy dociera do mnie, że trzymam ciemnoróżowy, koronkowy wyzywająco powycinany... Komplet bielizny. Ten drań kupił mi bieliznę. Znowu.

Déjà vu.

– Odbiło ci? Żeby mi w biurze podrzucać takie bezeceństwa – piszczę i ze zgrozą ładuję koronkę z powrotem do pudełka. – Tu są kamery! – Namierzam jedną, która na sto procent wszystko zarejestrowała.

Z zażenowania palą mnie policzki. Co za osioł!

– Zawstydziałaś się? Moim zdaniem wyglądałabyś w niej cholernie zmysłowo – mówi, zniżając głos. – Kupiłem ją w tym samym sklepie z bielizną, w którym...

Wrzucam karton pod biurko i zabieram płaszcz z wieszaka.

– Wychodzę.

– Jest dwadzieścia minut za wcześnie. Nie pozwalałam.

Zawracam w stronę biurka. Ku uciesze Jacoba. Chwilowej.

Biorę ciasto, o którym wcześniej zapomniałam, i znowu maszeruję w stronę wind.

– No to mnie wywal. – Uśmiecham się. – Dokąd się wybierasz? – Uśmiech zmienia się w grymas, kiedy słyszę za sobą jego kroki.

– Zjadę z tobą. Mam coś do załatwienia na dwudziestym drugim. – Naciska guzik przywołujący windę.

– No to im współczuję. – Wachluję niewinnie rzęsami.

Jacob nie zwraca na to uwagi. Ładuje się do windy zaraz za mną i wyciąga telefon komórkowy.

– Dzień dobry – przemawia do kogoś, poprawiając swojego rolexa na nadgarstku. – Tak, właśnie jestem w windzie. Teraz byłoby świetnie. Dziękuję.

Winda zjeżdża, a ja odsuwam się w jej najdalszy kąt. Dla własnego bezpieczeństwa. Nie można ufać temu typowi, zwłaszcza w ciasnych zamkniętych pomieszczeniach, gdzie jego obecność mnie wręcz przytłacza, a zapach karmi moje libido.

– Nigdy więcej nie wywijaj mi takich numerów – burczę, mając na myśli te jego wszystkie podarki, a zwłaszcza ostatni.

Który prawie mnie wykończył.

– Ja tylko walczę o to, czego chcę – odpowiada zaraz po rozłączeniu się.

Mocniej napieram plecami na zimną ścianę.

– Przykro mi, ale sto bukietów kwiatów, ciasto czekoladowe i pudło z bielizną w niczym ci nie pomogą.

Jacob wzdycha.

– Gdybyś tylko posłuchała mnie przez kilka minut bez warczenia i próby ucieczki...

Następuje gwałtowne szarpnięcie, przez które prawie się wywracam, a później winda staje.

– Co się dzieje? – Poprawiam kwiecistą sukienkę.

Jacob zerka na sufit.

– Winda się zatrzymała.

– Zepsuła się?

Spokojnie. Tylko spokojnie. Na pewno zaraz znowu ruszy.

O Boże. Coś wybucha w okolicy mojej klatki piersiowej.

– Nie, to ja kazałem zawiesić ją między piętami, żebyś nie mogła mi zwać – oznajmia jak gdyby nigdy nic.

Kazał zatrzymać tę metalową trumnę?

– Mam klaustrofobię – mówię.

I to całkiem serio. Paranoiczny, zakorzeniony we mnie strach sprawia, że zaczynam tworzyć w głowie makabryczne scenariusze, że kończy nam się tlen albo że będziemy tu uwięzieni, dopóki nie zmienimy się w dwa szkielety.

Jacob ujmuje mnie za rękę. Tę, w której nie miałem kartonika z ciastem.

– Nie bój się, ochronię cię przed ciasnymi pomieszczeniami. – W jego tęczęwkach miga rozbawienie.

– Każ im ją uruchomić.

– Dopiero jak mnie wysłuchasz.

No nie wierzę! Co za kutas! Jeśli myśli, że to sprawi, że mu wybaczę, to się grubo myli. Właśnie stracił wszystkie punkty, które mu dziś przyznałam.

– Słucham – warczę. – Masz minutę. Minutę, Jacob. Radzę powiedzieć coś właściwego.

Nie kłóci się, wpatruje się tylko w nasze splecione palce i przystępuje do ataku.

– Wszystkie te powody, o których myślisz... Motywy, które mi zarzucasz w tej całej sprawie z Williamem, że chciałem się zemścić albo złamać ci serce i dowieść, że miłość to głupota... – zaczyna. – To wszystko nieprawda, to nie dlatego nie powiedziałem ci o jego romansie z moją byłą narzeczoną.

– Więc dlaczego?

– Bo... Od pierwszej chwili... – Kreśli wzory na grzbiecie mojej dłoni. – Już wtedy na tym statku, kiedy zobaczyłem cię w tej sukience z napisem, że przeznaczenie nigdy się nie myli... Już wtedy coś we mnie wiedziało, że mogłabyś sprowadzić na mnie katastrofę stulecia.

Czy on błaga o wybaczenie, czy mnie obraża?

– Trzydzieści sekund, dupku.

– Że mogłabyś sprowadzić katastrofę na moje serce – dodaje. – Zgnieść je o wiele mocniej, niż Jasmine kiedykolwiek byłaby w stanie.

Nie potrafię zaczerpnąć tchu.

– Co?

– A chwilę potem wtargnęłaś do mojego gabinetu i pomyślałem sobie, że może ten głupi napis na twojej sukience coś znaczył. – Wciąż patrzy tylko na nasze złączone palce. Pieści moją skórę. – Ale później powiedziałaś mi, że pragniesz innego faceta. Faceta, którego wołała też moja narzeczoną. – Dopiero teraz na mnie spogląda, ale jego twarz... wyraża tak wielkie rozczarowanie, że skręca mnie w środku.

Bo to rozczarowanie sobą samym.

– Jacob, nie...

– I najzwyczajniej w świecie wstydziałem się o tym powiedzieć. – Na jego ustach wykwita smutny uśmiech. – Było mi wstyd nawet przed samym sobą, że to się znowu dzieje. Że najwyraźniej William miał wtedy rację. Nie potrafię dać kobiecie, której pragnę,

tego, czego potrzebuje. – Zawadza kciukiem o moje bransoletki, a ja wiem, że bawiąc się nimi, chce mieć pretekst, żeby ukryć swoją bezbronność. Widzę to wszystko.

Właśnie podał mi na tacy całą godność, żebym mogła ją zniszczyć, jeśli tylko zechcę.

– Potrafisz. Właśnie to zrobiłeś – szepczę i całuję go.

I tak oto Jacob Parker znowu zarzucił lasso na moje serce. Schwycił je.

Oby tylko nie zechciał go już nigdy uwolnić...

ROZDZIAŁ 25



JACOB

Kolejny dzień zapowiada się wspaniale, jest słonecznie i spokojnie, więc zdaje się, że pogoda kibicuje naszym dzisiejszym planom.

– Zapraszam – mówię, wprowadzając ją na mój jacht.

Hope wchodzi na pokład wolniej od kulawego zółwia, zupełnie jak gdybym proponował jej wycieczkę w paszczę lwa, a nie wspólny rejs.

Rozgląda się czujnie dookoła, chłonie wszystko, powiewające na wietrze żagle, dziób, rufę, kokpit.

– Próbujesz mi zaimponować? – droczy się.

Ujmuję ją za dłoń i wprowadzam nieco dalej.

– Już dawno straciłem nadzieję, że to w ogóle możliwe, czarownico. – Obejmuję ją w pasie i całuję. Na jej wargach wciąż wyczuwam posmak wanilii i truskawki. Zanim tu przyszedliśmy, pałaszowała lody.

Jej pomalowany szkarłatnym lakierem paznokciec przesuwają się wzdłuż guzików mojej koszuli.

– Nie nazywaj mnie tak – mruczy i przeciąga ustami po mojej szczęce.

Podpuszczalska.

Chwytam jej dolną wargę między zęby i przygryzam delikatnie.

– To pieszczotliwy zwrot, wróżko zębuszko.

Rudzielec znowu się rozgląda. Zdaje się, że chciwie chłonie wrażenia. Chyba naprawdę się cieszy tą wyprawą. Jeszcze nigdy nie wiedziałem w jej oczach takiej radości.

Fakt, że ja jej to daję, napawa mnie dziwnym poczuciem spełnienia. Czuję, że to właśnie powinienem robić. To właśnie chcę robić. Zadowalać ją. Uszczęśliwiać. Dawać jej to, czego potrzebuje, o czym marzy.

To prawie tak, jak gdyby mój świat zaczął wirować wokół tej kobiety. Dla niej.

– Jak nazywa się ten jacht?

– Estrella.

– Gwiazda. – Obraca się, żeby wyrzeć za barierki i dostrzec wygrawerowaną nazwę. – Ładnie, romantycznie. Dokąd płyniemy? – Znowu podbiega do mnie i zarzuca mi ręce na szyję.

Podoba mi się jej fascynacja. Nikt jeszcze tak entuzjastycznie nie reagował na zwykłe wypłynięcie w morze na kilka godzin, a ona traktuje to jak coś wielkiego.

– Zabieram cię w rejs, żebyś wreszcie mogła zobaczyć te swoje delfiny. Tego właśnie chciałaś, prawda? – Zbliżam się do steru i zabieram się za uruchamianie łodzi. – Jak to leciało? Kiedy spełni się to jedno twoje małe marzenie, będzie to znak od losu, byś odważyła się spełnić kolejne, większe – cytuję żartobliwie.

Ona jednak rozdziawia usta i patrzy na mnie z podziwem.

– Pamiętasz to? – piszczy. – To dlatego to wszystko zaplanowałeś? Dla mnie?

Okręcam odpowiednio ster. Wcześniej już sprawdziłem cały osprzęt pokładowy i konsole pomiarowe, więc pozostało tylko wypłynąć na głębokie wody. Łódź zaczyna powoli sunąć po błękitnej tafli morza, zostawiając za sobą zatokę. Zwykle mam ze sobą na statku pomocnika i to on się wszystkim zajmuje, a ja zaszywam się w kajucie pod pokładem albo rozsiadam się na rufie i cieszę widokiem spienionych fal, ale tym razem zależało mi na tym, żeby zostać z Hope sam na sam.

Ponownie skupiam uwagę na mojej pięknej dziewczynie.

– Dam ci wreszcie te twoje delfiny, żebyś mogła przystąpić do realizacji kolejnego marzenia.

– Dziękuję. Jesteś cudowny, że to wszystko dla mnie robisz. – Przytula mnie, a jej rozwiane wiatrem włosy łaskoczą mnie po całej twarzy.

Wygląda oszałamiająco. W śnieżnobiałej sukience, która nadyma się od wiatru, kojarzy mi się trochę ze zjawą. I dobrze. Bo jej piękno jest niemal nierzeczywiste.

Obserwuję, jak przechadza się po pokładzie, gładząc palcami barierki.

– Nie przesadzaj, to tylko krótka wycieczka na morzu – mamrocę. – Chcesz stanąć za sterami?

Śmieje się i kręci głową.

– Może innym razem.

– Boisz się?

Zakłada trzepoczący na wietrze kosmyk włosów za ucho. Jej rude loki skrzą się na słońcu tysiącem różnych odcieni.

– Kręcisz mnie w roli kapitana.

Skoro tak stawia sprawę... W końcu bardzo lubię ją nakręconą, a jestem tu przecież po to, żeby zaspokajać jej potrzeby. Zwłaszcza te zbereżne.

– W takim razie tu zostanę – mówię. – Ale ty podejź bliżej.

Hope robi jeden malutki krok w moim kierunku.

– Jeszcze? – Jej ton nabiera słodkiej kokieterii.

– Zdecydowanie.

Znowu robi niewielki krok.

Wygląda na to, że przejrzała moje nieczne zamiary i chce się nade mną znęcać.

– Tak sobie myślę... – zaczyna, stukając się opuszką w brodę.

Cofam się za ster.

– Oho, wyczuwam nadchodzące zagrożenie.

– Głupek – chichocze. – Zastanawiałam się, ile dziewczyn przeleciałeś na tym jachcie?

Poważnie? Czy mnie nabiera?

– Jesteś zazdrosna?

Jej zielone oczy próbują przeszyć mnie na wskroś.

– Szczerze mówiąc, tak – przyznaje, zupełnie mnie zaskakując. – Nagle jestem zazdrosna o każdą kobietę, której kiedykolwiek dotykałeś.

A więc jednak to na serio.

Zaczynam szczyżyć zęby jak jakiś kretyn, którym właściwie jestem, bo dwie sekundy temu ta kobieta kompletnie mną zawładnęła.

Nagle jestem zazdrosna o każdą kobietę, której kiedykolwiek dotykałeś.

Jeśli do tej pory jakaś częśćka mnie zdołała obronić się przed byciem jej niewolnikiem, to wszystko teraz przepadło.

Tak naprawdę teraz, kiedy tak przede mną stoi, seksowna i uroczo nadąsana z powodu innych kobiet, ja nie mogę sobie przypomnieć żadnej z nich. Nie pamiętam ich dotyku, pocałunków. Niczego.

Wymazała je z mojej głowy.

– Nie wiedziałem, że jesteś taka zaborcza. – Przyciągam ją do siebie i obejmuję. – To seksowne, kochanie. – Przywieram ustami do jej gardła i zaczynam rozprawiać się z guziczkami i sznureczkami jej sukienki.

Jej grdyka nerwowo podskakuje pod moimi wargami.

– Chyba nie chcesz...

O tak, chcę. Kurewsko mocno.

– Nigdy nie kochałem się na tym jachcie.

Jej palce wplatają się w moje włosy, szarpie za nie i zmusza mnie do spojrzenia jej w twarz.

– Nigdy?

Niecierpliwe pożądanie zaczyna tętnić w moich żyłach na tyle mocno, że ledwo rozumiem, co do mnie mówi. Zaciskam palce na jej karku i odchylam jej głowę, a później znów zaczynam obsypywać pocałunkami jej szyję.

– Masz ochotę być pierwsza? – szepczę.

– Jacob...

– To znaczy tak?

Jej rozpięta sukienka rozchyła się, ujawniając ciemnoróżowy komplet bielizny. Ten sam komplet, który wczoraj jej kupiłem.

O kurwa, wygląda jak bogini.

Czuję, jak mój kutas drga pod materiałem spodni, gdy ja prawie dławię się oddechem. Robię się tak piekielnie podniecony, że mam ochotę od razu się w niej zanurzyć. Zerwać te koronkowe figi, rozkoszując się dźwiękiem darcia materiału, który jara mnie prawie tak mocno, jak mój Rudzielec i jęk, który jej się wtedy wymyka.

O tak, ona też lubi, kiedy dosłownie zdzieram z niej bieliznę. Robi się wtedy tak cholernie mokra...

– A co, jeśli... – dyszy rozkojarzonym tonem. – Bycie pierwszą mi nie wystarczy?

Muskam opuszką kciuka jej sutek.

– Czego jeszcze pragniesz? – Zaczynam zataczać wokół niego małe kręgi.

Jej zęby wbijają mi się w bark.

– Być ostatnią – szepcze.

Normalnie potraktowałbym to jako kolejną próbę flirtu, ale z tą kobietą wszystko jest inne, bo ona jest inna niż reszta. Kiedy Hope mówi coś takiego, to nigdy nie jest żart. Ona po prostu oddaje mi siebie. I czeka, aż ją wezmę lub odtrącę.

A ja mam wrażenie, że nigdy nie trzymałem w dłoniach czegoś wrażliwszego i cenniejszego niż ona. Jest w niej siła, potrafi ze mną walczyć, kiedy jest na mnie wkurzona, ale w chwilach takich jak ta pokazuje mi całą swoją kruchość.

– Moja niegrzeczna, zachłanna dziewczynko. – Muskam językiem płatek jej ucha. – Nie mam nic przeciwko spełnieniu i tego życzenia – szepczę.

– Obiecujesz?

– Przysięgam. – Strącam oba ramiączka jej sukienki, a ta wreszcie opada na pokład. – Pozwól, że przypieczętuujemy tę przysięgę orgazmem. – Opadam przed nią na kolana i przyciskam wargi do koronki jej majtek. Całuję jej cipkę przez szorstki materiał, a ona odrzuca głowę w tył i wplata mi palce we włosy.

Zapach jej podniecenia przyprawia mnie prawie o pieprzone zawroty głowy, a jej smak zwilża mi wargi. Zahaczam o brzeg jej bielizny i odsuwam ją odrobinę, by móc pieścić jej łechtaczkę bez przeszkód. Rozsuwam szerzej jej uda i zaczynam ssać z zachłannością, którą wyrzywa krzyk z krtani Rudzielca.

A potem mnie odpycha.

Co jest?

– Moja kolej – dyszy.

Uśmiecham się, gdy Hope oblizuje łakomie wargę.

– Chcesz wziąć mnie w usta? – pytam.

Nie odpowiada, od razu przykłęka na swojej sukience.

– Po tym już nigdy nie pomyślisz o innej kobiecie. – Jej oczy błyszczą jak u bardzo niegrzecznej, chętnej na figle istotki.

– Przysięgasz? – parodiuje jej ton, gdy to ode mnie domagała się przyrzeczenia, ale bardzo szybko daję za wygraną, gdy Hope ujmuje w usta mojego penisa. – O kurwa – sapie.

– Jak lubisz najbardziej? – Teraz jej dłoń oplata mojego fiuta. – Szybko czy wolno?

Obserwuję, jak jej palce przemykają w górę i w dół. Raz, drugi, trzeci. Naprzemiennie robi to nieznośnie niespiesznie, a później wręcz zbyt szybko.

Opieram się plecami o metalowe barierki.

– Muszę wybierać? – Owijam sobie jej rude loki wokół nadgarstka. – Bo jak Boga kocham, nie jestem w stanie zdecydować.

Znowu się uśmiecha i ponownie bierze mnie w usta. Jej język przesuwają wokół główki mojego kutasa, a później liże go długimi pociągnięciami po całej długości.

Ja pierdolę. Jej wargi są niebem. A za chwilę piekłem. Wywołują we mnie tyle skrajnych doznań, że jestem blisko dojścia w krępująco szybkim tempie.

– Czy myślisz teraz o kimś innym? – Zaczyna ssać końcówkę mojego penisa i co chwilę muskać główkę językiem.

Zanim się orientuję, co robię, zaczynam sam napierać biodrami na jej wargi i wpychać moją męskość jeszcze głębiej w jej usta.

Cholera, kurwa, cholera.

– Wystarczy – nakazuję. – Chcę dojść w tobie. – Pociągam ją za kucyk, by nakłonić do odsunięcia się, a ona pomrukuje z niezadowoleniem, wciąż trzymając mnie w ustach.

Prawie dostaję szału!

– A jeśli odmówię?

Podrywam ją z kolan i obdarzam namiętym pocałunkiem.

– Spróbuj. – Wsuwam dłoń między jej uda, a ją od razu przeszywa dreszcz.

Hope uśmiecha się w moje usta, a później oplata mnie nogami w pasie.

– Zwierzak.

Przesuwam językiem po jej wargach.

– Lubię roztopiać twój opór. – Sadzam ją na barierce. – Wiem, że ty też chcesz mnie w sobie. Cała aż ociekasz wilgocią. Nie możesz się doczekać, co? – Zagłębiam się w nią jednym surowym pchnięciem.

Rudzielec jęczy rozkosznie.

– Jacob.

Wysuwam się z niej, a później znów zanurzam. Z każdym moim ruchem Hope drży coraz mocniej. Jej biodra kołyszą się, odpowiadając na narzucony przeze mnie rytm.

– Tak jest – mruczę, zamykając usta na jej brodawce. – Jesteś moja.

Cała moja.

Znowu ją całuję, połykając jej westchnienie. Mam ochotę położyć ją na pokładzie i przykryć swoim ciałem.

– Szybciej – domaga się, a jej cipka jeszcze bardziej nadziewa się na mojego kutasa. Hope wpija paznokcie w moje plecy, a ja wyobrażam sobie krwawe półksiężycy odcisnięte na tatuażu smoka.

Budzi się we mnie coś prymitywnego. Jakiś instynkt, który powinien być zarezerwowany jedynie dla dzikich drapieżników, a jednak czuję to. Desperacką wręcz potrzebę oznaczenia jej. Pocałunkami, dotykiem. Tak by się z nimi oswoiła. Przywiązała się do mnie na tyle, by nikt inny nie mógł już dać jej przyjemności.

– Tylko mnie wolno cię dotykać. – Daję upust tej wręcz zwierzęcej pasji. – Tylko mnie wolno cię zaspokajać.

– Tak.

– Powiedz to. Powtórz to. – Czuję, jak znowu zaczyna się trząść w moich objęciach, a jej mięśnie zaciskają się wokół mnie.

Wsuwam się w nią ponownie jeszcze ostrzejszym pchnięciem. Powieki Hope opadają.

– Należę do ciebie. Chcę do ciebie należeć – mamrocze i doznaje spełnienia, a ja dochodzę zaraz po niej. – Na zawsze – dodaje sennym głosem, wtulając się we mnie.

Nie wypuszczam jej, właśnie mam zamiar zanieść ją do mojego łóżka na drugą rundę fantastycznego seksu, kiedy coś rozsypuje się na podłodze. Grad małych koralików pod moimi butami. Bransoletka Hope. Kilka bransoletek naraz.

– Kupię ci nowe, błagam, powiedz, że nie zamierzasz ich zbierać teraz, kiedy mam niecierpiącą zwłoki potrzebę bycia w tobie.

Rudzielec zanosi się śmiechem.

– Jesteś okropny.

Łapię ją za nadgarstek i odkrywam jej sekret.

– Zzerała mnie ciekawość, jaki masz tatuaż – mruczę, gładząc go kciukiem.

To zamknięte w połowie serca dwa słowa. *Wciąż szukam...*

Zanim zdążę zapytać czego, Rudzielec mnie wyprzedza.

– Sam się domyśl.

– Swojego przeznaczenia?

– Już je znalazłam.

Zdaje się, że mam kompletnie przerąbane.

Bo zakochuję się w tej kobiecie...

A dużo, dużo później po moim odkryciu, kiedy słońce zaczyna już zachodzić, na horyzoncie z głębi wód zaczynają wynurzać się delfiny.

Hope piszczy podekscytowana i cyka im masę zdjęć, kiedy one fikają w morzu liczne salta, jak gdyby przypłynęły tu właśnie dla niej na tę sesję zdjęciową.

A ja doświadczam największej satysfakcji od lat. Bo dałem jej to, czego pragnęła.

ROZDZIAŁ 26



HOPE

Po wczorajszym mam ochotę przywitać mojego szefa ukośnik chłopaka długim, soczystym pocałunkiem, ale mój plan szybko bierze w łeb, bo...

– Twój kot prowokuje mojego psa – mówi Jacob na powitanie, gdy tylko przestępuję próg jego gabinetu.

Układam na jego biurku najnowszą analizę rynku przygotowaną na potrzeby jednej z reklam, nad którą teraz pracujemy. Oprócz tego przytaszczyłam też dla niego kubek kawy i cytrynową babeczkę, bo bez tego zestawu bywa strasznie zrzędlivy. Dopiero kiedy uwalniam się od tego wszystkiego, skupiam się na jego słowach.

Słowach, które nie mają sensu.

– Słucham?

– Twój kot dziś rano wlaźł przez okno do mojego domu i wkurzał mojego psa, a później spieprzył na drzewo, zupełnie jakby mówił: „I co teraz, ty roznosicielu pcheł, nie wejdiesz na drzewo?” – mówi komicznym tonem i wyciąga cytrusowy wypiek z kartonika.

Prawie parskam śmiechem, ale...

– Łatka znowu weszła na drzewo? – Martwi mnie to. – Zdjąłeś ją?

Jacob połyka prawie połowę babeczki na raz.

– Chyba sobie żartujesz. – Posyła mi takie spojrzenie, jakbym jego zdaniem oszalała.

– A co, jeśli tam utknęła i nie może zejść?

Kiedy wychodziłam do pracy, siedziała grzecznie w domu. W swoim legowisku, bawiąc się ulubioną myszką. Musiała jakoś się wymknąć później, pewnie znowu wystraszył ją ten jego pies dinozaur, a Jacob zostawił ją uwięzioną na drzewie na pastwę losu. Pewnie teraz siedzi tam nadal i miauczy wniebogłoso, biedactwo.

Jacob potrząsa głową i zerka na dokumenty, które przyniosłam.

– Niemożliwe, już trzeci raz wywinęła mi taki numer z oknem. Widziałem, jak później zwinnie czmycha z tego drzewa. Myślę, że udaje ofiarę, tylko kiedy ty patrzysz.

Nieprawda, ona boi się schodzić sama z drzewa. Pewnie ma jakąś kocią fobię czy coś.

– Łatka nie robi takich rzeczy. – Upijam łyk jego kawy i się krzywię. Nie znoszę kawy bez cukru.

Jacob odbiera mi kubek, a po jego minie widzę, że jest rozbawiony tym, że tak zażarcie staję w obronie mojego zwierzęcia.

– Skąd wiesz, jesteś zaklinaczką kotów? – chichocze. – Moim zdaniem ten kociak jest bardzo podstępny i trochę nawiedzony.

Nawiedzony? Gdyby nie fakt, że wiem, że celowo mi dokucza, bo... cóż, z jakiegoś powodu to uwielbia, to dalej bym się z nim kłóciła, ale przypominam sobie o czymś ważniejszym.

– To dla ciebie. – Wyjmuję z kieszeni owinięty miękkim papierem przedmiot i układam mu na dłoni.

Jacob uśmiecha się uroczo.

– Prezent?

– Ty dosłownie zasypałeś mnie prezentami, więc... – Wzruszam ramionami.

Papier szeleści, kiedy mój szef ukośnik chłopak odwija podarunek, a następnie ogląda go zaintrygowany.

– Delfin... Trochę... Co z nim? – Obraca figurkę w palcach, jak gdyby miał wątpliwości, czy to aby rzeczywiście delfin, czy jakieś inne stworzenie.

Trzyma w ręce niewielką drewnianą rzeźbę. Zrobiłam ją dla niego wczoraj wieczorem zaraz po tym, jak wróciliśmy do domu z naszej wycieczki, podczas której mogłam przy zachodzie słońca podziwiać pluskające się w morzu stado delfinów. To było wspaniałe. Dzięki niemu. Nawet teraz, gdy sobie pomyślę, że zorganizował rejs tylko dlatego, że kiedyś wspomniałam, że to moje marzenie, trochę się rozklejam.

Tak więc wyrzeźbiłam tego delfina, żeby też coś mu podarować na pamiątkę tych chwil. Zajęło mi to ponad trzy godziny i pokaleczyłam się w palce, ale skończyłam. Tylko że ten delfin... wyszedł trochę pokraccnie.

– To ja go wystrugałam. Sama – wyznaję niezręcznie. – Chodzę na zajęcia rzeźbienia w drewnie.

Może to nie był dobry pomysł? Delfin wygląda trochę jak foka, a ja dałam to w prezencie milionerowi, którego pewnie z okazji urodzin obdarowują sztabkami złota.

– Naprawdę? Ty go zrobiłaś?

Zalewa mnie fala zażenowania.

– Nie jest najlepszy, dopiero się uczę, ale...

– Jeśli ty go zrobiłaś... Jeśli zrobiłaś go specjalnie dla mnie, to jest doskonały. – Podnosi wzrok z figurki na mnie i uśmiecha się tak, że w moim żołądku znowu wybuchają fajerwerki. – Nawet z krzywą płetwą i postrzępionym ogonem.

Teraz to ja szczerzę się jak głupia.

– To na pamiątkę wczorajszej wycieczki – dodaję.

Jacob wstaje i okrąża biurko. Sekundę później już jestem w jego objęciach.

– Dziękuję, kochanie – szepcze i całuje moje wciąż uśmiechnięte usta.

– Lubię taką wdzięczność. – Oplatam ramionami jego szyję. – Zwłaszcza tę jedną część. Jego erekcja już wbija mi się w podbrzusze, a w moim ciele rozpala się ogień podniecenia.

Jacob sadza mnie na biurku i staje między moimi udami. Jego wargi wciąż przywierają do moich w żarłocznym, namiętym pocałunku.

– Czy rzuciłaś na mnie jakieś zaklęcie? – mruczy.

– Co?

Prawie nie rozumiem jego słów. Kręci mi się w głowie, a na moich wnętrznościach znów siadają rozbrykane motyle.

– Na jachcie mówiłaś, że wierzysz w magię, wróżko zębuszko. Ja też zaczynam. – Całuje oba kąciki moich ust. – Przynosisz mi ją ze sobą. Kiedy jesteś blisko, wszystko inne przestaje istnieć, zaczarowujesz mnie. – Głaszcze mnie kciukiem po policzku, a ja mam ochotę na niego wskoczyć. Dosłownie. I nie z powodu pożądania. Z powodu czegoś dużo większego i bardziej pustoszącego.

Przez miłość. Najpiękniejszy kataklizm, jaki istnieje w dziejach naszego świata.

– Och, panie Parker. – I znowu się całujemy. Długo.

Ale nagle dociera do mnie jakiś odległy dźwięk. Chcę go zignorować, on jednak się powtarza.

Puk, puk, puk.

Zaraz, czy...

Drzwi do gabinetu Jacoba otwierają się tak szybko... Zbyt szybko. Na korytarzu stoi Laura Devito, a za nią Ciara. Obie gapią się na nas zszokowane. Nic dziwnego, nakryły nas na całowaniu.

Ale ich twarze wyrażają coś zupełnie innego. Ciara promienieje jak słońeczko, a jej oczy równie dobrze mogłyby śpiewać z radości. Za plecami Devito pokazuje mi kciuk w górę i znika, żeby zapewnić nam prywatność. Natomiast jeśli chodzi o naszego drugiego niespodziewanego gościa... Oblicze tej kobiety szpeci taki grymas, jak gdyby zastała Jacoba całującego się z odrażającą ropuchą.

– Dzień dobry... – Wchodzi do gabinetu. – Dzień dobry... Jak ty się właściwie nazywasz? – zwraca się do mnie tonem tak protekcyjnym, że mam ochotę znokautować ją swoim nowo wystruganym delfinem.

Nie znoszę tej baby. Mimo to przywołuję profesjonalny uśmiech i kiwam głową.

– Hope. Dzień dobry, pani Devito.

– Co tu robisz, Lauro? Nie byliśmy umówieni – odzywa się do niej Jacob. Jego ton głosu jest chłodny, trochę surowy. Taki zupełnie w stylu Jacoba Parkera, Pana Jestem Władcą Wszechświata, więc Spierdalać na Drzewo.

Wyglądam nieco wymiętą jasnozieloną sukienkę i udaję, że zajmuję się porządkowaniem rzeczy na biurku mojego szefa. W sumie to nie muszę udawać, bo obściskując się na blacie, zrobiliśmy niezły bajzel.

– Mam pewne zastrzeżenia co do reklamy mojego kremu. Chciałam to pilnie omówić, skoro akurat jestem w mieście – oznajmia Laura.

Okej, pora się zmywać.

– To ja nie będę przeszkadzać. – Idę do drzwi, ale przystaję, gdy rozbrzmiewa śmiech naszej klientki. Szyderczy i wredny.

– Rozumiem, że powinnam zacząć się oficjalnie zapowiadać, żeby ponownie nie natknąć się na twoje... narady z asystentką? Wyglądałeś na bardzo zajętego. – Wykrzywia usta w uśmiechu, wciąż patrząc tylko na Jacoba. – Chociaż moim zdaniem stać cię na coś lepszego.

Cała sztywnieję. Mam wrażenie, jakby ktoś próbował utopić mnie właśnie w lodowatej wodzie.

Stać go na coś lepszego... Niż ja.

– Co powiedziałaś? – syczy Jacob.

Pani Devito wskazuje na mnie wypielęgnowanym paznokciem, na którym mienią się cyrkonie.

– Jej się nie dziwię. Jesteś świetną partią, kobiety krążą wokół ciebie jak sępy, chcąc cię złapać, a ona pewnie łudzi się, że jeśli wskoczy ci do łóżka, to przysięgniesz jej dozgonną

miłość, co?

Nie mogę uwierzyć, że miała czelność powiedzieć coś takiego. Nigdy w życiu nikt mnie tak nie upokorzył.

Jacob robi krok w stronę Laury.

– Dość tego. Nie pozwolę ci się tak do niej odnosić. – Jego głos sprawia, że nawet Laura się wzdryga.

Marszczy brwi.

– Bronisz jej? A więc weszłam za wcześnie. Wybacz.

Za wcześnie, bo jej zdaniem jeszcze nie zdążył mnie zaliczyć. Gdyby to zrobił, dostałby to, czego ode mnie chciał, i razem mogliby się teraz ze mnie nabijać.

Suka.

Zaciskam zęby, żeby zachować milczenie. Nie wolno mi nic powiedzieć, to miałyby katastrofalne skutki dla interesów Jacoba i...

– Lauro, obawiam się, że nie będziemy mogli omówić twojego problemu z reklamą kremu – odzywa się Jacob cicho. Jego ton jest tak spokojny, że to nie wróży nic dobrego.

To cisza przed burzą.

– Dlaczego? – docieka.

– Bo żadnej reklamy nie będzie. Nie jestem już dłużej zainteresowany pracą nad tym produktem.

Co takiego?

Aż mnie zatyka.

Laura cofa się i blednie.

– Słucham?

O Boże. On to robi dla mnie. Zrywa umowę na kolosalną kwotę, bo ta jędza mnie poniżyła.

– Jacob, nie rób tego – odzywam się.

Tyle że mój przełożony wcale mnie nie słucha. Podchodzi do drzwi i ponownie je otwiera.

– Do widzenia, pani Devito. Życzę dalszych sukcesów – rzuca na pożegnanie.

Laura mruga w szaleńczym tempie, ale nic już nie mówi. Nie ma pojęcia, co powiedzieć. Nie spodziewała się tego.

Ja też nie.

– Oszalałeś? – dyszę, kiedy już zostajemy sami.

Jestem cała rozdygotana.

To nie była zwykła burza, nawet nie sztorm, to był huragan, kurde, stulecia.

Jacob zagarnia z oparcia krzesła swoją marynarkę.

– Wychodzimy – oznajmia.

Teraz?

– Dokąd?

Nie dostanę odpowiedzi. Zostaję za to zupełnie niedelikatnie wyciągnięta z jego gabinetu za rękę.

Ląduję w najdroższym sklepie w mieście. Bo idziemy na przyjęcie. Bo dzięki temu Jacob będzie miał okazję pozyskać nowego klienta i nie wylądować pod mostem po tym, co zrobił przed godziną...

– Co to za bal? – pytam, gapiąc się na swoje odbicie w lustrze. Od sufitu do podłogi.

Jacob stoi za mną w niemożliwie seksownym czarnym smokingu.

– Zwyczajny. Masa bogatych ludzi spotyka się ze sobą, żeby poplotkować, popisać się osiągnięciami i nawiązać nowe kontakty biznesowe. – Wygładza kołnierz białej koszuli i przykłada do niej na zmianę różne krawaty i muszki.

No tak, dla niego bale są czymś zwyczajnym. Chrzaniony milioner. Zjemy sobie wspólne śniadanie? Jasne, machnijmy sobie śniadaniowy bal. Wszyscy tak robią. Ciągle. To normalka.

Obracam się, żeby lepiej obejrzeć kreację, którą właśnie przymierzyłam. To bordowa suknia, która świeci od... Boję się zgadywać czego, zważywszy na jej absurdalną cenę.

– I my idziemy tam, żeby załatwić ci nowego klienta? To wieczór biznesowy – dopytuję, napotykając jego spojrzenie w lustrze. – Mam na myśli: idziemy tam razem jako szef i asystentka?

Jacob zbliża się do mnie, aż moje plecy przylegają do jego torsu.

– Pierwsza część się zgadza. Idziemy tam, żeby pozyskać dla mnie nowego klienta. Jednak idziesz tam jako moja dziewczyna. – Cmoka mnie w kark, a potem odchodzi. –

Przymierz jeszcze tę. – Podaje mi wieszak z błękitną suknią godną syreny. I jeszcze droższą niż ta, którą mam na sobie.

Krzywię się.

– Dlaczego ty wybrałaś sobie smoking w trzydzieści sekund, a ja mierzę trzydziestą kieckę?

– Bo ciągle grymasisz.

Grymaszę, bo to wszystko nieprawdopodobnie mnie stresuje. Godzinę temu Jacob stracił przede mną klientkę, a teraz ten bal. Wydarzenie roku, a ja mam tam zostać przedstawiona jako jego dziewczyna.

Przeczuwam klęskę.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł, żebyśmy wystąpili tam jako para? Tak jawnie? – Znikam w przebieralni i próbuję wcisnąć się tę błękitną suknię. Jest piękna, jak wszystkie sukienki tutaj, ale za odważna i krzykliwa. To nie mój styl.

Ale to właśnie styl wszystkich tych kobiet, które tam będą, Vitteli. W swoim stylu nie będziesz do nich pasować. Chcesz odstawać jak dziwadło?

Kotara odsuwa się delikatnie, a w szparze pojawia się głowa Jacoba.

– A co? Wstydzisz się mnie?

Zabawne. Wstydzić się faceta idealnego.

– Tylko wtedy, kiedy zakładasz sobie szczypcę kraba na nos, bo wydaje ci się, że to kolczyk – przywołuję początki naszej znajomości, a Jacob zanoszą się śmiechem.

Cholera, wygląda wspaniale w tym smokingu i muszce, którą dobrał. Biało-czarna kokardka pod szyją dodaje mu chłopięcego uroku i pewnie zapewni mu na tym balu tabun wielbicielk, które będą chciały mi go ukraść.

I będą miały na sobie piękne suknie takie jak ta, bo nie mają prostackiego gustu.

– Ta może być – mówię, gładząc palcami rąbek sukni.

Jacob krzywi się, jakby przejrzał moje myśli.

– Czy któraś ci się podoba?

Zna mnie lepiej, niż sądziłam. Wie, że nie czuję się w niej dobrze, ale czy to ma znaczenie?

– Są bardzo drogie, Jacob.

– Czy któraś ci się podoba? – powtarza.

Wychodzę z przebieralni i przebiegam wzrokiem po eleganckich strojach wyeksponowanych na wystawach, manekinach i wieszakach.

– Nie mogę uwierzyć, że odrzuciłeś kontrakt za półtora miliona dolarów. Chyba zupełnie ci odbiło.

Cały czas mnie to dręczy. Czuję się winna i chce mi się płakać, ale wcale nie przez wyrzuty sumienia, tylko dlatego, że Jacob Parker... Ten facet, którego na początku

chciałam zabić i który miał być totalnym zaprzeczeniem mojego romantycznego ideału ukochanego, nawet się nie zawahał. Przegonił Laurę w mniej niż dwie minuty i...

– Spodziewałaś się, że będę tam stał i pozwalał jej cię obrażać?

Obracam się i przytulam go.

– Przykro mi – mówię przeproszającym tonem.

Jacob łapie mnie pod brodę.

– Przestań. Jesteś dla mnie warta więcej niż jakikolwiek kontrakt. – Spogląda na coś w oddali. – Ta?

Na początku nie potrafię namierzyć wskazanej przez niego sukni, bo mój umysł wiruje po tym, co właśnie usłyszałam, ale zaraz ją dostrzegam. Kremowa suknia nałożona na jeden z manekinów stoi w przeciwległym krańcu sklepu. Ekspedientka wygładza jej falbanę, jak gdyby dopiero ją wywiesiła.

– Wygląda jak suknia ślubna – szepczę.

Ale jest zjawiskowa. Nie razi w oczy nadmiarem ozdób czy świecidełek albo zbyt żywym kolorem. Ciągnie się do ziemi, gdzieś jest przyozdobiona maleńkimi kwiatkami podobnymi do stokrotek, a na dekolcie ma kilka sznurów pereł.

Tak, to ta suknia.

– To świetnie. Nie będziesz musiała biegać po sklepach, kiedy już ci się oświadczę – przemawia Jacob, jak gdyby gawędził o pogodzie. – Chyba jesteś jedyną kobietą na świecie, która nie lubi zakupów.

Prawie się przewracam.

– Żartujesz sobie? – chrypię. Serce mi wali.

Nie będziesz musiała biegać po sklepach, kiedy już ci się oświadczę.

Powiedział to jak najbardziej oczywistą rzecz na świecie.

– Nie, naprawdę nie znam drugiej takiej – rzuca i przywołuje kogoś z obsługi. – Poprosimy tę suknię.

O Rety.

On serio myśli, że pytałam o to, czy jestem jedyną znaną mu kobietą nieznoszącą łażenia po sklepach? Gdzieś mam zakupy.

Facet właśnie mi się tak jakby oświadczył, zaraz potem sobie poszedł.

ROZDZIAŁ 27



JACOB

Nie znoszę takich przyjęć. Od zawsze pojawiają się na balach, galach, brunchach i tego typu spędach, tylko jeśli nie mam wyboru. Tym razem jednak jest inaczej. Nie nudzę się i nie odliczam rozwleczonych w czasie minut do mojego spotkania z Evansami, by potem móc jak najszybciej się stąd ulotnić.

A to wszystko za sprawą małej, piekielnie zestresowanej wróżki.

Hope na pewno nie jest stałą bywalczynią takich imprez. Co chwilę pyta mnie: „A co to? A tamto?”. Większość pytań dotyczy menu. Przy jednym ze stołów nazwała włoski makaron fettuccine „fuczkami”. Powiedziała, że „te fuczki były najsmaczniejsze”. Kolejnymi zagadkami były dla niej rzeźby przedstawiające mityczne postacie, ozdabiające ogród.

Niestety, kiedy zaczęliśmy tańczyć, a ja nierozważnie przypomniałem jej, że za moment mamy pogadać z moim potencjalnym klientem, znowu zaczęła się stresować i świrować...

– Gdzie oni są? – Hope rozgląda się po wielkiej sali balowej i co chwilę drga w moich objęciach.

Za chwilę dostanie ataku paniki. Ma zapędy paranoiczne i jestem przekonany, że jej umysł tworzy teraz tysiące jakichś drastycznych wizji odnośnie do tego wieczora.

Uśmiecham się i przyciągam ją bliżej siebie. Mógłbym przetańczyć z tą kobietą w ramionach cały ten pieprzony bal. Wszystko we mnie skupia się tylko na jej lawendowym zapachu, który wpada do moich nozdrzy z każdym oddechem. Na błysku lamp odbijających się w jej tęczęwkach.

A przede wszystkim na tym, jak wygląda w tej białej sukni. Jest piękna. Najpiękniejsza.

– Państwo Evans? Siedzą tam. Mają swój własny stolik. – Spoglądam na gawędzących małżonków. – Są jak rodzina królewska.

Hope też na nich patrzy i jej mina mówi mi, że się ze mną zgadza. Państwo Evans aż emanują bogactwem i przepychem. Nic w tym dziwnego, skoro facet ma więcej forsy, niż jest wody w oceanie. Jego marki są znane na całym globie, a ci ludzie, którzy są tu dziś obecni? Założyłbym się, że nikt nie odrzucił zaproszenia, bo każdy liczy na wkupienie się w ich łaski.

– I zgodzili się z tobą spotkać?

Obracam ją w rytm granej przez kwartet smyczkowy ballady.

– Potrafię być bardzo przekonujący. – Muskam kciukiem szczyt jej nosa, a ona się krzywi.

– I też jesteś trochę jak płatek śniegu. Bardzo bogaty i przebrany za pingwina.

Śmiech łaskocze mnie w krtani.

– Za pingwina?

Wzrusza od niechcienia ramionami, ale jej oczy błyszczą psotnie.

– Mnie to nie przeszkadza. – Poprawia moją muszkę i opiera policzek na mojej piersi.

– Wyglądasz wspaniale – szepcze. – Ale już czwarty raz następujesz mi na stopę w tym walcu.

Rudzielec tłumy śmiech, chowając twarz w mojej koszuli. Wciąż tańczymy, a raczej bujamy się na boki, bo moja doskonała dziewczyna fatalnie tańczy. Jej szpilki chyba na wylot dziurawią mi stopy.

– Denerwuję się – mruczy. – A co, jak nam się nie uda?

A nie mówiłem? Maniaczka czarnowidztwa.

– Wtedy sprzedasz dom i wprowadzisz się do mnie, a pieniądze, które za niego dostaniesz, przeznaczysz na załatanie dziury budżetowej w moich finansach.

Znowu chichocze, ale wymierza mi cios w ramię.

– Bądź przez chwilę poważny.

Nie chcę. Lubię słuchać jej śmiechu. A jeszcze bardziej lubię świadomość, że to ja go wywołałem.

Kiedy znowu depcze mi po bucie, łapie ją za biodra i unieruchamiam.

– Hope, nie zbankrutuję przez stratę jednego klienta.

Mruczy coś niewyraźnie w mój tors. Brzmi to jak... „Któreś do chrupek” albo... Aha, „nadęty dupek”.

– Jesteś taki pewny, w ogóle się nie martwisz? – Znowu zaczynamy kołysać się w takt melodii. – Powiedziałeś, że zajmiesz im mniej niż pół godziny. – Szarpie za guzik mojego

smokingu tak zawzięcie, że zaraz go urwie.

Przykrywam jej palce swoimi.

– Nie mam czym, wszystko jest przygotowane co do minuty, a my mamy ich tylko zaintrygować, zarzucić przynętę, a nie osaczać czterogodziną prezentacją.

Tak to zwykle wygląda, na takich przyjęciach nie omawia się wszystkiego szczegółowo, bo to nie miejsce i czas na tego typu wystąpienia. Tutaj jedynie wabimy ptaszka do klatki jednym okruszkiem. Po pełen obiad sam musi poprosić. Inaczej może wiać desperacją, a tego bym nie chciał.

Hope trochę się uspokaja i zaczyna cieszyć tańcem. Widzę, jak rozgląda się wokół i zapamiętuje szczegóły wystroju. Królują tu złoto i biel – białe obrusy, złote zasłony; złote balony, białe kwiaty; żyrandole z żółtego kryształu i białych pereł; złote świeczniki i białe świece.

Jakaś kobieta stojąca przy stole z przekąskami patrzy na nas od dłuższej chwili i posyła mi uśmiech. Wydaje się znajoma, choć za cholerę nie kojarzę teraz jej imienia... I bardziej koncentruję się na tym, że Hope prawie zionie w jej stronę smoczym ogniem.

Jest zazdrosna.

Przesuwam dłonią wzdłuż jej kręgosłupa, gotów rzucić jakąś dokuczliwą uwagę, ale wtedy Rudzielec kamienieje przy mnie.

– Ciara, dlaczego płaczesz?

Rozglądam się po pomieszczeniu i zauważam idącą w naszą stronę Ciarę. Ona też miała nam dziś pomóc przy oczarowywaniu Evansów.

– Utonęły – łka.

Marszczę brwi.

– Co? – pytam.

Z jej oczy tryskają łzy.

– Projekt reklamowy perfum państwa Evansów, mediaplan, strategia, kosztorys. Wsio rybka. Wszystko utonęło w misie z ponczem – jąka się. – To był wypadek, zalałam je. Przepraszam.

Utonęły? Jak to, kurwa, utonęły?

– O ja pieprzę – warczę.

Ciara przyklada drżącą dłoń do ust.

– Jestem zwolniona? – Szarpie za wielki wisior z bursztynem.

Hope kręci głową i ściska pocieszająco dłoń blondynki.

– No co ty, przestań płakać. Jacob cię nie zwolni, prawda? – Uśmiecha się do niej, a ja czuję, jak podskakuje mi ciśnienie.

– Idź się bawić, Ciara. – Zaciskam wargi, żeby nie rzucić jakimś wrednym tekstem.

Hope wsuwa nos w moją szyję.

– Bardzo jesteś zły?

– Nie powinnaś jej mówić, że jej nie zwolnię. Zniszczyła cały projekt – wzdycham.

Hope masuje napięte mięśnie moich ramion.

– To było niechcący, a wczoraj sam pograżyłeś taki jeden projekt w kilka sekund. – Uśmiecha się. – Ty też mogłeś zalać czymś dokumenty albo ja.

Ma rację, ale nie w tym rzecz. Pewnie nie wywaliłbym Ciary, nie chcę uchodzić za szefa buca, który zwalnia wszystkich za błahostki, każdy ma prawo do błędu. Jednak to nie jakaś drobnostka, a ja przez Hope nie udzieliłem jej nawet reprimendy. Nadmierna pobłażliwość nie jest wcale dobra. Gdybym wszystkim wszystko wybaczał i odpuszczał, nie osiągnąłbym takiego sukcesu.

– Jak mam ich przekonać do współpracy bez żadnego podkładu? Będą pytać o szczegóły, pogawędka nie wystarczy. – W głowie migają mi obrazy poplamionych czerwonym alkoholem dokumentów i mam ochotę zarechotać na całe gardło.

To będzie błazenada. Muszę się wycofać.

– Ja pamiętam szczegóły – mamrocze nieśmiało Hope.

Chyba mnie nie zrozumiała.

– Plan budżetowy? Analizę rynku? Wyznaczone środki przekazu? – wyliczam.

To słodkie, że chce mnie wesprzeć, ale nie ma mowy, żeby ktokolwiek...

– Tak, a do tego ocenę skuteczności naszych reklam, wyniki z ankiet. Mam dobrą pamięć wzrokową. – Zagryza dolną wargę, a mnie mimo wszystko przeszywa ogromna czułość.

Do tej pory zjadały ją nerwy. Widzę, że wciąż się niepokoi i wcale się nie pali do znalezienia się w oku tego biznesowego cyklonu, ale jest gotowa zaryzykować. Dla mnie.

– Kochanie, dziękuję, ale jeśli popełnisz jakiś błąd...

– To ich stracimy. Wiem.

Patrzę w jej niepewne oczy i już wiem, że to zrobię. Bo jeśli odmówię, okażę, że w nią nie wierzę, a przecież wierzę całym sobą. Poszedłbym za nią na samo dno piekła i z rozkoszą usiadł dupą na rozżarzonych węglach, jeśli to by ją uszczęśliwiło.

– Okej, no to chodźmy ich oszołomić. – Układam rękę na jej krzyżu i prowadzę przez tłum. – Może Ciara powinna najpierw upić ich tym ponczem, wtedy nie wyłapią pomyłek – rozważam dowcipnym tonem.

Hope rozluźnia się odrobinę, kiedy zatrzymujemy się przed okrągłym stołem, za którym siedzą Elizabeth i John Evansowie. Małżeństwo wstaje na nasz widok, a ja wyciągam w ich kierunku dłoń.

– Dobry wieczór. Wspaniale państwa poznać. – Wymieniamy powitalne uściski. – Jacob Parker, a to moja...

– Osobista asystentka, Hope Vitteli, bardzo mi miło. – Rudzielec zwinnie wcina mi się w słowo. – To ja dziś spróbuję zarysować naszą propozycję promocji dla państwa perfum i nie zanudzić nikogo na śmierć.

Elizabeth Evans, elegancka brunetka koło pięćdziesiątki, uśmiecha się przyjacielsko do Hope. Na jej twarzy pojawia się kilka zmarszczek, ale w żaden sposób nie odbiera jej to wdzięku. Jej włosy są upięte w fantazyjny kok i przyozdobione spinkami, które prawie rażą mnie w oczy.

– Może być ci ciężko, kochanie. Mój mąż jest dość zrzędlivy. – Trąca go łokciem, a on odwdzięcza jej się gniewnym spojrzeniem. Jednak widać między nimi tę samą potrzebę droczenia się jak między mną a moim Rudzielcem, co sprawia, że od razu pałam do nich sympatią.

– Wymagający – poprawia. – Przyznam jednak, że jestem ciekawy waszej propozycji, słyszałem wiele dobrego o twojej agencji i znajdowała się ona na mojej liście firm, z którymi współpracę i tak zamierzałem rozważyć. – Przywołuje kelnera z tacą pełną kieliszków szampana i wręcza nam dwa.

Układam rękę na oparciu fotela Hope i dziękuję kelnerowi skinieniem głowy.

– Jestem zaszczycony panie Evans. – Muskam opuszką odsłonięty kark mojej genialnej asystentki. – Hope?

Pora zacząć przedstawienie.

Rudzielec zagląda do swojej mikroskopijnej torebki i wyciąga z niej jakiś rulonik. Gdy go rozwija, prawie krztuszę się szampanem.

Skąd ona to wytrzasnęła?

– To jeden z plakatów, który mógłby zostać wykorzystany przy ewentualnej reklamie. Naturalnie mamy jeszcze kilka takich propozycji, ale nie chcieliśmy państwa dziś nimi zasypywać – zaczyna przemowę, a z jej głosu znika całe wahanie. – Przyznam, że

wybrałam mój ulubiony. – Gładzi paznokciem wizerunek smolistego kota widniejący na plakacie.

Co to jest?

Przyglądam się jej, starając się jednocześnie ukryć zdumienie za maską obojętności.

Elizabeth wyciąga dłoń obwieszoną złotą biżuterią i przesuwa odbitkę po blacie.

– Jest piękny. Midnight Flower. Podoba mi się ten font – oznajmia wpatrzona w zapisaną wielkimi literami nazwę ich perfum.

Zgadza się, font jest fantastyczny, wręcz hipnotyzujący, ale...

– A kot? – odzywa się John.

– Kot jest zwierzęciem nocy. Wtedy tak naprawdę ujawnia swoją prawdziwą naturę i rusza na łowy. Zupełnie jak kobieta, czyż nie? – Hope układa podbródek na dłoni i spogląda wyzywająco na mężczyznę.

Cholera, ależ jest podniecająca w takim wydaniu wojowniczej księżniczki. Profesjonalna, nieustraszona, niepowstrzymana.

– Jesteśmy drapieżnikami – podłapuje pani Evans.

– Ale kiedy trzeba, potrafimy być też miłutkie i potulne. – Hope zerka w moją stronę, a tęczówki zdradzają mi, że bez problemu mnie rozgryzła.

Poprawiam się na siedzeniu i dyskretnie układam rękę na jej udzie.

John obraca w palcach kieliszek z trunkiem. On wciąż ma wątpliwości, ja w tej chwili kupiłbym od tej wróżki nawet krwiożerczego insekta mutanta.

– A dlaczego nie lew lub coś w tym stylu? Jeśli ten zapach ma sugerować drapieżność kobiet i ich skuteczność na łowach...

– Lew byłby zbyt oklepany. Poza tym o to właśnie chodzi w naszym reklamowym przesłaniu – wtrąca. – Lwem jest mężczyzna, król dżungli, władca świata, a kobieta jest niczym domowy kotek, zdolny upolować nawet samego lwa dzięki perfumom Midnight Flower.

John, drapie się w posiwiałą brodę, a później jego usta rozciągają się w uśmiechu.

– Lubię tę twoją asystentkę, Parker – stwierdza.

Wiodę palcami w górę kręgosłupa Hope.

– Ja też ją lubię – odpowiadam.

John klaszcze, a później celuje we mnie dłonią z kieliszkiem.

– Aha, wiedziałem od początku. Ty też jesteś usidlonym lwem, co? – Mruga do Hope, jak gdyby mówił jej: „Dobra robota”.

Mój Rudzielec rumieni się, ale odchrząkuje i dzielnie pozostaje w roli mojej seksownej osobistej asystentki.

– Poza podstawowymi środkami przekazu jak telewizja czy internet, taki plakat mógłby zawisnąć w witrynach sklepowych, rozmaitych gablotach, a nawet na balonach powietrznych – objaśnia, strzepując moją rękę ze swoich barków. – Możemy także wysłać państwu mailem propozycje haseł promocyjnych – proponuje.

– A ile będzie mnie to kosztować? Macie ze sobą jakieś dokumenty z wyliczeniami? Statystyki? Wykresy waszej skuteczności?

– Nie planowaliśmy dzisiaj zasypywać państwa papierami. To sala balowa, a nie konferencyjna, prawda?

Akurat.

Biorę kolejny łyk szampana, żeby zamaskować parsknięcie.

Kłamie z taką swobodą, że w życiu nie przyłapałbym jej na mijaniu się z prawdą, gdybym nie wiedział już, że to jedno wielkie oszustwo, a nasze papiery po prostu przepadły.

– Tak naprawdę inna moja podwładna zafundowała przygotowanym dla państwa dokumentom powódź, pływają teraz w którejś misie z ponczem – odzywam się od niechcienia.

Rudzielec robi przerażoną minę.

– Jacob!

Uśmiecham się niewinnie, kiedy ona gromi mnie wzrokiem, a reszta towarzystwa zanoszą się śmiechem.

– Świetny dowcip. Podobasz mi się, Parker – stwierdza John, poprawiając swój granatowy krawat dopasowany do garnituru o tym samym odcieniu.

– A mnie wcale – mruży cicho Hope.

Sięgam po jej zaciśniętą w pięść i rozluźniam palce, a później składam na niej pocałunek.

– Kłamstwo, paradujesz tu w końcu w swojej sukni ślubnej, a na razie jesteś tylko moją dziewczyną, zapomniałaś? – odparowuję.

Hope czerwieni się jeszcze bardziej. Wiem, że marzy, żeby ziemia się pod nią rozstała, ale prostuje się dumnie i znów skupia się na Evansach.

– Jeśli chce pan już teraz poznać koszty poszczególnych działań promocyjnych, z przyjemnością odpowiem na pańskie pytania. – Widzę, jak wyciąga z torebki mazak. –

To wstępny kosztorys. – Trzymając zatyczkę markera między zębami, zaczyna coś pisać na odwrocie plakatu.

Czy ona... Niemożliwe, żeby przepisywała te wszystkie liczby z głowy, prawda?

John z niedowierzaniem wpatruje się w zapisane przez Hope stawki.

– Pamiętasz to?

Mój cudownie genialny Rudzielec wzrusza ramionami.

– Trochę nad tym siedziałam.

Tak, siedziała, ale...

Mam dobrą pamięć wzrokową.

Zdaje się, że zatrudniłem seksowną wersję Einsteina. Hope ma niezaprzeczalnie nietypowy talent.

– Robi wrażenie – chwali John, wczytując się w jej notatki.

Rudzielec się uśmiecha.

– Dziękujemy, to dobry projekt.

Pochylam się do jej ucha.

– Pan Evans mówił o tobie, wróżko.

Jej uśmiech się poszerza, a ja pragnę ją pocałować.

– Myślę, że się dogadamy. Chyba nie będę się przy was nudził – ogłasza z nutą wesołości pan Evans. – A czy wiecie, że moja żona także była kiedyś moją asystentką?

I zaczyna streszczać nam historię ich związku od pierwszych dni do małżeństwa, a Hope słucha go jak zaklęta.

No tak, fanka romantycznych opowieści...

ROZDZIAŁ 28



HOPE

Evansowie są skłonni podpisać z nami umowę na reklamowanie ich perfum. Kilka minut temu, po uraczeniu nas uroczymi historyjkami z ich życia, ruszyli z nami na parkiet. Właśnie odtańczyłam jednego walca z panem Evansem, podczas gdy Jacob porwał do tańca jego żonę.

A teraz znów jestem przy moim szefie ukośnik chłopaku i cieszę się jak głupia!

– Udało się, przekonaliśmy ich. – Podskakuję na parkiecie w ramionach Jacoba.

Rozpiera mnie radość i duma. Jakoś udało nam się wybrnąć z tej katastrofy z zatopionymi dokumentami i mamy to! Evansowie są zainteresowani współpracą z nami.

Jacob układa dłonie na moich biodrach i więzi mnie w swoich objęciach. Zmusza mnie do kołysania się w rytm smętnego walca, kiedy ja tu pragnę odtańczyć breakdance.

Czterech facetów ubranych w identyczne jasnożółte garnitury, co dla mnie wygląda ciut... strasznie, zasiada na krzeselkach w rogu pomieszczenia i gra na swoich instrumentach. Najbardziej podobają mi się skrzypce. Kiedyś chciałam nauczyć się na nich grać, ale kiedy próbowałam się szkolić, Łatka darła się wniebogłoso, jakby ją obdzierali ze skóry, więc chyba nie szło mi zbyt dobrze.

I jak na mój gust temu zespołowi też nie idzie. Może i nie mam jakiegoś wykwiutnego gustu muzycznego, ale ta muzyka jest tak nużąca, że nie rozumiem, jak tańczące wokół nas pary nie zasnęły na parkiecie.

– Ty ich przekonałaś. Bez przerwy nawijałaś. Ja powiedziałem dwa zdania – odzywa się Jacob.

Mierzę go wkurzonym wzrokiem.

– Jak mogłeś powiedzieć, że zalaliśmy dokumenty? Gdyby nie odebrał tego jak dowcip, uznałby, że nie traktujesz ich z należytą powagą.

Robiłam, co mogłam, żeby ten wieczór nie zakończył się jego porażką, a on siedział tam i tylko stroił sobie żarty albo obmacywał mnie pod stołem.

W którymś momencie chciałam zmienić go w jednookiego pirata i wydłubać mu oko za pomocą widelca do przystawek.

– Uwielbiam, kiedy mówisz do mnie tym karcącym tonem. Jesteś wtedy cholernie seksowna. – Jego zęby skubią mnie w płatek ucha. – Może to ty powinnaś być moją szefową?

Kręcę głową. Nie mam do niego siły. Trudno uwierzyć, że to ten sam ponury, oziębły facet z jachtu, bo w którymś momencie magicznie ewoluował w aż nazbyt chętnego do wycinania mi psikusów chochlika.

– Po co powiedziałaś im, że jestem twoją dziewczyną? – pytam, przesuwając palcami po jego jedwabnej muszce.

Niesamowicie mi się podoba. Mógłby mnie w niej odwiedzić.

I tylko w niej...

Jacob odsuwa mi kosmyk z czoła.

– Mówiłem, że nie będę tego ukrywał. Zamierzasz marudzić?

Ja?

– To było nieprofesjonalne. Pewnie mają nas za nieźle walniętych. – Wbrew sobie zaczynam chichotać.

Jacob wyszczerza się w uśmiechu.

– No to myślą się tylko co do jednego z nas. – Jego usta przesuwiają się po mojej skroni.

– Głupek. – Wtulam się w niego i odpływam.

Teraz, kiedy już nie rozsadza mnie lęk o powodzenie projektu, nawet cieszę się tym wieczorem. Mimo że muzyka jest do bani, jedzenie na stołach to jakieś podejrzenie wyglądające robaki wyłowione z mórz i oceanów, a większość kobiet na tym przyjęciu gapi się na Jacoba tak, jak gdyby czekały na okazję, żeby wepchnąć mu swoje majtki do kieszeni.

– Jak mogłeś? – Z przyjemnej aury wyrywa mnie jakiś męski głos.

Podnoszę głowę i zauważam znajomą twarz... Zaraz, czy to nie...?

– Michael, przyszedłeś na... – Jacobowi przerywa nagle niespodziewany cios.

Stoję skamieniała i obserwuję odgrywającą się przede mną scenę. W jednej sekundzie tańczymy walca, a w następnej zjawia się kumpel Jacoba i funduje mu przyłożenie z pięści w szczękę.

Co, do diabła?

– To za Sky – dyszy Michael.

Jacob rozmasowuje bolące miejsce i posyła swojemu przyjacielowi wzburzone spojrzenie.

– Co z tobą, do cholery? Pojebało cię? – sapie Jacob.

Wstrząśnięta, wpatruję się w mojego chłopaka, ale na szczęście nie zauważam poważnych uszkodzeń, nie ma krwi, ale na pewno jutro pojawi się siniak.

– Wiem, co zrobiłeś. – Michael stawia krok ku Jacobowi.

Jacob prycha i też się zbliża.

– W takim razie beznadziejnie okazujesz wdzięczność, stary.

Dwa rekiny gotowe rzucić się sobie do gardeł.

Eee, dobra, Hope, interwencja.

– Panowie – zaczynam, choć chciałabym użyć nieco innego określenia, na przykład: wy pieprzone czubki. – Może przejdziemy w dyskretniejsze miejsce, jeśli chcecie sobie spuścić łomot?

Schodzą z parkietu, ale i tak wiem, że już za późno. Wszyscy goście widzieli, jak Michael przyłożył Jacobowi, powstanie milion plotek na ten temat, a biorąc pod uwagę obecność fotografów i prasy... także parę artykułów.

– Wdzięczność? Mam ochotę wybić ci zęby. Nie miałeś prawa wtrącać się w mój związek – warczy Michael, przeczesując włosy palcami. Dosłownie bucha od niego złością.

Jacob opiera się plecami o ścianę i krzyżuje ramiona na torsie.

– Ona cię zdradza.

Michael zatrzymuje się gwałtownie. Żyła na jego szyi pulsuje niebezpiecznie szybko.

– Zaproponowałaś jej pieniądze, żeby mnie zostawiła, ty sukinsynu.

– Nie słyszałeś mnie? Nakryłem ją z innym facetem, niewiele brakowało, a posuwałby ją w klubie. To był jej eks, oni...

– On ją szantażował – wykrzykuje przyjaciel Jacoba i znowu do niego dopada. Łapie go za kłapy marynarki, ale nie robi nic więcej.

Na twarzy Jacoba pojawia się konsternacja.

– Co?

– Żądał od niej pieniędzy w zamian za to, że nie powie mi o jej przeszłości. O tym, że była narkomanką. Teraz rozumiesz?

Jacob zaczyna się głośno śmiać. Nie, nie tylko śmiać, on rechocze, aż musi oprzeć dłonie na kolanach, żeby złapać oddech.

– Opowiedziała ci tę bajkę, a ty jej tak po prostu uwierzyłeś? – kpi.

Co tu się dzieje? Oni zaraz znowu się na siebie rzucają, a w mojej głowie wciąż dźwięczy zdanie: „Zaproponowałeś jej pieniądze, żeby mnie zostawiła, ty sukinsynu”.

Jacob dał Sky jakieś pieniądze? Żeby odeszła od Michaela po tym, co widzieliśmy w barze?

– Zdrada Jasmine kompletnie zryła ci banię, Jacob. – Michael dźga Jacoba palcem w czoło. – Sky mówi prawdę. Pokazała mi dowody na to, że kilka lat temu była na odwyku i wciąż chodzi na terapię, żeby nie wrócić do nałogu.

O Jezu...

Jacob znowu się krzywi i dotyka obolałej szczęki.

– To czemu to ukrywała?

– A jak myślisz? Kocha mnie i bała się, że ją zostawię. Że jeśli to wypłynie, prasa zrujnuje mi życie, bo związałem się z byłą ćpunką – odpowiada. – Na tamtym spotkaniu w klubie, kiedy się na nią natknąłeś, błagała tego skurwiela, żeby niczego nie zdradzał prasie. Szantażował ją, a potem ty. Mój najlepszy kumpel. – Michael popycha Jacoba, ale już nie robi tego z agresją, raczej z rozczarowaniem.

Jacob natomiast nie robi nic, dociera do niego, że popełnił wielki błąd.

– Wzięła ode mnie pieniądze – szepcze.

– Żeby zapłacić temu pojebowi. I odeszła, jak jej kazałeś, bo uznała, że gdybyś powiedział mi, że widziałeś ją z kochankiem, to i tak uwierzyłbym tobie, a nie jej, zwłaszcza gdyby wyciekła jej przeszłość – prycha Michael, cały czas przemierzając korytarz w tę i z powrotem.

Patrzę na Jacoba. Na malujące się na jego twarzy poczucie winy.

– Przepraszam, myślałem... Chciałem... – zaczyna, ale później rezygnuje i nie mówi nic więcej.

– To na przyszłość sobie daruj. – Michael odwraca się, popycha drzwi prowadzące do ogrodu i znika w ciemnościach nocy.

Podchodzę do Jacoba i ujmuję jego lekko napuchnięty policzek.

– W porządku?

– Tak, wszystko gra.

Kłamstwo. Nic nie gra, a on nawet na mnie nie patrzy. Unika mojego wzroku i coś kurczy mi się przez to w żołądku.

Poprawiam pomięty kołnierzyk jego koszuli.

– Naprawdę zapłaciłeś jej, żeby odeszła od Michaela? – pytam cicho.

Jacob porusza szczęką, a na jego oblicze wstępuje kolejny grymas.

– Popełniłem błąd. Myślałem, że jest następną niewierną...

– Dobry wieczór, Jacob.

O nie. Tylko nie ona. Błagam.

Jacob uśmiecha się z goryczą, potwierdzając tylko, że głos Jasmine rozlegający się gdzieś za nami nie był jedynie omamem słuchowym.

– Nią – dodaje i wbija w swoją eks pociemniałe spojrzenie. – Idź rujnować wieczór komuś innemu, Jasmine.

Nie robię sobie nadziei, że ta harpia go posłucha. Jej obcasy stukają o posadzkę, kiedy zmierza w naszą stronę.

Co by było, gdybym teraz chwyciła Jacoba za rękę i po prostu stąd związała?

– Jak zwykle gentleman – przemawia i staje obok mnie. – Biedaku, znowu źle oceniłeś sytuację? Ja i William, Michael i Sky... – Wyciąga dłoń, żeby dotknąć twarzy Jacoba, a ja mam ochotę natychmiast jej ją odgryźć.

Staję jej na drodze i biorę mojego szefa ukośnik chłopaka pod łokieć.

– Bardzo miło było cię znowu zobaczyć, Jasmine, ale mieliśmy właśnie zamiar zatańczyć. – Uśmiecham się sztucznie.

– Może zarezerwujesz jeden taniec dla mnie? – mruczy, ignorując mnie.

Odgryzanie ręki nic tutaj nie da. Powinnam zacząć od oderwania jej głowy.

Jacob przemyka palcami po moich odsłoniętych plecach.

– Wszystkie tańce należą do niej – odpowiada.

Po tych słowach zalewa mnie fala ciepła.

Jasmine poprawia szal na swoich ramionach. Prezentuje się niestety pięknie. Ma suknię w kolorze fuksji, bardzo obcisłą i z wysokim wycięciem na udzie.

– Jak sobie życzysz. Bardzo się cieszę, że wam się układa. – Okręca jeden z pierścionków na palcu. – Chciałam tylko powiedzieć, że nie zamierzam więcej wchodzić wam w drogę. Jacob jednoznacznie powiedział, że nie chce mieć nic wspólnego ze mną i z naszym dzieckiem, więc akceptuję to.

Nie podoba mi się to. Jest przekonana, że zwyciężyła.

– To jakaś nowa gra? – pyta Jacob.

– Jedynie zakończenie poprzedniej. – Blondynka obdarza go promiennym uśmiechem.

– Wiedz, że znalazłam sposób, by rozwiązać ten problem raz na zawsze.

– Jaki problem?

Jasemine dotyka swojego brzucha.

– Z dzieckiem, którego nie chcesz. Istnieją dwa sposoby na wybrnięcie z tej sytuacji. Jeśli w ciągu kilku następnych dni nie uznasz go publicznie za swoje i nie zadbasz o jego przyszłość, wyjadę i albo dokonam aborcji, albo urodzę i oddam je do adopcji.

Aż robi mi się słabo.

Jacob zaciska dłoń na mojej talii.

– Co? – sapie. – Nie zamierzasz zatrzymać własnego dziecka?

Jasemine przechyla głowę.

– Nie cieszysz się? – drwi.

Co za cyniczna, przebiegła...

– Jeśli sobie, kurwa, żartujesz...

Jasemine ponownie zbliża się do Jacoba. I tym razem to ona obwodzi paznokciem po jego satynowej muszce.

– Dostaniesz to, czego chciałeś, czyż nie?

– Ty cholerna, zepsuta...

Jej kciuk dotyka jego ust.

– Nie obrażaj mnie, kotku – szepcze. – Przecież i tak nie wierzysz, że to twoje dziecko, więc co za różnica? Odrzuciłeś je.

A co, jeśli jednak jest jego? Choć twardo obstaje przy tym, że o to nie dba, wiem, że wciąż go to dręczy i gdyby ta kobieta spełniła swoje groźby, on już zawsze będzie się czuł winny.

– Odejdź – warczy Jacob i odtrąca jej dłoń.

– Masz trzy dni na decyzję, Jacob – przypomina, a potem posyła mi wyprany z jakichkolwiek emocji uśmiech. – Miłego wieczoru.

Jacob odsuwa się ode mnie.

– Ja... – Przełyka ślinę. – Muszę chwilę pobyć sam.

Sam?

– Nie – wołam, gdy on już przemierza korytarz i wypada na zewnątrz. – Nie, Jacob, zaczekaj.

Zaczynam się trząść.

Jeśli w ciągu kilku następnych dni nie uznasz go publicznie za swoje i nie zadbasz o jego przyszłość...

Czego ona chce? Jego pieniędzy? Ślubu?

Targające mną mdłości się nasilają, bo czegokolwiek by chciała, wiem, że Jacob jej to da...

ROZDZIAŁ 29



JACOB

– Parker, masz chwilę?

No, kurwa, nie wierzę. Czy świat aż tak mnie nienawidzi, że po wczorajszej aferze musi mi jeszcze mocniej dokopać?

Na mojej pieprzonej werandzie stoi jeszcze bardziej pieprzony William Miller. Wyjmuje słuchawki z uszu, chowa komórkę do kieszeni i upija łyk wody z butelki. Najwyraźniej wrócił z biegania i postanowił z jakiegoś powodu zaszczyścić mnie swoją zasraną obecnością.

Nie podnosząc na niego wzroku, zrywam kapsel z piwa.

– Nie dla ciebie, Miller. – Przysuwam butelkę do ust, a drugą sięgam po myszkę i klikam w folder o nazwie *DLA EVANSÓW*.

Wczoraj po wyjściu, a raczej spierdoleniu z tego balu, poszedłem do pierwszego lepszego baru, gotów zalać się do nieprzytomności, byleby tylko odciąć się na chwilę od ponurej rzeczywistości. Jednak ostatecznie walnąłem trzy whisky, a potem wezwałem taksówkę i wróciłem na to przyjęcie po Hope. Niestety się spóźniłem. Okazało się, że wyszła zaraz po mnie i wróciła do siebie.

Totalnie zawałem. Znowu. Teraz mój Rudzielec pewnie siedzi w domu, przeklina mnie i próbuje uczyć swojego podstępного kota wykonywania komend w stylu: „Łatka, a teraz poharataj mu coś pazurami”.

Dobrze, że przynajmniej poszedłem pieszo, a Hope odstawił bezpiecznie do domu mój szofer, ale to raczej niewiele zmienia w tej sytuacji.

A teraz tkwię tu i zamiast wlewać w siebie hektolitry alkoholu, zawałam robotę, a mam jej sporo dzięki wypadkowi Ciary.

– Musimy pogadać, to ważne. – Dupek Miller rozsiada się na jednym z bujanych foteli.
– Chodzi o Jasmine – dodaje.

Samo jej imię budzi we mnie wstręt.

– Nie obchodzi mnie nic, co wiąże się z Jasmine, a tym bardziej z wami dwojgiem.

Jeśli przyszedł się pochwalić, że dalej się z nią różnie, to mogę mu co najwyżej złożyć kondolencje.

– Myślę, że to jedno cię zainteresuje.

Uśmiecham się ze szczyptą ironii.

– Przyszedłeś mnie zaprosić na wasz ślub?

– Słyszałem, co stało się wczoraj na balu u Turnerów. Wiem, że ci groziła.

No proszę, Jasmine nie szantażowała mnie przy świadkach, a skoro Miller o tym wie, to musiała mu się pochwalić.

– Mam w dupie szantaże Jasmine. – Trącam palcem kapsel od piwa. – Czy to twoje dziecko?

William potrząsa głową.

– Ona nie była w ciąży.

– Co? – Prostuję się na kanapie i prawie wypluwam łyk chmielowego napoju na swój laptop.

– Nie była. Nie mogła być.

Patrzę na niego nieufnie.

– Skąd wiesz? Jak możesz mieć pewność?

Miller odpycha się nogą od kamiennej posadzki i zaczyna kołysać na fotelu.

– Kiedy jeszcze byliście zaręczeni...

– Czyli wtedy, kiedy się pieprzyliście za moimi plecami, tak? – wtrącam, bo nie mogę się potrzymać.

Dupek wywraca oczami.

– Słuchaj, Parker, nie przyszedłem tu, żeby prosić o wybaczenie albo szukać sobie kumpla. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że jej słowa to czcze pogrożki. Nic takiego się nie wydarzy. Nie pójdzie do prasy, nie dokona aborcji ani nie odda dziecka do adopcji, bo żadnego dziecka nie ma – wyrzuca, zonglując butelką z wodą.

No dobra. Brzmi na poważnego, więc na moment zmuszam się, by zapomnieć o tym, że chciałbym zrobić z niego mój mały worek treningowy.

– Powiedziała ci, że to jej kolejna intryga? – dociekam.

– Nie musiała. Kiedy mieliśmy romans, wprost przyznała, że nie może mieć dzieci.

Gdy to słyszę, sztywnieją mi wszystkie mięśnie.

Nie może mieć dzieci?

Powoli zalewa mnie fala ulgi.

– Jest bezpłodna?

William znów podrzuca butelkę, a potem łapie ją w locie.

– Nie, to bardziej złożone. Z tego, co wiem, Jasmine już kiedyś próbowała zrobić jednego milionera w dziecko. – Wbija we mnie wzrok.

Przez chwilę mam mroczki przed oczami, jak gdyby właśnie pierdolnął mnie walec.

– Co takiego?

– I wtedy faktycznie zaszła w ciążę, tylko że ten gość miał to gdzieś i posłał ją z tym dzieckiem do diabła – kontynuuje opowieść zupełnie beznamyślnym tonem. – Jasmine urodziła je, wierząc, że z czasem jego ojciec zmieni zdanie, ale tak się nie stało, więc oddała dziecko do adopcji.

– Kpisz sobie? Porzuciła je? Tak po prostu?

Nie chcę w to wierzyć. Chcę, żeby się mylił, ale dopiero po zdradzie ujrzałem, do czego Jasmine tak naprawdę jest zdolna, żeby dostać to, czego chce. Nie ma skrupułów ani litości.

Poza tym, czy nie tym właśnie mi wczoraj groziła? Że odda nasze dziecko do adopcji?

Miller wzrusza ramionami.

– Gdybyś sprawdził ją na początku, twoi detektywi pewnie wygrzebaliby dla ciebie tę historię, ale ona wiedziała, że nie będziesz tego robił, bo ją kochałeś i jej ufałeś.

Opadam na oparcie kanapy i zaciskam pięść na jednej z poduszek.

– Wiesz, co się z nim stało? Z tym dzieckiem?

– Nie mam pojęcia. Wiem tyle, że wylądowało w sierocińcu. Może tam zostało, a może nie. – Ponowne wzruszenie ramion. – Rzecz w tym, że coś poszło nie tak przy porodzie. Komplikacje sprawiły, że Jasmine już nie może zająć w ciążę.

Odstawiam piwo na stół i gapię się w szkło pustym wzrokiem.

Coś w tej historii zupełnie mi nie pasuje.

– Nie rozumiem. Jeśli masz rację, po co to wszystko robiła?

Miller nagle wybucha śmiechem.

– Pewnie liczyła, że wciąż potrafi cię zmanipulować – zaczyna. – Co jak co, Parker, ale nawet ja wiem, że nie olałbyś tego dziecka, gdyby faktycznie istniało.

Ma rację. Zeszłej nocy nie zmrużyłem, bo ta sprawa z dzieckiem doprowadzała mnie do obłądzenia. Szukałem wyjścia, rozwiązania, a teraz okazuje się, że...

– Nie wierzę, co za cholerna suka.

– Nie znam całego jej planu, bo już się nie widzimy – mówi. – Podejrzewam, że później wmawiałaby ci poronienie albo jakąś inną bajeczkę. Liczyło się tylko, żebyś do niej wrócił.

– To...

Miller wciąż rechocze.

– Dała ci kilka dni, bo wiedziała, że w tak krótkim czasie nie odkryjesz tajemnic z jej przeszłości. Nie miała już nic do stracenia – wyjaśnia, uzupełniając kolejny brakujący element układanki. – Zagrywka z prasą, której dostarczy dowody na to, że nie chcesz dziecka, i groźba aborcji albo oddania go do adopcji, byś więcej go nie widział, miała sprawić, byś uległ. Wiedziała, że nie darowałbyś sobie, gdyby dotrzymała słowa i coś złego przytrafiło się twojemu dziecku.

Zaciskam palce na szyjce butelki z piwem tak mocno, aż zaczyna trzeszczeć. Wszystko powoli do mnie dociera i chce mi się rzygać.

– Ale przecież...

– Jeśli mi nie ufasz, zapytaj tych swoich szpicli. Jasmine i tak nie pójdzie do prasy. Nie zaryzykuje afery, bo jakiś dziennikarz też może zechcieć zgłębić jej historię – mamrocze.

Wtedy byłaby zrujnowana.

To dlatego tak przyparła mnie do muru, wiedziała, że już nic innego jej nie zostało.

– Jestem największym idiotą w dziejach – szepczę pod nosem. – Miałem właśnie zamiar...

Głowa Dupka Millera podskakuje.

– Tylko nie mów, że byś się z nią, kurwa, chajtnął. – Krzywi się.

Aż tak daleko bym nie zabrnął, ale prawie wpadłem w jej sidła...

– Wolałbym za żonę głodną piranię. – Upijam kolejny łyk piwa. – Chciałem zapłacić jej, żeby...

Żeby urodziła dziecko. Pewnie wychowałbym je, nawet gdyby nie było moje, albo przynajmniej znalazł mu dom.

Miller stuka się w brodę korkiem od butelki.

– To też mogłoby ją zadowolić na jakiś czas. W końcu to właśnie na twoich pieniądzach zawsze jej zależało.

– Tak. Wiem.

Miller podnosi się z bujanego fotela.

– No to co, stary? Nie podziękujesz mi? – Rozkłada ramiona.

Wystawiam w jego stronę środkowy palec i zamykam laptopa.

Nie ma mowy, żebym teraz zmusił się do pracy.

– Dlaczego mi to wszystko powiedziałaś? – pytam.

William zagarnia trzy lodowe kulki z wiadra, w którym chłodziło się moje piwo, i wrzuca je sobie do wody.

– Byłem ci to winien za Jasmine.

Teraz to ja mam chęć się zaśmiać.

– Skoro mowa o tym, co kto komu jest winien... – Wstaję z kanapy i robię krok w jego stronę.

A następnie daję mu cios w mordę.

William odchyła się i splota.

– Co jest, kurwa? – Morduje mnie spojrzeniem.

Obdarzam go zadowolonym uśmiechem.

– Ja byłem ci to winien za Hope – wyjaśniam.

I przyłożyłem mu znacznie słabiej, niżbym chciał. W końcu dziś wyświadczył mi przysługę.

Miller przesuwa językiem po napuchniętej wardze.

– Nawet jej nie tknąłem, człowieku – charczy.

– Ale chciałeś.

Do tej pory buzuje we mnie złość, kiedy przypomnę sobie tę ich gównianą randkę.

Wieczór paniński dla jego siostry. Jasne. Ten kutas mieszka obok mnie od lat i choć odwiedzało go sporo panienek, to dałbym głowę, że żadna nie była jego siostrą.

Liczył, że zaciągnie Hope do łóżka.

Może powinienem jednak znowu mu przyłożyć?

To zabawne, że nigdy nie zafundowałem mu lania za romans z moją byłą narzeczoną. Tamtego wieczora po prostu oznajmiłem, że ślubu nie będzie, i wyszedłem.

A następnego dnia wszystkie nagłówki gazet głosiły mniej więcej to samo: *Jacob Parker porzucony w dzień ślubu! Znany milioner zostawiony przed ołtarzem.*

Jasmine zadbała o swoją reputację i zemściła się za zerwanie zaręczyn, choć to ja powinienem ją pogrążyć.

A skoro mowa o nagłówkach gazet, dziś znów jestem niezwykle popularny.

Po tym, jak Michael przypierdolił mi na środku parkietu na oczach całej towarzyskiej śmietanki tego miasta, to wydarzenie stało się główną sensacją.

Spoglądam w bok, gdzie leżą rzucone, zgniecione i podarte strzępki gazet.

Rozłam wieloletniej przyjaźni?

Ten tytuł dotknął mnie najbardziej. Moim najpilniejszym problemem do rozwiązania była Jasmine, ale teraz, kiedy wiem, że to wszystko to jedna wielka bzdura, muszę zająć się naprawieniem stosunków z Michaelem. I Sky.

Boże, ale byłem dupkiem.

– Jeśli mam być szczery, to właściwie nadal nie miałbym nic przeciwko te... – Głos Millera wyrywa mnie z zadumy.

Odpycham go w stronę bramy.

– Wynoś się z mojego domu, dupku.

William schodzi ze schodów mojego tarasu i przechodzi przez podwórze, a później zatrzymuje się jak wryty.

– Eeeej, Parker...?

– Mam ci znowu przyłożyć?

Miller odwraca głowę w bok.

– Co ona wyprawia? Siedzi na drzewie?

Dołączam do Williama i spoglądam na wielki dąb, na którym siedzi Hope. A dokładniej skacze po gałęziach jak małpka kapucynka.

Nawet nie jestem już zaskoczony. Ani trochę. Byłbym pewnie bardziej zdumiony, gdyby jej tam nie było.

– Pewnie znowu włąła po kota. Bez przerwy to robi – tłumaczę.

– Wydaje mi się, że robi coś jeszcze... – William marszczy brwi. – Czy ona włązi do ciebie przez okno?

Co robi?

Zdezorientowany odszukuję Rudzielca. Jej drobna sylwetka jest ledwo widoczna między konarami i liśćmi, ale jej ognista czupryna szybko pozwala mi ją namierzyć i...

– Co, do...

Hope Vitteli rzeczywiście próbuje dostać się do mojej sypialni...

– Chyba będziesz miał wieczór pełen wrażeń, Parker – rzy ten dupek.

– Spierdalaj, Miller.

William wraca na swoją stronę ulicy i kieruje się do domu, a ja postanawiam złożyć wizytę mojej pięknej sąsiadce...

ROZDZIAŁ 30



HOPE

– Panno Vitteli, co pani tam, do diaska, robi? – Głos Jacoba rozlega się znienacka i sprawia, że moja stopa zsuwa się z jednego z konarów.

Z piskiem przytulam się do drzewa i patrzę w dół.

– Jacob? Ja... – O, nie, nie, nie, tracę równowagę! – O rety! – wrzeszczę, nadwyrażając sobie struny głosowe, a moim sąsiadom pewnie bębenki w uszach, a potem widzę świat do góry nogami.

Zwisam bezwładnie jak kukła z głową w dół i jedną nogą przerzuconą przez dębowy pień, a drugą... Druga, zdaje się, gdzieś utknęła.

Jacob podchodzi do mnie.

– Wszystko dobrze? – Przykuca i teraz nasze twarze znajdują się na jednym poziomie.

Prycham rozzłoszczona.

– A wygląda, jakby było dobrze? – Wymachuję rękami. – Utknęłam, nie mogę się ruszyć. Pomóż mi.

Jacob uśmiecha się zbyt radośnie jak na tę tragiczną sytuację.

– Po co znowu tam weszłaś?

– Jacob, zdejmij mnie. Natychmiast – nakazuję.

Mój szef ukośnik chłopak podnosi się i krąży wokół mnie. Zatacza koła niczym rozleniwiony tygrys wokół ofiary.

– No nie wiem. Wygląda to trochę tak, jakbyś zamierzała się do mnie włamać. – Łapie się pod boki. – Chyba powinienem najpierw zażądać wyjaśnień.

W moim gardle narasta wściekły warkot. Jeszcze bardziej wymachuję rękami, usiłując pochwycić Jacoba, ale podły drań sprytnie odskakuje i zanosi się śmiechem.

Przysięgam, że zrobię mu krzywdę.

– Nienawidzę cię. Jesteś okropny – syczę.

Jacob pochyla się i szczypie mnie w nos.

– Wyznaj swoje grzechy, Rudzielcu, lub zwisaj dalej – chichocze. – Wiesz, że z tej perspektywy wyglądasz dużo korzystniej. – Jego oczy skanują moją sylwetkę i rozbłyskują dobrze mi znanym głodem.

Wątpię, żeby to była seksowna poza, skoro dyndam na drzewie jak jakiś pokraczny nietoperz.

Fakt, że ubrałam się na tę wspinaczkę w seksowną bieliznę, a na nią założyłam wyłącznie koszulkę, która teraz zwinęła mi się w rulon pod brodą. I odsłoniła stanik i figi, więc Jacob może sobie teraz na nie popatrzeć, ale wyobrażałam to sobie jednak trochę inaczej.

– Kiedy zejdziesz z tego drzewa, urwę ci *cojones* i owinę wokół tej gałęzi – ostrzegam.

Jacob pociąga materiał koszulki, a wtedy zauważa widniejący na niej nadruk.

– Zaraz... – Jego uśmiech zamiera. – Co to jest?

Ups.

Daję mu po łapach i staram się jakoś obciągnąć biały materiał, by choć trochę mnie okrył.

– Zostaw to.

Jacob wymierza we mnie palec. Kojarzy mi się teraz trochę z rozjuszonym bykiem na korridzie. Brakuje tylko przebierania kopytem odzianym w elegancki bucik warty więcej niż moja miesięczna pensja.

– Wytłumacz – domaga się.

Wzdycham.

Biorąc pod uwagę moją przegraną pozycję, chyba nie mam wyboru.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę, dupku. Zakraść się do ciebie, bo od wczoraj byłeś smutny i nie chciałeś ze mną rozmawiać.

Liczyłam, że ja plus zestaw, który mam na sobie, odrobinę poprawimy mu nastrój.

Jacob robi krok w tył i drapie się w świeżo ogolony policzek. Ten, na którym widnieje niewielki purpurowy siniak.

– Potrzebowałam chwili, żeby poradzić sobie z sytuacją. Jasmine i Michael. Prawie rozwaliłem mu związek, bo...

– Czy możemy wrócić do tematu, kiedy ściągniesz mnie z drzewa? – wtrącam.

– A ten strój?

Aaaaa!!!

Mam ochotę wrzeszczeć. Moja frustracja sięga zenitu, ja mogę tylko zwisać na pieprzonym drzewie! Gdzie tu sprawiedliwość?

– Jacob!

Dupek znowu rozciąga materiał białej koszulki.

– Dlaczego masz na koszulce moje kompromitujące zdjęcie z tym jebanym krabem na nosie? – Posyła mojemu cudownemu ubranku pogardliwe spojrzenie.

Wzruszam ramionami.

– To część niespodzianki.

– Słaba.

– Nie narzekałbyś, gdybyś mógł mnie z niej rozebrać po tym, jak znalazłbyś mnie w swoim łóżku.

Jacob znowu się uśmiecha.

– Więc tak to sobie zaplanowałaś, wróżko zębuszko? – mruczy szelmowskim tonem.

Podejmuję kolejną próbę złapania go. Już prawie, prawie go mam. Moje opuszki sięgają kłap jego marynarki, ale podlec ponownie wymyka mi się w ostatniej chwili.

Nadąsana gładzę moją piżamę.

– Lubię tę koszulkę, śpiam w niej – oznajmiam.

Jego czarne zmrużone ślepia śmieją się ze mnie.

– I co ja mam z tobą zrobić?

Poruszam się, próbując wydostać się z pułapki, i czuję, jak końcówki moich włosów zamiatają trawnik.

Fuj! Fuj! Fuj! W trawie gnieźdzą się robaki. Zaraz mnie obleżą. Na pewno!

– Proszę natychmiast zejść z drzewa albo wezwę policję. – Słyszę nowy głos z oddali.

Odwracam głowę i zauważam obserwującą nas z przeciwnej strony ulicy siwowłosą kobietę z laską, którą podejrzewam o bycie zakamuflowanym karabinem maszynowym.

Serio. Może to zagorzała fanka Jamesa Bonda.

Jacob robi zbolałą minę.

– Zaczyna się – szepcze do mnie, a potem odwraca się, żeby pomachać do staruszki. – Dobry wieczór, pani Mendes, jak się dziś pani miewa?

Pani Mendes unosi swoją laskę w naszym kierunku. Jak nic zaraz zaczną strzelać.

– Ona ma zniknąć z tego drzewa. Siedzi na nim prawie naga – krzyczy. – To wykroczenie karane grzywną.

Jacob zerka na mnie.

– No popatrz. Już drugi raz łamiesz prawo. To niemal recydywa.
– To nie jest śmieszne. – Chowam twarz w dłoniach. – Ona zaraz naprawdę wezwie gliny, zdejmij mnie, na miłość boską.

Jeśli przyjedzie policja, zleci się tu całe osiedle i wszyscy będą oglądać mnie jak eksponat muzealny.

– Niewiele ci widać. To nie jest jeszcze czyn podpadający pod paragraf.

Chyba zaraz będę becząć.

– Naraża mnie na zgorszenie. – Nie odpuszcza pani Mendes. – To nieobyczajny wybryk, a pan wciąż nie przemaslował płotu.

– Chcę stąd zejść. Zaraz... – Zaczynam się bujać, sekundę potem noga, która utknęła mi między konarami, wysuwa się z pułapki, a ja... – Spadam!

Ramiona Jacoba obejmują mnie, zanim zdążę rozorać nosem trawnik.

– Mam cię – szepcze, trzymając mnie na rękach.

Wczepiam się palcami w jego szyję.

– Złapałeś mnie.

Łał, co za refleks.

– Myślałaś, że pozwoliłbym ci upaść i zrobić krzywdę tej pięknej szalonej rudej główce? – Przyciska usta do mojej skroni.

Może i byłabym skłonna uznać to za scenę rodem z romantycznych komedii, które tak kocham, ale wciąż słyszę jego drażniące rzenie tuż przy moim uchu, a poza tym...

Wisiałam na tym drzewie całą wieczność, a on nawet nie krył rozbawienia!

Już ja się zemszczę. Za kilka dni mamy wyjechać za miasto na ten superwypad z jego przyjaciółmi. Zobaczymy, jak milioner przyzwyczajony do pięciogwiazdkowych hoteli radzi sobie w gąszczu.

– Proszę więcej nie paradować nago w miejscu publicznym – odzywa się siwowłosa staruszka, bębniąc laską o chodnik.

– Oczywiście, pani Mendes. – Salutuje jej Jacob.

– Cześć. – Patrzę na niego uwodzicielsko spod rzęs.

– Cześć – odszeptuje, dotykając ustami moich ust, a potem namiętą aurę szlag trafia, bo wyjmuje mi ususzonego liścia z włosów.

Boże, moje włosy... Jak ja teraz wyglądam? Intuicja mówi mi, że wystraszyłabym nawet upiory z horrorów.

Jacob rusza.

– Gdzie idziemy?

– Tam, gdzie chciałaś się udać. Do mojego łóżka – oznajmia. – Gdzie możesz do woli paradować nago. Ta koszulka ma zniknąć.

Akurat.

– Nie tkniesz mojej koszulki. Uwielbiam ją.

Jakoś tak wyszło, że zamówiłam ją zaraz po przeprowadzce. Wtedy już wiedziałam, że Jacob będzie moim sąsiadem, ale pałałam do niego głównie niechęcią i pomyślałam sobie, że fajnie będzie mu w ten sposób dokuczyć.

– Nie będziesz chodzić w koszulce z tym upokarzającym zdjęciem.

Prycham, kiedy zaczyna wspinać się po schodach na piętro.

– Spróbuj tylko ją podrzeć, to wrzucę tę fotografię na swój Instagram – ostrzegam, dźgając go palcem w klatkę piersiową. – Jak się czujesz? – pytam już poważnym tonem.

Jacob zamyka drzwi do sypialni kopniakiem i sadza mnie na swoim królewskim łóżku.

– Przepraszam, że wczoraj wyszedłem z przyjęcia jak ostatni dupek – mówi.

– Nic nie szkodzi. Martwiłam się o ciebie.

Od balu się ode mnie nie odezwał i wiem, że wcale nie minęło dużo czasu, ale fakt, że mieszkamy obok siebie, a ja nie widziałam go ani razu, wcale mi nie pomagał.

Jacob opada na plecy i wbija wzrok w sufit.

– Michael mi tego nie wybaczy.

Układałam się na materacu obok niego, ale zaraz zmieniam zdanie i wspinam się na niego. W jego oczach zapalają się iskierki, ale kręci głową, jakbym zamęczała go na śmierć.

Cmokam go szybko w usta.

– Oczywiście, że wybaczy. Wściekł się, ale jak ochłonie, zrozumie, że miałaś dobre intencje. Jest twoim przyjacielem. – Moje wargi przywierają do jego zranionej szczęki.

– Jasmine nie jest w ciąży. Nie była. Kłamała.

Błyskawicznie podrywam głowę i przysiadam na jego udach.

– Naprawdę? To wspaniale. – Ciężar, który od wczoraj przygniatał mi serce, zaczyna się powoli ulatniać. – Ale czy to coś zmieni? Czy w końcu się od ciebie odczepi?

Czy to nawiedzone babsko zniknie i pozwoli nam na szczęście?

Jacob kiwa głową.

– Tak. Ten rozdział został dziś ostatecznie zamknięty. Zajmę się tym. – Coś w jego słowach sugeruje, że zyskał asa w rozgrywce ze swoją byłą narzeczoną i zamierza go

użyć. – A teraz... Ja też mam dla ciebie niespodziankę. Chcesz zobaczyć? – Szczerzy zęby.

Aha, oczywiście, jego niespodzianka właśnie wbija mi się w podbrzusze.

– Jesteś takim...

Jacob przetacza się na mnie, a później zrywa z siebie koszulę i rzuca ją gdzieś na podłogę.

– Tadam! – Obraca się tak, żebym miała doskonały widok na jego tatuaż. Na jego smoka. Czarną bestię z kolorowymi, opalizującymi łuskami i ślepiami, które...

Nie wyglądają tak jak wcześniej...

– O mój Boże... To... – piszczę i prawie zamieram z wrażenia. – Twój smok...

Jego smok zamiast typowego groźnego spojrzenia w ciemnych ślepiach ma teraz źrenice w kształcie małych serduszek, w których napisane jest HOPE.

Nie wierzę, że zrobił coś takiego.

– A teraz wyskakuj z tej ohydnej piżamki i pokaż mi swoją niespodziankę – żąda i ponownie wgniata mnie ciałem w materac.

W moim mózgu nadal nie wszystko działa tak, jak powinno, więc ujmuję tego szalonego faceta za policzki, a potem mówię:

– Chyba się w tobie zakochałam.

I kiedy serce prawie wyskakuje mi z klatki piersiowej, a ja wyczekuję jego reakcji, on znowu zanosi się śmiechem.

– Ja chyba w tobie też – odpowiada. – A moje gady to już na pewno.

Gady? Czyli smok i co jesz...

Jacob oplata sobie moje nogi wokół pasa, a jego wzwód przesuwa się po mojej łąchtaczce.

Zasysam powietrze, a później chichoczę jak opętana, bo dopiero teraz dociera do mnie sens jego słów.

– Głupek! – Okładam go pięściami, ale on szybko mnie obezwładnia. Unieruchamia mi rękę nad głową i całuje tak, że zaczynam widzieć całą galaktykę.

Zakochałam się w nim. Bez chyba...

ROZDZIAŁ 31



JACOB

Ten pieprzony wypad za miasto z tymi trzema nawiedzonymi kobietami to katastrofa! A to dlatego, że te trzy wiedźmy sprzysięgły się, że wyciągną swoje miotły, wyskrzeczają wredne zaklęcia i uprzykrzą nam wyjazd na milion różnych sposobów.

A ja mam tego już dość! Serdecznie, kurwa, dość!

– Vitteli, do mnie, w tej chwili – wołam tego nieznośnego, irytującego, psotnego Rudzielca.

Hope zbliża się i staje na baczność niczym żołnierz na warcie.

– Słucham, panie Parker – mruczy przesłodzonym głosem.

Grozę jej palcem.

– To ma się skończyć.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, szefie.

Nie daję się nabrać na te jej niewinne minki.

– O wasze wybryki – zaczynam, rozglądając się wokół. – Dość tego. Jeśli wszystkie trzy nie zaprzestaniecie, zemścimy się. Ostrzegam cię.

Jeśli chce wojny, polegnie w niej z kretešem. Lepiej, żeby ze mną nie zadzierała.

Wróżka zębuszka buja się na piętach.

– Dlaczego tylko ja dostaję nagane, skoro chcesz pouczać całą trójkę?

Bo pozostałe członkinie jej bojowego zespołu czmychnęły i ukryły się niczym surykatki w swoich norkach. Zarówno Sky, jak i moja siostra Summer dobrze wiedzą, że zasłużyły na karę, i instynkt przetrwania nakazał im wiać. Tylko mój Rudzielec zgrywa taką odważną.

– Bo mógłbym się założyć o milion dolców, że to ty jesteś prowodyrką tych wszystkich psikusów. – Opadam na jedno z krzesel.

Hope podchodzi do małego rozkładanego stolika, który rozstawiliśmy przy brzegu jeziora, i kradnie z niego batonik czekoladowy.

– Przecież dobrze się bawicie. – Odwija papierek i bierze kęs. – Wiem, że tak.

Jezu Chryste, jestem w tym gąszczu zaledwie od dwóch dni, a już mam dość. Mam dość robali, wszędzie wążących kąsających mrówek, ciekawskich jaszczurek, pohukiwań sowy, która uwiła sobie gniazdo chyba, kurwa, tuż nad moim namiotem – możliwe, że ptaszysko jest w znowie z Hope. A przede wszystkim mam dość wariackich pomysłów mojej dziewczyny.

Jestem na urlopie, powinienem wypoczywać, a tymczasem czuję się, jak gdyby uwięzili mnie w jakimś koszmarze.

– Zastawiłyście na nas pułapki – warczę. – Ukradłyście zapalniczki, żebyśmy musieli rozniecać ogień jak ludzie pierwotni. – Rozkładałam ręce w geście rezygnacji. – Co jeszcze wymyślicie?

– Ja naprawdę nie...

– Sky, masz minutę, żeby oddać mi moje wędki. – Głos Hope zakłóca krzyk Michaela.

– Zgubiłeś wędki, kochanie? – słyszę Sky. I ma dokładnie taki sam podstępny ton jak Rudzielec.

Niedobrze. Fatalnie.

– Mają tu wrócić, rozumiesz? – wrzeszczy mój kumpel, goniąc Sky.

Kobieta chichocze i pędzi w stronę lasu.

– Jasne, poszukam ich, jak myślisz, jak daleko mogły pójść? – Z uśmiechem ogląda się na Michaela. – Kiedy widziałeś zaginione po raz ostatni?

Wzdycham i wbijam wzrok w błękitne niebo.

– Wędki też ukradłyście? – mamroczę.

Niech mnie ktoś zabije, błagam.

Hope dalej pałaszuje batona.

– Łów rybki włócznie, mój Supermanie – odzywa się, cmoka mnie w policzek i też sobie idzie.

Pewnie zastawiać na nas kolejne pułapki i robić kolejne psikusy.

– Jesteś porąbana – wołam za nią. – Wszystkie jesteście.

Mam totalnie przesrane. Zakochałem się w psychopatce.

– Smaczne. Jednak udało wam się złowić rybki w stylu jaskiniowców? – Hope uśmiecha się do mnie. W jej oczach odbijają się zygzaki płomieni z ogniska. Dłubie w kolacji, którą złowiłem dla niej w...

– Tak, w supermarkecie w mieście – odpowiadam.

Rudzielec marszczy się rozczarowana. I nie tylko ona. Identyczny grymas wstępuje na twarze Sky i Summer.

– Pojechaliście do miasta, żeby kupić ryby? – piszczy moja dziewczyna z oburzeniem.
– Nie umiecie się ładnie bawić. – Odstawia talerz z resztkami upieczonej na ogniu ryby i wyciera usta chusteczką.

– O tak, umiemy – zapewniam. Już wkrótce dostanie na to niepodważalny dowód. –
Możemy już ruszać na ten wasz spacer niewolników? – pytam, podnosząc się.

Wszyscy wstają zaraz po mnie, otrzepują się z resztek trawy i piasku i zmierzają dróżką prowadzącą do lasu.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu wylądowałem i uległem namowom tych trzech wiedźm, by spędzić urlop na jakimś zadupiu w szczerym polu.

Dookoła nie ma nic. Zupełnie nic. Poza drzewami, łąkami i rozlewiskiem pełnym obślizgłych ropuch i żarłocznych pijawek wielkości boa dusicieli. W lesie oprócz rojów głodnych komarzystek czeka na dokładkę od zajebania kup dzikich zwierząt. Trzy razy tego dnia już czyściłem swoje buty za trzy tysiące dolarów z powodzi gówna.

Wakacje marzeń.

I to nawet jeszcze nie koniec atrakcji, bo Hope, moja siostra i Sky zaplanowały sobie, że co wieczór będziemy chodzić na spacerki i zwiedzać ten wypełniony odchodami las. Właśnie ruszamy na kolejną wyprawę.

– My tylko próbujemy spędzić z wami trochę czasu. Inaczej przesiedzielibyście cały wypad z tymi kijami z haczykami – broni się Sky, idąc pod rękę ze swoim facetem.

Michael piorunuje ją wzrokiem.

– To są wędki – charczy.

Hope wyprzedza nas i podbiega kawałek dalej.

– Spójrzcie tylko, świetliki – ekscytuje się, wykręcając piruety, kiedy chmara lśniących w mroku robaczek świętojańskich krąży wokół niej.

Dwie pozostałe kobiety dołączają do niej, wygłaszając peany na cześć tych owadów ze świecącymi zadami.

Naprawdę jest się czymś zachwycać, bo matka natura wsadziła im żarówki w dupę.

Idą coraz dalej i dalej, a ja tylko odliczam ich kroki z uśmiechem na twarzy.

Trzy. Dwa...

– Ale piękne. Nigdy nie widziałam aż tylu... – Rudzielec szybuje wystrzelony w powietrze. – Coo?

Jeden. Zemsta ma jednak rozkoszny smak.

Wraz z moimi kumplami zaplątamy ramiona na torsie i spoglądamy na nasze dziewczyny, które aktualnie zwisają z konarów trzech drzew, pojmane w zastawione przez nas wcześniej pułapki.

– Aaaa, ratunku! – wrzeszczy któraś. Już nawet nie wiem która, bo przekrzykują się nawzajem i przebierają rękami w powietrzu.

– Wiszę głową w dół! Coś zaplątało mi się wokół kostki – panikuje Sky.

Ma rację. Wokół ich nóg owija się linka, którą nabyliśmy w okazyjnej cenie w supermarkecie wraz z wędkami.

Staję naprzeciwko Hope i podziwiam swoje dzieło.

– I jak się bawisz, Rudzielcu? – pytam.

– To wasza sprawka – dyszy, bujając się na boki. – Wy ustawiliście te zasadzki.

Bingo, kochanie.

W zasadzie to doświadczam déjà vu, kilka dni temu Hope też dyndała na drzewie w podobnej pozie.

I też mordowała mnie w wyobraźni za pomocą pierwszej rzeczy, jaką znajdzie. Założę się, że właśnie konstruuje w myślach gilotynę, której ostrze chciałaby na mnie spuścić.

– Ostrzegałem cię, że pożałujesz – mruczę, muskając palcem przelatującego mi przed twarzą robaka z żarówką w odbycie. – Kiedy się obudziłem, z twojej poduszki w namiocie gapiła się na mnie gigantyczna jaszczurka – przypominam jej, jakie towarzystwo zafundowała mi dziś o poranku.

– A ja, kiedy poszedłem się wysikać, prawie wylądowałem dupą w pokrzywach – dodaje David.

– Rozwiążcie nas – prosi z ustami wygiętymi w podkówkę Sky.

– Najpierw musicie obiecać, że skończycie z tymi głupotami. – Patrzę na wszystkie trzy po kolei. – Jeśli nie, możesz poprosić sowę, żeby cię uwolniła.

– Dupek – mamrocze pod nosem Rudzielec.

Ona wciąż ma bojowy nastrój. Oczywiście, że tak, moja buntowniczką. Byłbym bardzo zawiedziony, gdyby teraz odgrywała potulną i uległą.

– Dobrze. Już nie będziemy. Proszę, zdejmijcie mnie stąd, nie mogę tu wisieć jak jakiś dzik nad rożnem – narzeka Sky, odpędzając się od komarów.

Michael odpuszcza. Sięga do linki i uwalnia swoją narzeczoną. Potem to samo robi David dla Summer.

Kiedy obie kobiety już stoją na własnych nogach i kłócą się ze swoimi mężczyznami, ja wciąż wpatruję się Hope, nie ruszając się ani o milimetr.

– Jacob!

– Tak?

– Na co czekasz? Rozetnij tę linkę.

– Nie do końca ci ufam. Boję się o własne bezpieczeństwo. – Uśmiecham się. – Wiem, jaka potrafisz być zادیorna.

Hope nadyma policzki i próbuje trafić mnie pięścią w udo, ale chybia, gdy odskakuję.

– Nigdy więcej nigdzie z tobą nie...

Zanim może wypowiedzieć jeszcze choćby jedną sylabę tymi swoimi wkurzającymi, pięknymi wargami, całuję ją.

Za moimi plecami rozlegają chichoty i pogwizdywania.

Nie odrywając ust od jej ust, sięgam po szczyryk i wyzwalam Rudzielca z pułapki.

– Co mówiłaś? – szepczę.

Hope odpycha mnie od siebie.

– Zrywam z tobą! Powiesiłeś mnie na drzewie!

I jakoś mi się nie wydaje, żeby to miał być ostatni raz.

– Wiecie, właściwie to historia waszego poznania się jest niesamowita – odzywa się gdzieś z przodu Sky. – Niewiarygodnie, że najpierw dwa razy przypadkiem natknęliście się na siebie na jachcie, a potem Hope zamieszkała akurat obok ciebie. – Rozpina bluzę Michaelowi i ściąga z jego barków tylko po to, żeby sama się w nią ubrać.

– I to właśnie w twojej firmie się zatrudniła – podłapuje moja siostra. – Zupełnie jakby los naprawdę chciał, żebyście ciągle na siebie wpadali.

Przygarniam do siebie Hope.

– Przeznaczenie nigdy się nie myli, prawda? – mówię do niej.

– Nie odzywaj się do mnie – odburkuje wciąż nadąsana.

– Za chwilę poprawię ci nastrój i uznasz mnie za najbardziej romantycznego faceta na tej planecie – oznajmiam.

– Wątpię.

Łapię ją za dłoń i splatam nasze palce mimo jej protestów.

– Nie wszystko w naszej historii było przypadkiem – zaczynam.

Sky i Summer zatrzymują się zaintrygowane.

– Jak to? – pytają jednocześnie.

Zamiast zagłębiać się dalej w las, zawracamy na polanę nad jeziorem.

– Pierwsze spotkanie na jachcie to faktycznie zrzucenie losu, ale za drugim razem wykupiłem rejs tylko po to, żeby znowu cię zobaczyć. Powiedziałaś mi, że wrócisz za miesiąc, a ja wiedziałem, że zrobię to samo – mówię, obserwując reakcję Rudzielca.

A ona udaje, że obserwuje gwiazdy. Których teraz wcale nie widać, bo zasłaniają je korony drzew.

– Naprawdę? Jakie to słodkie. – Sky łapie się za serce.

Przenoszę na moment wzrok na nią i Michaela. Co niesamowite, to właśnie ona namówiła mojego przyjaciela, żeby dał mi jeszcze jedną szansę. I ani przez chwilę nie traktowała mnie oziębło przez to, jak postąpiłem wobec niej wtedy w barze. Kilka dni temu odwiedziłem ją i przeprosiłem za swoje gówniane zachowanie, a ona wybaczyła mi w mig. Dziś wiem, że to fantastyczna dziewczyna, a mój kumpel ma szczęście, że to właśnie ona go kocha.

– To, że wprowadziła się do domu obok, to też nie dzieło przypadku – kontynuuję opowieść i w końcu zyskuję uwagę wróżki zębuszki.

– Jak to? – Zatrzymuje się nagle.

– Po tych dwóch spotkaniach na jachcie chciałem znowu cię zobaczyć, więc postanowiłem cię znaleźć. – Wymijam ją jak gdyby nigdy nic i idę dalej. – Mój detektyw ustalił, że szukasz nowego domu w mieście, a tak się składa, że skoro wyprowadzał się mój sąsiad, który był także moim kumplem, poprosiłem go o przysługę. – Wreszcie wychodzimy spomiędzy tych chaszczki, a ja dostrzegam nasze namioty.

Hope szarpie mnie za rękaw swetra.

– Jaką? – domaga się.

Choć tego nie widzę, wiem, że teraz trybiki w jej umyśle zasuważą na pełnych obrotach, żeby połączyć ze sobą fakty.

– Zaproponowałem, że jeśli wystawi dom w niższej cenie, pomogę mu w interesach. Zgodził się. – Szczerzę się do niej. – A ja musiałem tylko zadbać o to, żeby ta informacja o domu na sprzedaż dotarła do ciebie.

Rudzielec naprzemiennie rozdziawia i zamyka usta. Jej paznokcie wrzynają mi się niemal boleśnie w skórę na nadgarstku.

– Mówisz poważnie? – sapie.

O tak, kochanie. Od początku zwyciężałem w tej wojnie...

– Mówiłem ci, że nie zamierzam cię nikomu oddać. – Pochyliam się, by znów ją pocałować, i gdy tylko nasze wargi się spotykają, do moich uszu dociera przeciągłe: „O móóój Boooże”, wypowiedziane przez Sky i Summer.

– Może jednak jesteś trochę romantyczny – stwierdza niemal szeptem Hope. – Ciut, ciut. – Robi małą szparkę między palcem wskazującym a kciukiem.

Kiedy docieramy do naszych namiotów, postanawiam, że pora na główną atrakcję tego wieczora.

– Mamy dla was prezenty na zgodę i zawieszenie wojny. – Razem z chłopakami wręczamy każdej swojej partnerce jedno małe pudełko. – Kupiliśmy je w mieście.

– Ojej, jak miło – zachwyca się Sky.

– Prawda? – dodaje moja siostra.

Obie przytulają do siebie kartoniki i zaczynają je rozpakowywać. Tylko Hope spogląda czujnie to na mnie, to na prezent w swoich rękach.

Bystra bestyjka. Wyczuwa zagrożenie.

Uśmiecham się do niej i już wie...

– Nie! – krzyczy. – Nie otwierajcie tych pudełek!

Ale jest za późno. Sky i Summer unoszą wiezka pudełek, a ze środka wyskakuje na nich kilkanaście wcześniej nakręconych przez nas myszy.

Kobiety wrzeszczą tak, że muszę zatkać sobie uszy, i upuszczają nasze wspaniałe podarunki, a potem zaczynają podskakiwać i wspinają się na krzesła.

Śmieję się, aż brakuje mi tchu. Zresztą nie tylko ja, Michael i David również.

Za to Hope staje nade mną i wpycha mi nieodpakowane pudełko na kolana.

– Nie ma żadnego zawieszenia broni – przemawia cicho. – Wykończymy was w tej wojnie, Parker.

– Wyzwanie przyjęte, Vitteli. – I zanim zdąży mi zwiać, łapię ją w pasie i przerzucam sobie przez ramię, a potem idę prosto do niekoniecznie przyjemnej wody jeziora, obrzucany gradem przekleństw, które z całą pewnością nie przystoją damie...

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz